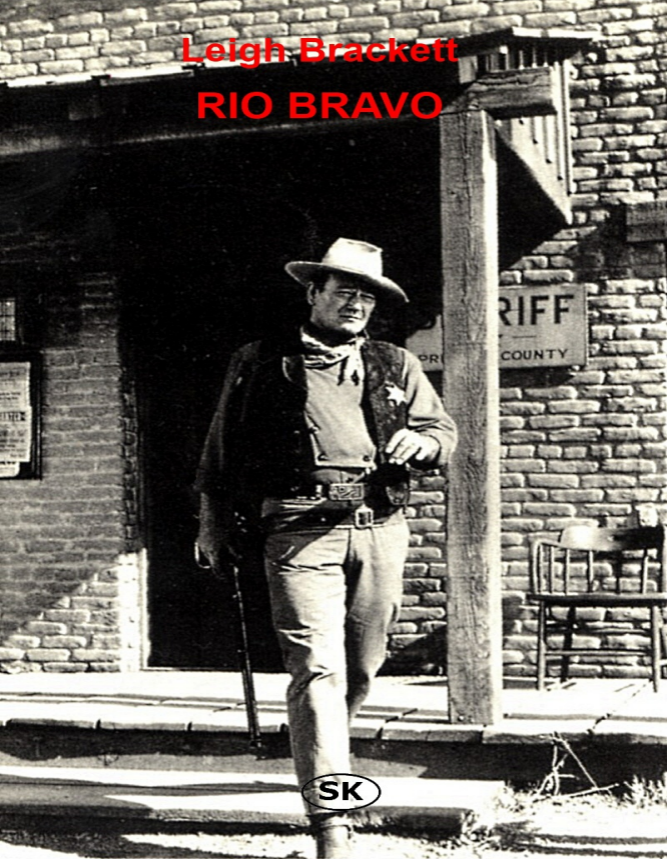


**Leigh Brackett**  
**RIO BRAVO**



SK

Leigh Brackett

# RIO BRAVO

Przełożył

Mieczysław Dutkiewicz

# Spis treści

[Rozdział I](#)

[Rozdział II](#)

[Rozdział III](#)

[Rozdział IV](#)

[Rozdział V](#)

[Rozdział VI](#)

[Rozdział VII](#)

[Rozdział VIII](#)

[Rozdział IX](#)

[Rozdział X](#)

[Rozdział XI](#)

[Rozdział XII](#)

[Rozdział XIII](#)

[Rozdział XIV](#)

[Rozdział XV](#)

[Rozdział XVI](#)

[Rozdział XVII](#)

[Rozdział XVIII](#)

[Rozdział XIX](#)

[Rozdział XX](#)

[Rozdział XXI](#)

[Rozdział XXII](#)

[Rozdział XXIII](#)

[Rozdział XXIV](#)

[Rozdział XXV](#)

[Rozdział XXVI](#)

[Rozdział XXVII](#)

# I

Tumany piachu gnały ulicami Rio Bravo. Wiatr, który zerwał się pod wieczór, przenikał do szpiku kości. Jego porywy chłostały Dude'a Waltona i kołysały nim jak spróchniałym drzewem. Dude nie zważał na to; jego oczy, rozognione odblaskiem ulicznych lamp, utkwione były w oknach saloonu.

Poczuł, że musi się napić i to natychmiast.

Tego wieczoru wyrzucono go już z trzech knajp. Nie udało mu się też odnaleźć Chance'a, który może dałby mu dolara. Ostatnią nadzieją był saloon Rio Bravo, należący do Burdette'ów. Dude jednak nie miał złudzeń: Charlie, tutejszy barman, z pewnością nie postawi mu drinka, nawet piwa. Ale w saloonie przebywał właśnie Joe Burdette z kilkoma kolegami, a z nim mogło mu się udać. Joe miał pieniądze. Do niego i jego brata Natana należała połowa hrabstwa oraz większość miasta, łącznie z saloonem. Joe nie zjawiał się w mieście zbyt często, wołał meksykańską stronę granicy. Chodziły nawet słuchy, że narobił tam sobie

mnóstwa kłopotów, ale Dude nie zaprzętał sobie nimi głowy. W tej chwili pragnął tylko jednego: napić się!

Z każdą chwilą trzeźwiał i czuł się gorzej. Owładnęły nim mdłości, które obejmowały stopniowo całe ciało, skręcając wnętrzności i zamieniając nogi w bezwładne zwoje waty.

Niepewnym krokiem podszedł do saloonu, ale w tej samej chwili przypomniało mu się, że Charlie zabronił mu wchodzić od ulicy. Zawrócił więc i powoli obszedł dom. Był wychudzony, w brudnych łachmanach, nie ogolony i nosił kapelusz wyrzucony kiedyś przez jakiegoś Meksykanina. Wściekle porywy wiatru szarpały nim raz po raz, szedł więc ostrożnie, trzymając się jedną ręką muru. Po chwili dotarł do tylnego wejścia i cicho wtoczył się do środka.

W saloonie było gorąco. Powietrze, przesycone zapachem piwa, whisky i tytoniu, podziało na niego pobudzająco. Stąpając niezręcznie na swych wykoślawionych butach przeszedł na drugą stronę izby. Raton rzucił mu obojętne spojrzenie, nie przestając brzdąkać na pianinie. Był to niski Meksykanin o wiecznie smutnej twarzy. Zawsze trzymał się z dala od

wszelkich rozgrywek pomiędzy białymi, którzy byli mu obojętni i nigdy nie potrafił ich zrozumieć. Nawet gdyby zaczęli ćwiartować się nożami, grałby spokojnie dalej, popijając piwo. Dude minął go, kierując się do kontuaru, przy którym stał Joe Burdette.

Joe miał czarny kapelusz ozdobiony srebrnym otokiem; ze srebra były też guziki od kamizelki, duże hiszpańskie ostrogi i okucia na pasie z nabojami. Ze wszystkich mężczyzn, którzy stali przy barze, Joe był najbardziej podchmielony, a w takim stanie stawał się nieprzyjemny. Dude był ekspertem w ocenianiu pijaków. Joe Burdette'a zdążył ocenić już dawno; alkohol wyzwalał w nim prawdziwą bestię. Kiedy innych ogarniała wesołość, płaczliwość lub senność, Joe stawał się rozdrażniony, a w jego oczach pojawiała się złość. W tej chwili jednak to wszystko nie miało dla Dude'a żadnego znaczenia. Joe był zawsze przy forsie, a poza tym stała przed nim butelka. Dude wpił w nią wzrok, a uczucie pragnienia przerodziło się teraz w prawdziwą mękę.

Charlie dostrzegł go i ruszył ku niemu, ale Joe powstrzymał go jednym ruchem ręki, barman wzruszył

więc ramionami i oparł się o ścianę, czekając na dalszy bieg wypadków.

Mężczyźni stojący obok Joe rozstąpili się na boki; oni również czekali.

Dude dotarł już do kontuaru, zatrzymał się i znowu utkwił wzrok w butelce. Otworzył usta, grdyka zatańczyła w górę i w dół, przełknął głośno ślinę.

Joe sprawiał wrażenie, jakby nie dostrzegał Dude'a. Ujął butelkę, po czym nalał sobie szczyrde. Część whisky pociekła na ladę, on zaś podniósł kieliszek i upił trochę. Dwukrotnie odstawił go i znowu unosił pod światło, delektując się bursztynowym kolorem trunku. Przez cały ten czas obserwował Dude'a w lustrze wiszącym za barkiem. Twarz Waltona przybrała tragiczny wyraz. Wyglądał teraz jak człowiek na łożu śmierci, dla którego ratunek nie może już przyjść na czas.

Joe ponownie napełnił kieliszek, a potem postawił rundę wszystkim stojącym obok niego, również Charliemu. Z ożywieniem wypili toast — i w dalszym ciągu zdawali się nie widzieć Dude'a. Joe odwrócił się w drugą stronę, zaczął rozmawiać z sąsiadem. Oczy



Dude'a wypełniły się łzami, wyglądało na to, że załamanie się lada chwila. Niezdecydowanie wyciągnął rękę i dotknął ramienia Joe'ego.

— Proszę... — szepnął. — Panie Burdette...

Joe spojrział na niego i uśmiechnął się.

— Popatrz no, popatrz — wybełkotał. — El borrachin. — Hiszpańskie słowo oznaczające pijaka zabrzmiało w jego ustach niezwykle melodyjnie. Miał białe zęby, pod gładką, opaloną skórą odznaczały się kanciaste kości policzkowe. — Borrachin, amigo, kiepsko dziś wyglądasz. Coś mi się zdaje, że przydałby ci się kieliszek, czy nie tak?

Dude skinął skwapliwie głową.

— No, więc poproś mnie o to. Znasz mnie przecież, borrachin; jestem wspaniałomyślny.

— Proszę — wyjąkał Dude. — Proszę, mister Burdette... tylko jednego... — wyciągnął rękę po butelkę.

— Nie z mojej butelki. — Joe odepchnął go. — I nie podchodź do mnie tak blisko, amigo. Wyglądasz tak, jakby obsiadły cię wszy. No, masz, kup sobie jednego! — Wyjął z kieszeni srebrną dolarówkę i

począł, aż Dude znowu wyciągnie rękę, po czym wrzucił monetę do dużej, mosiężnej spluwaczki.

Dude spojrział na swoją pustą dłoń, a potem na spluwaczkę. W saloonie zaległa cisza.

Przy wejściu zrobił się jakiś ruch, ale nikt nie zwracał teraz na to uwagi. Oczy wszystkich skierowane były na Dude'a.

On zaś obrócił się niepewnie i ukląkł. Słyszał narastający śmiech, ale odgłosy te dobiegały do niego jakby z oddali. Tuż przed sobą widział połyskliwy metal spluwaczki.

Uczepił się jej jedną ręką i już chciał włożyć do środka drugą.

W tej samej chwili ktoś odepchnął spluwaczkę na bok.

Dude podniósł wzrok i ujrzał nad sobą Chance'a, który stał, trzymając oburącz karabin tak niedbale i lekko, jakby była to zwykła gałązka; Chance'a z błyszczącą gwiazdą szeryfa na kamizelce, olbrzymiego, zwłaszcza teraz, kiedy patrzył na niego od dołu. Poczul na dłoniach mrowienie i coś w minie Chance'a sprawiło, że wezbrała w nim nagła fala żaru.

Poprzez czerwoną mgłę, która raptem oddzieliła go od reszty świata, dostrzegł, że szeryf idzie w stronę Joe'ego. Dłoń Dude'a opadła na biodro, nie znalazła tam jednak nic, jedynie postrzępiony materiał spodni. Palce rozchyliły się i zacisnęły z powrotem. Czerwona mgła nie ustępowała, zaczął więc obmacywać wszystko na oślep, aż wreszcie natknął się dłonią na krzesło. Uniósł je do góry, niczym siekiere, a kiedy zadał cios, impet wstrząsnął nim całym.

Kapelusz Chance'a potoczył się po podłodze, z czoła pociekła cieniutka strużka krwi, dotarła do kołnierza i nagle Chance nie stał już jak przed chwilą, lecz leżał zupełnie cichy pomiędzy Dude'em a Joe'em, z twarzą jakby wspartą o but Burdette'a. Z rany na jego czole sączyła się nadal krew, jasna i błyszcząca, na czyste deski podłogi.

Raton zerknął ukradkiem przez ramię, grając nieprzerwanie bez jednej nawet fałszywej nuty. Kilku mężczyzn wstało od stolików, w sali narastał gwar wielu głosów. Dude odstawił krzesło i wlepił wzrok w Chance'a. Joe odsunął nogę, a kiedy głowa szeryfa opadła na bok, wybuchnął beztróskim śmiechem. Jego

oczy błyszcząły.

— Wygląda jak nieboszczyk — powiedział. — Coś mi się zdaje, że go zabiłeś, borrachin. — Ujął butelkę i wypił spory łyk.

Dude wydał jakiś zdławiony okrzyk i skoczył mu do gardła.

Nie zdołał osiągnąć celu. Dwóch ludzi Burdette'a chwyciło go mocno pod pachy, zaczął więc wrywać się i walczyć, przeklinając przy tym Joe, ale tamten roześmiał się tylko.

— Teraz chciałbyś zrzucić całą winę na mnie, co? — zapytał. — Jesteś niewdzięcznikiem, borrachin. A ja nienawidzę niewdzięczników.

Przeszedł nad nieruchomym ciałem szeryfa i z całej siły uderzył Dude'a w brzuch, podczas gdy jego ludzie trzymali Waltona za rękę.

— Powinniśmy chyba dać mu porządną nauczkę — warknął i zaczął zadawać kolejne ciosy, nie przejmując się zbytnio, gdzie trafi, niczym bokser, który dla zabawy wali w worek treningowy.

Dude poczuł, że powoli traci świadomość. Niekiedy dostrzegał uśmiechniętą twarz Joe i

nieruchome ciało Chance'a, potem znowu wszystko ginęło mu przed oczyma. Właśnie zainkasował szósty czy siódmy cios, kiedy zauważył zbliżających się kilku mężczyzn. W normalnych okolicznościach rozpoznałby ich, ale teraz ujrzał tylko, że wyglądają na zirytowanych. Nie mieli przy sobie broni, a jeden z nich powiedział coś do Joe'ego. W uszach Dude'a słowa te zabrzmiały jak jakiś zniekształcony, zupełnie niezrozumiały dźwięk.

W dłoni Burdette'a zauważył raptem rewolwer, rozległ się huk wystrzału i jeden z tych mężczyzn, którzy podeszli, osunął się powoli na podłogę, po czym znieruchomiał obok ciała Chance'a, nienaturalnie wykrzywiony. Jego towarzysze zawrócili śpiesznie i wybiegli na ulicę. Joe odchrząknął i wsunął rewolwer do kabury. W izbie panowała teraz głucha cisza, ucichły nawet dźwięki fortepianu, Raton wołał bowiem nie zwracać na siebie uwagi Burdette'a.

Charlie, barman, odezwał się z wahaniem:

— Joe, to nie było...

— O co ci chodzi? — odparł Joe. — Szeryf nie żyje, prawda? A więc kto może mieć do mnie pretensję? — Opróżnił butelkę i brzęcząc ostrogami

ruszył do wyjścia; ani razu nie obejrzał się za siebie. Jego ludzie odprowadzali go wzrokiem. Zapominając o innych sprawach, skupili się wraz z Charlie'm przy końcu baru. Reszta gości zdążyła już opuścić saloon tylnymi drzwiami.

Raton zaczął ponownie bębnić na pianinie.

Dude stał z trudem, trzymając się krawędzi kontuaru, i spoglądał w dół na ciało Chance'a.

\* \* \*

Joe Burdette kroczył przed siebie główną ulicą. Czuł satysfakcję i zarazem niepokój.

Przed chwilą zabił człowieka i wydawało mu się, że ma chęć uczynić to jeszcze raz. Być może była to chęć na kobietę.. Nie wiedział właściwie, na czym mu naprawdę zależy. Poczul na twarzy zimny powiew wiatru i odetchnął głęboko. Serce biło miarowo, przepelniało go uczucie, że jest wielki, większy nawet niż skulone tu i ówdzie domki z suszonej cegły. Lubił to uczucie. Z sąsiedniej gospody wyszedł Meksykanin, zderzył się z nim i Joe zepchnął go ze schodków z

powrotem do cuchnącej od wódki knajpy, posyłając w ślad za nim hiszpańskie przekleństwo. Nieco dalej stał inny Meksykanin, ale na widok Burdette a czym prędzej czmychnął na bok. Joe roześmiał się głośno. Chwiejnym krokiem ruszył dalej, przeszedł przez plac z rozsypującą się już barokową kaplicą misyjną i uginającymi się na wietrze topolami. Za placem mieścił się hotel, dwupiętrowa budowla drewniana w jankeskim stylu, a po drugiej stronie ulicy — więzienie. Był to solidny budynek z suszonej cegły, podobny do twierdzy. Joe przeszedł przez ulicę i skierował wzrok na zzarty już przez deszcze drewniany szylt:

## SZERYF JOHN T. CHANCE

Mimo woli uśmiechnął się. Wiedział, dlaczego szeryf John T. Chance zjawiał się tego wieczoru w saloonie Rio Bravo Z pewnością dotarły do niego wiadomości o tym, co Joe narozrabiał po tamtej stronie granicy, tak więc wyruszył natychmiast, aby spotkać się z winowajcą. Joe nie starał się nawet pohamować rozbawienia. Dude Walton wyręczył go, unieszkodliwił

Chance'a, może nawet na zawsze. Ta wieść na pewno ucieszy Natana.

Natan miał mu wprawdzie za złe to i owo, ale Joe nie przejmował się tym. Zdażył się już przyzwyczać do takich sytuacji i ani myślał zaprzętać sobie nimi głowę. Jak daleko sięgał pamięcią, zawsze pakował się w jakieś kłopoty, a Natan przeklinał go wtedy, ale nigdy nie zostawiał samego w potrzebie. Dobrze było mieć takiego brata: ta świadomość dawała Joe poczucie nieograniczonej wolności, całkowitej bez troski.

Zza węgła wyszła jakaś kobieta, Meksykanka, z twarzą opatuloną w czarny szal. Joe dogonił ją w kilku susach i zatrzymał, przytrzymując za łokieć. Następnie ściągnął z jej twarzy szal i ujrzał parę czarnych, roziskrzonych oczu. Kobieta nie była już młoda i prawdopodobnie nigdy nie zaliczała się do ładnych. Joe odepchnął ją więc i pomaszerował dalej. Uświadomił sobie, że w tej chwili bardziej przydałaby mu się jeszcze jedna butelka whisky niż kobieta, skierował się więc do najbliższej gospody.

Knajpa była mała i wypchana ludźmi po brzegi. Ktoś grał na gitarze i śpiewał, nastrój był pogodny. Ale



w tej samej chwili, kiedy Joe wszedł do środka, śpiew i rozbawione głosy umilkły. Mężczyźni rozstapili się przed nim, nie kierując się przy tym względami unizoności; byli po prostu przezorni. Joe stał na chwiejnych nogach, dotykając niemal głową niskiego sufitu z bali. Zamówił whisky, otrzymał ją i zaczął pić. W izbie panowała absolutna cisza, tak jakby wszyscy wstrzymali oddech. Nagle Joe zauważył, że barman, który podał mu whisky, wpatruje się w drzwi. Powoli odstawił kieliszek i odwrócił się, opuszczając rękę do pasa.

Barman dał nura za bar.

Joe dotknął palcami rewolweru i raptem znieruchomiał.

W drzwiach stał Chance. Był bez kapelusza, z rany na czole nadal sączyła się krew.

Pod pachą trzymał karabin, celując w brzuch Joe.

Joe wypuścił powietrze przez zaciśnięte zęby. Kipiał ze złości, ale nie odważył się dobyć broni. Ociągając się podniósł ręce do góry.

Chance podszedł bliżej. Joe był wysoki i dobrze zbudowany, ale szeryf nie ustępował mu pod tym

względem ani trochę; sprawiał tylko wrażenie bardziej przysadzistego i masywnego. Jego postać zdawała się wypełniać całe pomieszczenie.

Ktoś krzyknął nagle:

— Nie ruszaj się szeryfie!

Za plecami Chance'a weszło do knajpy kilku mężczyzn. Ludzie Burdette'a. Dwóch czy trzech trzymało już w dłoniach rewolwery. Joe roześmiał się z ulgą. Opuścił ręce, a Ray Fowler, jeden z tych, którzy przedtem trzymali Dude'a, skinął głową.

— Możesz stąd wyjść, Joe. On ci nic nie zrobi.

To, co wydarzyło się potem, stało się tak szybko, że trudno było ogarnąć to wzrokiem.

Joe był zwrócony w stronę drzwi i mógłby przysiąc, że na ciemnej, wietrznej ulicy nie dostrzegł żadnego poruszenia. Ale jeden z jego ludzi chwycił się nagle zaskoczony za pustą kaburę, a w progu stanął Dude Walton, trzymając jego rewolwer w prawej dłoni. Wiatr targał jego postrzępione ubranie i rondo kapelusza, a blask lamp oświetlał go wystarczająco dobrze, by można było dostrzec białą jak ściana twarz i rozognione jak w gorączce oczy.

— Wynoście się — powiedział do ludzi Burdette'a.  
— Ale już!

Ray Fowler otrząsnął się już z pierwszego szoku i machnął lekceważąco ręką.

— Ach, to tylko nasz pijaczyna! Zjeżdżaj stąd, borrachin, bo może ci się jeszcze przydarzyć coś złego!

Roześmieli się i odwrócili od niego.

Dude odstrzelił Fowlerowi obcas prawego buta. Ray dobył colta i obrócił się na pięcie, ale Dude strzelił po raz drugi. Broń Raya upadła na podłogę, z dłoni pociekła krew.

— Może nie dosłyszeliście, co on powiedział — odezwał się spokojnym głosem Chance. — Powtórzę więc: wynoście się!

Lufa jego karabinu była skierowana na ludzi Burdette'a. Wahali się jeszcze przez chwilę, po czym zaczęli wychodzić, jeden za drugim, nie patrząc na Dude'a, który odsunął się na bok, aby ich przepuścić.

Joe odprowadzał ich spłoszonym wzrokiem. Pojął nagle, że zostawiają go samego.

Dobył rewolweru, ale Chance uderzył go lufą karabinu w głowę i nogi ugięły mu się w kolanach.

Chance powtórzył cios, tak na wszelki wypadek, a kiedy Joe runął na podłogę, nachylił się nad nim i zabrał broń. W tym czasie Dude wyglądał na ulicę. Patrzył tak długo, aż ostatni z ludzi Burdette'a dosiadł konia i odjechał. Przy balustradzie hotelu Rio Bravo pozostał tylko jeden koń: kary Joe Burdette'a z meksykańskim siodłem wybijanym srebrnymi okuciami. Dopiero kiedy jeźdźcy zniknęli w oddali, Dude obrócił się do Chance'a i skinął głową. Potem spojrzął na rewolwer, który trzymał nadal w dłoni i odrzucił go daleko od siebie. Oparł się plecami o drzwi i zamknął oczy, jak człowiek zupełnie wycieńczony.

Chance podszedł do niego.

— To jeszcze nie wszystko. Chodź, pomożesz mi.

Dude chciał coś powiedzieć, ale zdołał jedynie poruszyć bezgłośnie ustami. Wszedł w głąb gospody, chwycił Burdette'a za lewą rękę i wspólnie z Chance'em pociągnęli go przez ulicę do więzienia.

I to właśnie była noc, w której John T. Chance, szeryf z Rio Bravo, pochwycił byka za rogi i nie mógł już sobie pozwolić na to, by go uwolnić.

## II

Jim Ryan jechał przed siebie, nucąc jakąś pieśń.

Ten chłopiec ma ładny głos — pomyślał Pat Wheeler — i potrafi śpiewać tak cicho, że to wszystko tworzy miłą dla ucha całość: jego śpiew, skrzypienie kół wozów i uderzania kopyt o ziemię.

Wheeler odwrócił się w siodle i powiódł wzrokiem po kolumnie. Woźnice siedzieli wygodnie na wysokich kozłach, pozwalając mułom, by same dopasowały swój chód do pierwszego zaprzęgu. Za dwunastoma ciężkimi wozami kroczyło stado mułów rezerwowych, spowite w gęstych kłębach kurzu. Słońce stało wysoko na niebie, było gorąco. Zwierzęta szły ze spuszczonej nisko łbami. Na lewo od udeptanej drogi widniała rozległa kraina, rozedrgana teraz w falach żaru. Matowoszara zieleń krzewów szafwii pokrywała ogromne obszary brudnożółtego piachu i tylko tu i ówdzie monotonię krajobrazu przerywały groteskowe skupiska kaktusów czy juki. Z prawej strony droga zamknięta była przez zzarte już erozją i poprzerzynane

rozpadlinami żółte skały płaskowyżu.

W normalnych warunkach Wheeler zarządziłby teraz przerwę na obiad, był to jednak dopiero początek lata i upał nie dawał się jeszcze tak bardzo we znaki. Poza tym chciał dotrzeć do Rio Bravo przed zachodem słońca. Muły potrzebowały wypoczynku, a woźnice zasłużyli sobie na przyjemny wieczór.

Pat zamknął oczy, aby się zdrzemnąć, ale w tej samej chwili Ryan przerwał śpiew i zawołał:

— Hej, mister Wheeler! Niech pan spojrzy, tam, wysoko!

Na krawędzi płaskowyżu pojawił się jeździec. Koń i człowiek trwali w tak idealnym bezruchu, że wyglądali raczej na posagi niż na żywe istoty.

Wheeler spoglądał badawczo przez dłuższą chwilę.

— To jeden z ludzi Burdette'a — powiedział wreszcie. — Cała ta kraina to pastwiska należące do rancza „Srebrna Ostroga”. — Uniósł prawą rękę i pomachał do jeźdźca na górze.

Tamten nie poruszył się. Za bardzo oddalony, by można było dojrzeć jego twarz, przywodził na myśl kamienną statwę wartownika. Pat poczuł się nieswojo.

— Może nie dostrzegł pana — podsunął Ryan.

— Na pewno zauważył. — Wheeler rozejrzał się dokoła, poważnie zaniepokojony i teraz już czujny. Od wielu lat przewoził tędy różne towary i z czasem nauczył się bezbłędnie wyczuwać takie sytuacje jak ta. Wiedział, że coś tu nie jest w porządku.

Gdyby nieznajomy jeździec był kowbojem, odwzajemniłby pozdrowienie. Może nawet zjechałby na dół, aby skorzystać z okazji i uciąć z nimi pogawędkę. On jednak siedział tylko w siodle i nie ruszając się z miejsca obserwował drogę.

Po chwili Wheeler, który nie spuszczał go z oczu, dostrzegł, jak jeździec wyciąga z olstra karabin i podrzuca go oburącz do góry.

— Jest jeszcze jeden — zauważył Ryan, wskazując przed siebie.

Nad urwiskiem stał inny jeździec. On również trzymał karabin nad głową.

Najwidoczniej przekazywał dalej sygnał otrzymany od pierwszego.

— Co robimy? — zapytał Ryan.

— Ty pojedziesz dalej — odparł Wheeler.

Następnie zawrócił i zamienił kilka słów z Samem Gilsonem, woźnicą z pierwszego wozu. Pomocnik Sama zeskoczył na ziemię i przekazał wiadomość dalej. Jeden po drugim woźnice zrywali się z drzemki, chwyтали mocniej za cugle, rozglądali się bacznie dokoła i wyciągali spod kozłów broń. Wheeler dał sygnał, by zwiększyć tempo, po czym udał się z powrotem na czoło kolumny. Mimo iż wyteżał wzrok, nie ujrzął nikogo oprócz samotnego jeźdźca na skraju płaskowyzu, o ćwierć mili dalej. Wartownik wsunął z powrotem karabin do olstra i znieruchomiał, podczas gdy karawana wozów przeciągała w dole. Pat poczuł dreszcz w całym ciele. Co chwila obracał się w siodle, aby spojrzeć na jeźdźca. Zauważył wreszcie, jak tamten unosi prawą rękę i opuszcza z powrotem.

Za krzewów przesłaniających wyschnięte koryto potoku, jakieś pięćdziesiąt metrów dalej, wyłoniło się sześciu uzbrojonych mężczyzn.

Wheeler podniósł dłoń i wozy zatrzymały się z piskiem hamulców. Ryan spojrzał pytająco.

— Nie szarżuj, chłopcze! — powiedział Pat ostrym głosem. — Najpierw musimy się dowiedzieć, o co im



chodzi.

Młodzieniec był odważny, ale brakowało mu doświadczenia. Wheeler pomyślał o ładunku transportowanym w niektórych wozach i oblał się zimnym potem. Porywczosć Ryana mogła sprowadzić na nich wszystkich nieszczęście.

Jeźdźcy byli już blisko.

Wheeler poznał ich przywódcę. Był to Matt Harris, zarządca rancza Natana Burdette'a. Miał ostre rysy twarzy, pomarszczoną skórę i zimne oczy.

Ta twarz — pomyślał Wheeler — nie mogłaby sprawiać wrażenia przyjaznej, nawet gdyby Harris starał się o to z całych sił.

Ale w tej chwili Matt z pewnością nie miał nawet zamiaru starać się o dobre wrażenie.

On i pięciu pozostałych jechali strzemię w strzemię, zajmując całą szerokość drogi. Harris obrzucił szybkim, baczny spojrzeniem najpierw Wheelera, potem Ryana, a następnie cały sznur wozów.

— Jeżeli żaden z was nie będzie szukał kłopotów — oświadczył — wszystko odbędzie się spokojnie. To nie jest napad.

— Więc co, jeśli nie napad? — Wheeler po czuł, że ogarnia go gniew.

Tamten zignorował jego pytanie.

— Zmierzacie do Rio Bravo? — zapytał.

— Na to wygląda. Chyba tam właśnie prowadzi ta droga? — burknął Wheeler.

— Chcecie tylko przejechać, czy macie zamiar tam przenocować? — Harris nie spuszczał go z oka.

Twarz Wheelera nabiegła krwią. Niepohamowany temperament zaczynał brać górę nad rozwagą.

— Co cię to obchodzi? — zawołał poirytowany.

— Nie macie praw zatrzymywać nas, na drodze!

Harris uśmiechnął się.

— Znajdujecie się na ziemi Burdette'a.

— Wiem — odparował Wheeler. — Ale to droga publiczna.

— Cóż — powiedział zarządca przeciągłym tonem.

— Zależy, jak się na to patrzy. A ty nie odpowiedziałeś na moje pytanie.

Wheeler przeszył go wściekłym wzrokiem. Zapomniał już prawie, że jeszcze przed chwilą truchlał ze strachu. Ryan trącił konia piętami, zatrzymał się u

jego boku.

— Czy chce mu pan odpowiedzieć, mister Wheeler? — zapytał uprzejmie. Widać było, że i on jest rozwścieczony i aż pali się do walki.

— Sprzeczką nie ma sensu! — Pat potrząsnął głową.

— Jak pan sobie życzy, mister Wheeler. — Ryan wzruszył ramionami.

Harris uśmiechnął się krzywo, podobne miny miało też pięciu pozostałych. Nie wyglądali jak kowboje, raczej jak rewolwerowcy. Ale drużyna Burdette'a często składała się z ludzi, których trudno było sklasyfikować jednoznacznie. Wheeler przemógł się, by odpowiedzieć na pytanie.

— Chcemy zatrzymać się w Rio Bravo na jedną noc, tak jak robimy to zawsze od trzech lat. — Splunął na ziemię i dodał: — Co właściwie znaczą te pytania?

— Dostaliśmy rozkaz, by pytać, to wszystko — odparł Harris.

— A kto wam dał taki rozkaz? — głos Ryana był nadal uprzejmy.

Harris poruszył głowę, wskazując na Wheelera.

— Zapytaj jego. Zna dobrze Burdette'ów.

— Ale to przecież panu zadałem pytanie — odparł Ryan.

Harris wpił w niego ostre spojrzenie swych zimnych oczu.

— Coś ty za jeden?

— Dostał pan rozkaz, aby o mnie pytać? — Ryan uśmiechnął się.

Harris wpatrywał się w niego bez słowa jeszcze przez dłuższą chwilę, wreszcie tracił konia i ruszył wzdłuż karawany. Jego ludzie nie odstępowali go nawet na krok. Wheeler skierował wzrok na Ryana.

— Chyba umiesz myśleć — powiedział gniewnie.

— Trzy wozy załadowane są dynamitem, cztery naftą. Czy muszę wyjaśnić ci to lepiej?

— Nie, sir.

Nie ukrywając rozdrażnienia Wheeler dał znak, by wozy ruszyły. Jeszcze dwukrotnie dojrzeliby jeźdźców na skałach, ale nikt ich nie zatrzymywał. Pat zaczął opowiadać Ryanowi wszystko, co wiedział o Burdette'ach, a nie było tego wiele. Nie znał osobiście żadnego z obu braci, ale każdorazowo, kiedy

przejeżdżał przez Rio Bravo, co zdarzało się mniej więcej cztery razy w roku, odnosił wrażenie, że są coraz potężniejsi, coraz bogatsi i coraz mniej sympatyczni.

Droga oddalała się od skał, biegła teraz obok niedostępnych piargów, po czym zaczęła wznosić się do góry. Dotarli do rozwidlenia. Główny szlak ginał gdzieś dalej w rozedrganym od upału bezkresie, trakt boczny natomiast wspinał się coraz wyżej, wiodąc wzdłuż grzbietów górskich. Wheeler skręcił. Z tyłu dobiegały go okrzyki i trzaskania z bicia; to woźnice poganiali muły, chcąc jak najszybciej pokonać wzniesienie.

Pat wpatrywał się przed siebie. Tam, gdzie teren zamieniał się w równinę, dochodząc do podnóża urwiska płaskowyzu, widać już było zabudowania Rio Bravo. Za miastem wznosiły się strome, nagie ściany skalne, przecięte przez wąwóz rzeki Rio Bravo. A w górze siedziało na koniach dwóch wartowników. Ich uwagi nie mogło ujść nic, co działo się na ulicach miasta.

Kolumna wozów przeciągnęła powoli obok

cmentarza, potem przez nędzne uliczki dzielnicy meksykańskiej, gdzie niskie chałupy z suszonej cegły, skupione ciasno jedna przy drugiej, smażyły się na słońcu. Zazwyczaj w owych uliczkach roilo się aż od dzieci i kóz, starców z siwymi wąsami, siedzących pod dachami z cienkich słomianych mat, i od kobiet w czerni, wykonujących zwykle, codzienne prace albo też gawędzących z sąsiadkami i karmiących piersią swoje małe pociechy. Dziś ulice były jakby wymarłe, puste i ciche w popołudniowym blasku. Drzwi i okna były szczelnie zamknięte, wszędzie panowała głucha cisza. Poprzez zapach rozgrzanego kurzu, zjełczalej oliwy, popiołu i bydła Wheeler wyczuł paniczny strach wiszący w powietrzu.

Pomiędzy meksykańską dzielnicą i amerykańską częścią miasta stał na wpół już walący się budynek z drewna i nie otynkowanego muru, który dawniej służył za stajnię, zanim jeszcze w pobliżu hotelu wybudowano nową. Znajdująca się opodal stara studnia nadal mogła zaopatrywać w wodę. Koryto dla koni było pełne, naprawiono też dach ze słomy, aby stojące pod nim konie nie dostały udaru słonecznego.

Właśnie przed tym budynkiem, na samym środku ulicy stał jeździec na koniu, zagradzając drogę.

### III

Promienie słońca połyskiwały na metalowej odznace, przypiętej po lewej stronie jego kamizelki. Wyglądało na to, że jest tu oficjalnym przedstawicielem prawa, Wheeler tracił więc konia i ruszył kłusem.

Nieznajomy nie dał mu dojść do słowa, poczekał tylko, aż zbliży się i zatrzyma, po czym zawołał:

— Witaj, Wheeler. Niech wozy pojedą dalej. Powiedz ludziom, żeby nie oddalali się od nich tak długo, aż nie dostaną nowych instrukcji.

Wheeler świdrował go wzrokiem. Ten człowiek nosił gwiazdę zastępcy szeryfa, nie wyglądał jednak na przedstawiciela prawa. Przywodził raczej na myśl włóczęgę, wynędzniałego włóczęgę w łachmanach. Ale głos imponował pewnością siebie. Mężczyzna spoglądał teraz na wozy, tak jakby zapomniał już zupełnie o Wheelerze.

Pat poczuł, że ogarnia go znowu wściekłość.

— Co to ma znaczyć? Kim, u diabła, jesteś, że wydajesz mi polecenia? Najpierw ci od Burdette'a,



teraz znowu ty... — Urwał, przechylił się w siodle, zmrużył oczy i wysunął podbródek do przodu. — Hej, przecież my się znamy! Gdzieś cię już widziałem, mógłbym przysiąc!

Tamten wzruszył obojętnie ramionami.

— Możliwe.

Wheeler opadł z powrotem na siodło i lekceważąco wydał wargi.

— Już wiem! Jesteś tym, którego Meksykanie nazywają el borrachin. Ta gwiazda wprowadziła mnie w błąd. Ale tylko na chwilę. — Roześmiał się, ale śmiech ten pozbawiony był wesołości. — Musisz mi wybaczyć. Po raz pierwszy widzę cię w takim stanie.

— Jeśli chodzi ci o to, że jestem trzeźwy — odparł Dude Walton — to masz chyba rację. Więc jak, powiesz to swoim ludziom, czy ja mam to zrobić?

Wheeler zawahał się. Kiedy po raz ostatni widział Dude'a, ktoś wyrzucił go akurat z saloonu, leżał więc w słońcu na ulicy tak długo, aż jakiś litościwy przechodzień zawlókł go w cień najbliższego domu. Wheeler miał teraz ochotę powiedzieć mu, aby dał mu spokój i poszedł do diabła, ale w tym człowieku było

coś, co nakazywało ostrożność. Dude był dziś jakby kimś innym. W jego spojrzeniu malowała się udreka, ale również groźba, a na wąskich biodrach wisiał ciężki kolt. Poza tym nosił na piersi gwiazdę.

— Już dobrze, powiem im — mruknął Wheeler. Przejechał wzdłuż kolumny, przekazując wszystkim polecenie. Kątem oka zauważył, że Dude cofnął się kawałek i bacznie obserwuje wozy, nie zsiadając z konia i trzymając przez cały czas prawą dłoń na kolbie rewolweru.

Wheeler ruszył znowu do przodu, kiedy usłyszał głuche dźwięki bębna. Po chwili ujrzał małego chłopca, Meksykanina, w wieku mniej więcej dwunastu lat. To on uderzał w ogromny bęben. Za nim jechał karawan. Był to rozsypujący się już ze starości powóz ozdobiony nadmierną ilością barokowych rzeźb. Czarny lakier był popękany i wyblakły od słońca, a rzeźbione kiście owoców, draperie i bukiety kwiatów, podtrzymywane przez figurki aniołów, wykazywały rysy i głębokie blizny. Ludzie zdejmowali kapelusze z głów. Wheeler znał Berta Pegrama, przedsiębiorcę pogrzebowego, ale tamten jakby go nie dostrzegał.

Siedział sztywno na koźle swego karawanu, odziany w czarny frak, i patrzył nieruchomo przed siebie. Za powozem szli pieszo pastor i dwaj ministranci oraz kilkunastoosobowa grupa kobiet i mężczyzn w odświętnych ubraniach. Jak na uczestników orszaku pogrzebowego mężczyźni mieli dziwnie zacięte miny, niektórzy z nich przypasali sobie nawet broń.

Wheeler nałożył z powrotem kapelusz i ruszył w górę ulicy. Chciał odszukać Chance'a.

Szeryf stał przed wejściem do więzienia, niedbale podtrzymując ręką lufę karabinu.

Nie miał przy sobie innej broni. Pat jechał wprost na niego, mijając ludzi na pół skrytych w drzwiach domów i za tym czy innym rogiem, obserwowali kondukt, ale najwidoczniej nie odważyli się wyjść dalej. Dźwięki fortepianu z saloonu Rio Bravo rozbrzmiewały nienaturalnie głośno.

— Co tu się, u diabła, dzieje? — zawołał Wheeler, rezygnując ze słów powitania.

Chance skierował wzrok na wozy.

— Każ swoim woźnikom, żeby zatrzymali się tak, jak teraz stoją. Pat. I niech nie odchodzą od wozów —

powiedział.

— Niech mnie diabli, jeśli to zrobię — wybuchnął Wheeler. — Mam już tego po dziurki w nosie! Nie dam moim ludziom żadnych poleceń, dopóki ktoś nie wyjaśni mi, o co tu chodzi. Ciągłe ktoś mi wydaje rozkazy...

— Nie denerwuj się, Pat, bo pęknie — przerwał mu szeryf. Uniósł rękę, dając woźnicom znak, żeby się zatrzymali.

— Posłuchaj, Chance... — Wheeler zmienił teraz ton. — Znasz mnie przecież, jesteśmy starymi przyjaciółmi. Nie masz prawa traktować mnie w ten sposób. Do diabła, myślałem, że będziesz chciał wysłuchać, co zrobili ludzie Burdette'a, a tymczasem ty nie postępujesz wcale inaczej.

Oczy szeryfa skierowały się na niego. Były szaroniebieskie, otoczone zmarszczkami i na tle opalonej twarzy sprawiały wrażenie dziwnie bladych. Wheeler pamiętał je jako przyjazne, pogodne, pełne humoru i nieco senne, ale teraz przebijało z nich coś zimnego i twardego.

— A co zrobili ludzie Burdette'a?

— Zatrzymali mnie — odparł Wheeler. — Kilka godzin temu, na publicznej drodze.

Matt Harris i pięciu innych. Zadali mi kilka pytań, które wcale mi się nie spodobały.

— Będziesz musiał się do tego przyzwyczaić — mruknął Chance. — Kiedy wyjedziesz z miasta, zatrzymają cię na pewno po raz drugi.

Wheeler potrząsnął głową. — Ale ja wracam drogą przez Salt Springs.

— To nic. Ten szlak też jest strzeżony.

— Ale dlaczego? Czemu nie powiesz mi wreszcie, co się tutaj dzieje?

Rozległ się tętent kopyt. To Dude Walton nadjeżdżał galopem.

— Chance! — zawołał ostro. — Cholerny głupcze! Nie stój tak pośrodku ulicy!

— Chwileczkę, zaraz skończę!

— Wejdź natychmiast do środka! — upierał się Dude. Ustawił się za szeryfem i wyciągnął rewolwer, obserwując nerwowo drzwi, okna i wyloty bocznych uliczek.

Chance wzruszył ramionami i skierował się do

więzienia. Dopiero, gdy dotarł do drzwi, Dude wrócił do wozów. Wheeler westchnął.

— Dobra, poddaję się. — Zsunął się z siodła i podążył pieszo za Chance'em, wiodąc za sobą konia. Chance oparł się plecami o ścianę więzienia i ruchem głowy wskazał otwarte drzwi.

— Trzymamy tam Joe Burdette'a.

— Joe Burdette'a? Brata Natana? — Wheeler otworzył szeroko usta.

Chance skinął twierdząco.

— Z jakiego powodu?

— Powód widziałeś już chyba przedtem na ulicy.

Wieźli go na cmentarz.

— Morderstwo?

— Trudno nazwać to inaczej. Całkiem niewinny człowiek, Gurney Hayes. Może go nawet znałeś.

Wheeler pokręcił głową.

— Jezu Chryste — mruknął. — Nic dziwnego, że wszystko stoi tu teraz na głowie. A co powiedział na to Natan?

Chance przeniósł wzrok na obu jeźdźców, którzy ze swego miejsca na skałach obserwowali całe miasto.

— Nic. On nie mówi, lecz działa. — Znowu spojrzął na Wheelera. — Może wreszcie odpowiedziałbyś mi na kilka pytań.

— Jasne — odparł Wheeler. — Na wszystkie, jakie mi postawisz. Mów śmiało.

— A więc ilu ludzi miał przy sobie Matt Harris?

— Pięciu.

— Dokładnie pięciu, za pierwszym razem i za drugim?

— Jak to: za pierwszym i za drugim?

— No... kiedy was zatrzymał i kiedy odjechał.

— Człowieku, umiem chyba liczyć do pięciu. Było ich pięciu, przedtem i potem. Co to za dziwne pytanie?

— Pomyślałem sobie, że kilku z nich mogło się skryć w twoich wozach. Nie ma lepszej metody, by przemycić ich niepostrzeżenie do miasta.

Twarz Wheelera pokryła się rumieńcem. A więc to tego bali się wszyscy w Rio Bravo!

— Znalazłeś wspaniały sposób wypowiedzania podejrzeń, nie ma co! Jeśli myślisz, że jestem..

— Pat, nie bądź taki drażliwy — przerwał mu szybko Chance. — To ci przyniesie kiedyś poważne

kłopoty. — Uśmiechnął się i raptem stał się znowu tym Chance'em, którego Wheeler znał tak dobrze, młodszym o dziesięć lat, dobrym kompanem do kielicha.

— Wcale nie myślę, że byłbyś zdolny do czegoś takiego, ale są przecież różne sposoby, by kogoś zmusić lub nabrać. Dlatego cię o to zapytałem.

— Przyjechał z pięcioma i z pięcioma odjechał — wyjaśnił Wheeler. — Zresztą nikt z nich nie mógłby nawet ukryć się na wozach, bo nie ma tam miejsca. Myślisz, że wożę powietrze? Jaki miałbym z tego zysk? A jeśli chodzi o moją drużynę, to nikogo nie zamieniłbym na któregoś z tamtych łajdaków. — Przyniósł się bliżej do szeryfa.

— Sądzisz, że Natan zaatakuje więzienie?

— Sądzę, że zrobi coś, aby wydostać brata — odparł Chance. — Jego ludzie otoczyli całe miasto. Nie mogę nawet zmienić skarpetek, żeby się o tym nie dowiedział, a co dopiero wywieźć stąd Joe'ego. Morderstwo zostało popełnione wczoraj wieczorem — tu wskazał ruchem głowy na skały — a tamci znaleźli się na górze już o świcie.



Wheeler zasepił się. Współczuł przyjacielowi, a jednocześnie przeszedł go dreszcz emocji, właściwy dla sytuacji, kiedy człowiek spodziewa się burzliwych przeżyć, wie jednak, że nie zagrażają jemu samemu.

— Kto ci pomaga? — zapytał.

— Połowę moich pomocników zdażyłeś już zobaczyć.

— Co takiego? Ten pijaczyna? — Wheeler nie ukrywał przerażenia. — Kim jest drugi?

— Stumpy Anderson. Pilnuje więzienia.

— A to dobre! Staruszek z drewnianą nogą i znany w całym mieście pijak. To rzeczywiście wspaniale, Chance! Wspaniale! Co cię skłoniło do tego kroku?

— Konieczność. — Chance uśmiechnął się.

Odepchnął się od muru na widok zbliżającego się Dude'a. Walton spoglądał na nich z wysokości siodła, mięśnie jego twarzy dygotały, dłonie gmerały nerwowo przy cugłach.

Oddychanie sprawiało mu najwidoczniej trudność. Patrzył na Wheelera jak na wroga. W ogóle wywierał wrażenie, jak gdyby cały świat budził w nim wyłącznie nienawiść.

— Co z jego ludźmi, Chance? Odebrać im broń?  
Chance ziewnął.

— Pat, czy są u ciebie jacyś nowi?

— Nie — odparł Wheeler, ale momentalnie przypomniał coś sobie i dodał: — Nie ma żadnych nowych, prócz Jima Ryana. — Wskazał na trzymającego się opodal młodzieńca.

Ryan trącił konia i zbliżył się do nich.

Chance obrzucił go krótkim spojrzeniem: nowy pracownik Wheelera miał szczupłą budowę ciała i miłą, otwartą twarz. Spod kapelusza wylaniały się jasne włosy, w jego ubraniu nie było nic nadzwyczajnego, poza bogato zdobionym pasem o dwóch kaburach, w których tkwiły kolty.

— Gdzie go wytrzasnąłeś? — zapytał Wheelera.

— W forcie Worth.

— Czym się zajmuje?

Wheeler otwierał już usta, aby odpowiedzieć, ale młodzieniec uprzedził go. W typowy dla siebie sposób, uprzejmym tonem, powiedział:

— Ja też potrafię mówić, szeryfie, gdyby chciał mnie pan o coś zapytać.

Chance skinął głową.

— W porządku, chłopcze. A więc, czym się zajmujesz?

— Jestem strażnikiem i jeżdżę jako ochrona.

— Nie jesteś na to za młody?

Tym razem Wheeler odpowiedział pierwszy, wyręczając Ryana.

— Znałem jego ojca w Colorado. Potrafił dobrze obchodzić się z bronią. Chłopiec jest jeszcze szybszy od niego.

Chance pokiwał głową.

— Musi być szybki, skoro zamierza paradować z dwiema pukawkami. — Obrócił się do chłopca. Czy twój ojciec nie powiedział ci tego, Colorado? Mogą być tylko dwa powody, dla których człowiek włóczy się z dwoma rewolwerami: albo szuka zwady, albo też przed nią ucieka.

— Za tego chłopca ręczę osobiście, Chance — wtrącił Wheeler, rzucając Ryanowi ostrzegawcze spojrzenie.

Ale młodzieniec uśmiechnął się tylko.

— Jeżeli moje rewolwery przeszkadzają panu,

szeryfie, mogę oddać panu jeden na przechowanie. — Zerknął przelotnie na okno więzienia. — Może pan nawet wziąć oba. Nie przydadzą mi się na nic, dopóki ta flinta wycelowana jest prosto na mnie.

Wheeler drgnął przerażony i spojrzął na oba małe, zakratowane okna murowanego więzienia. Z jednego z nich wystawała podwójna lufa śrutówki.

— A poza tym — dodał Ryan — nie szukam zwady.

Chance roześmiał się.

— Możesz zatrzymać swoje spluwy, Colorado. Dam ci radę: jeśli nie szukasz zwady, nie zaczynaj jej czasem.

— W porządku — obiecał Ryan. — A gdybym miał już ją zacząć, powiadomię pana o tym przedtem.

— Zgoda. — Chance zwrócił się teraz do Wheelera. — Dobra, Pat. Możesz ustawiać tu swoje wozy.

Wheeler wazył coś w myślach. Korrale i plac odstawczy mieściły się za hotelem i tam zawsze zostawiał wozy. Ale tym razem uznał, że powinien wybrać inne miejsce.

— Nafta i dyn amit to bard zo wrażliwy towar, a ja p rzywiozłem tu tego tyle, że mógłbym dwukrotnie wysadzić w powietrze całe miasto. Wydaje mi się, że wozy nie powinny stać w pobliżu hotelu i głównej ulicy; wiesz, gdyby doszło do strzelaniny. .

Dude odchrząknął, zabrzmiało to prawie tak, jakby próbował się roześmiać.

— Ustaw je na placu obok magazynów Burdette'a — zaproponował. — Nikt by się chyba nie zmartwił, gdyby tam wyleciały w powietrze.

Wheeler spojrzał pytająco na Chance'a. Szeryf uśmiechnął się przelotnie.

— Dobrze. Zrób tak. — Kiwnął głową.

Wheeler dosiadł konia i odjechał wraz z Ryanem, aby wydać polecenia woźnicom.

Magazyny Burdette'a stały z dala od innych zabudowań na zachodnim skraju miasta, a plac przed nimi nadawał się do odstawienia wozów tak, jak każdy inny. Ludzie zaczęli wyłaniać się ze swoich kryjówek, ulice ożywiały się stopniowo.

— Zastanawiam się — powiedział nagle Ryan — jak to możliwe, że taki typ, jak tamten oberwaniec jest

zastępcą szeryfa.

Wheeler zaklął tylko siarczyście; on też nie potrafił tego zrozumieć. Jedyne wyjaśnienie, jakie przychodziło mu w tej chwili do głowy, to obawa, że Chance zwariował.

Tymczasem Dude siedział na koniu, i przyglądał się, jak wozy, skrzypiąc i piszcząc, ruszają jeden po drugim z miejsca. Gęste tumany kurzu wypełniły ulicę aż pod dachy domostw. Dude otarł sobie pot z czoła.

— Chyba pojedę z powrotem na miejsce i popilnuję znowu ulicy — zaproponował.

— Wyglądasz nieszczególnie — zauważył Chance.

— Źle się czujesz?

— Czuję się wspaniale. — W głosie Dude a zabrzmiała gorycz. — Czuję się tak dobrze, że wstąpię po drodze do saloonu i napiję się piwa.

Chance wskazał ruchem głowy na więzienie.

— Mam tam trochę. Możesz iść ze mną.

— O co chodzi? — zapytał Dude. — Nie wierzysz, że wypiję tylko dwie szklanki?

— Szczerze mówiąc, nie dałbym za to nawet centa — odparł łagodnie, bez gniewu Chance. Zszedł po

schodkach i skierował się do więzienia.

Dude tkwił tak w bezruchu jeszcze przez dłuższą chwilę. Słońce słało na niego gorące promienie, na kościstych ramionach i postrzępionym rondzie kapelusza osiadał kurz. Oblizał sobie wargi, zsunął się niepewnie na ziemię, przerzucił cugle przez balustradę i na uginających się nogach podążył za szeryfem w stronę więzienia.

## IV

W środku panował półmrok i chłód. Stumpy Anderson odstawił śrutówkę i odwrócił się do Chance'a.

— Niech to diabli — mruknął z kwaśną miną. Już myślałem, że nadarzyła się okazja, aby poczęstował tego młokosa paroma ziarenkami śrutu, ale niestety zauważył mnie.

Odpowiedzią Chance'a było soczyste przekleństwo. Już dawno przekonał się, że ze staruszką można dojść do ładu tylko wtedy, kiedy zbeszta się go od stóp do głów; w przeciwnym razie wsiądzie człowiekowi na głowę.

— Zdaje się, że powiedziałem ci przedtem, abys został w ukryciu i nie wystawiał nosa — powiedział szorstko.

— Ładne podziękowanie, nie ma co! — odparł z wyrzutem w głosie Stumpy. —

Nigdy nie można cię zadowolić. — Miał siwe włosy i szpakowatą brodę i w takim obramowaniu



mieściła się jego czerwona twarz o jasnych oczach. Jego lewa noga była sztywna i przy kolanie wykrzywiona nieco do wewnątrz. Przed laty ugodziła go w to miejsce kula karabinowa, a strzelcem był jeden z ludzi Burdette'a. Stumpy wrył to sobie głęboko w pamięć. Teraz z wyraźną urazą dodał: — Chciałem ci tylko dać osłonę, na wypadek, gdyby coś się zaczęło dziać.

Chance wszedł za odrapane biurko, przy którym zwykł zajmować się wszelką robotą papierkową, jaka wiązała się z jego funkcją w tym mieście, po czym zdjął z półki, wiszącej obok stojaka na karabiny, niewielki dzban.

— Gdyby ktoś trafił cię w tym momencie, kiedy pokazałeś w oknie swój łeb, byłbym w jeszcze gorszej sytuacji, niż jestem teraz.

Do środka wszedł Dude. Oślepiiony jeszcze przed chwilą przez słońce, zatrzymał się w mrocznej izbie, mrużąc oczy.

Stumpy, rozdrażniony, wybuchnął:

— Byłbyś w gorszej sytuacji? A nie martwiłbyś się, że zostałem trafiony? Nigdy nie potrafisz myśleć o

innych, tylko o sobie! — Odwrócił się do Dude'a, który męczył się z rygłem przy drzwiach. — To wszystko jest bez sensu. Powinniśmy się do tego przyzwyczać.

Tego drania interesuje wyłącznie własna skóra!

Zasuwa ustąpiła wreszcie i Dude zbliżył się do szeryfa nie zwracając uwagi na Stumpy'ego, który zerkał na niego z ukosa. Chance znalazł gliniany kubek i napełnił go piwem z dzbana, po czym podał Dude'owi, ten zaś uchwycił go oburącz i przytknął ostrożnie do ust. Mimo usilnych starań rozlał trochę. Pił jak wędrowiec, który zabłąkał się na pustyni i po wielu dniach natknął się na wodę.

— Od tej pory będziesz siedział w tyle, obok celi. I żebyś mi się nie ważył otwierać drzwi przykazał Stumpy'emu Chance. Wskazał na kratę, oddzielającą tylną część więzienia, gdzie mieściły się cele. — Jeśli ujrzę choć raz, że są uchylone, wyrzucę cię stąd.

Stumpy mruknął coś pod nosem, ale poszedł we wskazanym kierunku. Chance kroczył za nim.

— Zabarykadowałeś okna? — zapytał po chwili bardziej pojednawczym tonem. Idąc, spojrzął za siebie

przez ramię. Dude odstawił na miejsce pusty kubek, chwycił za dzban i przytknął go do ust.

— Zobacz sam — odparł Stumpy nie bez dumy.  
— Wszystko zabiłem gwoździami.

Tędy nic się nie dostanie do środka, nawet świeże powietrze. — Utykając, ze śrutówką pod pachą, poprowadził Chance'a krótkim korytarzem. — Czy ty w ogóle wiesz, co to dla mnie znaczy? — narzekał. — Siedzieć tu za kratami przez pięć, sześć dni i oddychać tym samym powietrzem co Joe Burdette!

Pięć, sześć dni — pomyślał Chance. Liczba niby nie tak straszna, ale jemu zaczynało się już wydawać, że to cała wieczność. Tyle przynajmniej musiało upłynąć czasu, zanim list, który godzinę temu wziął od niego Jake Meyers, woźnica dylizansu, dotrze do szeryfa federalnego w El Paso, a ten wraz z grupą ochotników dojedzie do Rio Bravo. Chance nie wierzył, by Natan Burdette pozwolił sobie na opór wobec szeryfa federalnego. Ale pięć czy sześć dni to szmat czasu, dużo mogło się jeszcze wydarzyć.

— Nie wiem, czy nie stanę się w tym czasie mordercą, szeryfie! A kiedy przyjdą po mnie, by

zawlec przed sąd przysięgłych, powiem, że to twoja wina, bo zamknąłeś mnie tu razem z nim. — Stumpy wymachiwał gniewnie ręką w powietrzu, po czym spojrzał za róg pomieszczenia. — Słyszałeś wszystko, co powiedziałem, Joe?

Chance przeszedł obok gderającego Andersona i zagłębił się w korytarz więzienny. W jednym końcu stał stary piec żelazny, tuż obok piętrzył się starannie ułożony stos korzeni mimozy. Korytarz przechodził równoległe do tylnej ściany budynku i stanowił jedyny dostęp do trzech cel. Dwie z nich były puste. W środkowej leżał na pryczy Joe Burdette, wpatrując się posepnie w sufit. Kiedy obaj mężczyźni podeszli bliżej, w jego ciemnych oczach pojawił się błysk nienawiści.

— Słyszałem każde twoje słowo, stary — odparł. — I cieszę się, że już wkrótce nie będę musiał cię słuchać.

Stumpy wpatrywał się w niego z dezaprobatą.

— Czy nie zajmowałem się tobą tak troskliwie, jakbym był twoją mamusią? Tak mi za to dziękujesz? — spytał z wyrzutem.

Joe zaklął tylko w odpowiedzi, po czym zwrócił się

do Chance'a:

— Natan nie przyjechał jeszcze do miasta?

— Nie. — Chance oglądał właśnie dwa małe okienka u góry na tylnej ścianie. Były zabite grubymi deskami. Trzeba było przyznać, że Stumpy spisał się znakomicie.

— Nie słyszałeś nic o nim? — nalegał więzień.

— Nie.

Joe uśmiechnął się.

— To już nie potrwa długo. — Wstał z pryczy i oparł się o kraty. — I bardzo dobrze, bo inaczej zanudziłbym się na śmierć. Chyba już lepiej zawisnąć na stryczku. — Cofnął się o krok i zawołał: — Dude! Hej, Dude! Czemu nie przyjdiesz tu, aby dotrzymać mi towarzystwa? Ten stary gaduła działa mi już na nerwy!

Dude nadszedł korytarzem, z dzbanem w dłoni. Joe uśmiechnął się szyderczo.

— Ciągłe jeszcze na nogach, borrachin? Wyglądasz nietęgo, chłopie. Piwo nic ci nie da, potrzebujesz czegoś mocniejszego. — Zaczął przeszukiwać kieszenie. — No, proszę, jeśli jesteś bez forsy, borrachin, mam jeszcze jednego dolara...

Dude cisnął w niego dzbanem. Gлина roztrzaskała się o żelazne pręty, a resztkę piwa, jaka była jeszcze na dnie, opryskała Joe'ego. Dude chwycił oburącz za kraty, przeszywając więźnia płonącym wzrokiem, ten zaś odskoczył odruchowo do tyłu i zaczął otrzepywać sobie ubranie z piwa.

— Tak nie wolno traktować bezbronnego więźnia, szeryfie! Ja też mam jakieś prawa!

— Jeśli chcesz, Dude — powiedział spokojnie Chance — dam ci klucz od celi.

Dude puścił sztaby. Jego twarz była biała jak papier, ale mimo to uśmiechnął się.

— Nie, dzięki — odparł. — To byłoby zbyt łatwe. On nie ma teraz przy sobie swoich chłopców, a potrzebuje ich przynajmniej sześciu u boku, aby poczuć się jak prawdziwy mężczyzna.

Joe zatrzęsł się z gniewu. Zmrużył oczy i spojrzał na Waltona z nienawiścią, zachował jednak przezornie milczenie. Po chwili Dude odszedł, a Chance, który skierował się za nim, odwrócił się jeszcze raz.

— Stumpy, jeśli Joe zacznie ci sprawiać kłopoty, możesz ostudzić go wiadrem zimnej wody —

powiedział.

— Jasne, a drugie wiadro wyleję mu na łóżko i niech tak śpi — zachichotał Stumpy.

Usiadł na starym krześle, stojącym w korytarzu pod ścianą, rozparł się wygodnie i położył strzelbę na kolana. Z tego miejsca widział zarówno celę Joe, jak również przejście do biura.

Następnie wyciągnął z kieszeni kawałek flanelki i zaczął polerować broń. Co jakiś czas przykladał ją do ramienia i celował w więźnia. Joe udawał, że nie zwraca na to uwagi, tracił jednak coraz bardziej panowanie nad sobą.

Chance wrócił do biura i zamknął za sobą okratowane drzwi.

— Napij się jeszcze trochę piwa — powiedział do Dude'a. — Zdaje się, że zmarnowałeś to, co było w dzbanie.

Dude roześmiał się.

— Wcale nie zmarnowałem. I czuję się wspaniale. — Podeszedł do drzwi. — Na razie.

Chance wyglądał właśnie przez okno i dostrzegł na ulicy jakiś ruch.

— Stój! — powiedział ostro. — Poczekaj, Dude!  
— Ujął karabin i podszedł ostrożnie do okna. — Ktoś zbliza się do więzienia.

Dude wyciągnął rewolwer i stanął przy drugim oknie.

Pustą ulicą nadchodził jakiś mężczyzna. Szedł powoli.

Nosił u pasa rewolwer, nie miał chyba jednak złych zamiarów, gdyż w prawej dłoni trzymał jakiś pakunek.

Kiedy był już w odległości dziesięciu metrów, Dude zawołał przez okno:

— Nie podchodź bliżej!

Mężczyzna zatrzymał się i mrużąc oczy w promieniach słońca, spojrzał w ich stronę,

— Czego chcesz? — zapytał Dude.

Tamten uniósł wyżej paczkę.

— Pan Wheeler powiedział, żebym dał to szeryfowi. — Aby udowodnić, że nie knuje nic złego, pokazał pustą lewą dłoń.

— Spodziewasz się jakiejś paczki? — Dude spojrzał z ukosa na szeryfa.

— Nie. — Chance potrząsnął głową. To jakaś



cholerna sztuczka — pomyślał. —

Natan chce, abym poczuł się pewnie, a wtedy zaatakuje więzienie. Odruchowo zacisnął palec na spuście, przeszukując zarazem wzrokiem teren za oknem. Nigdzie jednak nie dojrzał nic podejrzanego. Nagle wyprostował się. — Ach, prawda! Już sobie przypomniałem! To na pewno jest ten prezent, który Carlos zamówił dla swojej żony!

Uświadomił sobie, że drżą mu ręce i poczuł wstyd. Nie upłynęła jeszcze doba, odkąd zaaresztował Joe Burdette'a, a już nerwy odmawiają mu posłuszeństwa! A przecież nic się jeszcze nie wydarzyło! Może właśnie dlatego ogarniał go niepokój. . Spodziewał się, że po otrzymaniu wiadomości o swoim bracie Natan runie na miasto jak rozjuszony byk, tymczasem nawet się nie pojawił. Zamiast tego, rozstawił na okolicznych skałach swoich ludzi, inni zaś pilnowali drogi i obserwowali każdy ruch. W Rio Bravo było coraz więcej ludzi Burdette'a, ale o dziwo przyglądali się tylko wszystkiemu, nie wzniesli żadnych niepokojów. A on, szeryf, tkwił w samym centrum tego wszystkiego i mógł tylko czekać.

— W porządku — zawołał Chance do człowieka, który stał przed wejściem. — Nie ruszaj się, zaraz do ciebie wyjdziemy. — Podeszedł do kraty oddzielającej obie części więzienia i krzyknął: — Hej, Stumpy! Idę na kilka minut do hotelu!

Stumpy wysunął głowę zza rogu i wykrzywił twarz w uśmiechu.

— Dobrze. Nie musisz się śpieszyć. Joe i ja mamy tu bardzo wygodnie.

Chance wyciągnął z kieszeni klucz od więzienia i wrzucił go przez kraty do środka, następnie odryglował drzwi i ostrożnie wyszedł na ulicę. Dude stał z bronią gotową do strzału, rozglądając się bacznie na wszystkie strony, kiedy jednak upewnił się, że wkoło panuje spokój, wyszedł i on na zewnątrz i zamknął za sobą drzwi. Dobięły ich przytłumione dźwięki pianina, ale ulica była jak wymarła. Jedyne na pobliskim rynku dostrzegli ślady życia: Meksykanki z koszami i glinianymi dzbanami na głowach, bawiące się dzieci, kilku próżniaków, przesiadujących jak zwykle pod kościołem. Stragany były już zamknięte.

Chance uświadomił sobie nagle, że musi wyglądać

dosyć dziwnie, kiedy tak stoi z karabinem, rozglądając się i wypatrując ewentualnej zasadzki. Ale potem ujrzał mężczyznę przed saloonem Rio Bravo, przypomniał sobie, że tamten sterczy tu już od świtu i własna ostrożność przestała mu się wydawać dziwna. Odebrał paczkę od człowieka Wheelera i podziękował mu za przysługę.

— Nie ma o czym mówić, szeryfie — odparł tamten i oddalił się tak szybko, jak tylko mógł, starając się jednak nie biec. Chance spoglądał za nim z uśmiechem. Dude stanął u jego boku. On również dostrzegł mężczyznę przed saloonem.

— Widzę, że nasz przyjaciel jest już na posterunku — zauważył.

— Przy kościele jest jeszcze jeden — odparł sucho Chance.

Dude ujął cugle i ruszył z szeryfem ulicą, wiodąc za sobą konia. Obserwował uważnie jedną stronę, a Chance drugą. Żadne poruszenie na ulicy nie mogło ujść ich uwagi.

— Chcą wiedzieć, co się dzieje w więzieniu — powiedział Dude. — Moglibyśmy ich przymknąć,

wtedy ujrzeliby wszystko na własne oczy i zaspokoiliby ciekawość.

— A z jakiego powodu mielibyśmy ich aresztować? Że sobie stoją? Nie zdziwiłbym się wcale, gdyby Natan chciał właśnie w ten sposób przemycić do więzienia kilku swoich.

Doszli już do hotelu. Był nowszy niż reszta zabudowań, miał też dodatkowe piętro.

Carlos robił co mógł, by fasada hotelu była ładnie pomalowana, ale jego zamiar nie miał szans powodzenia. Farba nagrzana przez słońce, odpadała od drewna, a wiatry i piach polerowały deski tak długo, aż przybrały srebrzystoszarą barwę, która zresztą nie wyglądała brzydko.

— Dlaczego Wheeler przyniósł paczkę tobie, a nie od razu Carlosowi? — zapytał nieufnie Dude.

— To ma być prezent urodzinowy dla Consueli. Nie chciał, by ujrzała go przed czasem. — Zdziwił się nagle, że takie sprawy mogły wydawać się jeszcze wczoraj normalne i ważne.

— Nie powiem, by był to właściwy moment na doręczanie przesyłek — zauważył Dude.

— W południe doręczyłem już jedną i to dla ciebie.  
Obiad. Zjadłeś chociaż?

— Zdażyłem już odwyknąć od jedzenia. — Dude odchrząknął.

Chance skrzywił się z dezaprobataą, patrząc, jak dosiada konia.

— Powinieneś się znowu do tego przyzwyczać.

Dude wzruszył ramionami.

— Nie lubię, jak ktoś mnie do czegoś zmusza. —  
Dźgnął konia ostrogami.

Chance spoglądał za nim przez dłuższą chwilę, a potem kręcąc głową wszedł po schodach na górę, do drzwi hotelu, gdzie zderzył się z mężczyzną, który najwyraźniej wybiegł mu na spotkanie.

Był to Harold Royce, przyjaciel zamordowanego Gurneya Hayesa, przyzwoity i sympatyczny człowiek. Prowadził sklep, a poza tym sprawował funkcję burmistrza. Tym razem nie sprawiał wrażenia tak pewnego siebie jak zazwyczaj.

— Dobry wieczór, szeryfie — powiedział.

— Dobry wieczór, Haroldzie — odparł Chance i czekał cierpliwie, podczas gdy tamten chrząkał i kręcił się niespokojnie.

— Potrzebujesz pomocy, szeryfie — wykrztusił wreszcie. — Razem z przyjaciółmi doszliśmy do wniosku, że powinniśmy cię poprzeć.

— Czy potrafisz dobrze strzelać, Haroldzie? — przerwał mu Chance.

Royce spojrział na niego zaskoczony.

— No, wiesz przecież, że nie jestem zawodowcem. Ale...

— Jakoś nie przypominam sobie, abyś kiedykolwiek nosił u pasa splotkę.

— To prawda. Do tej pory nie było takiej potrzeby. Ale teraz jest inaczej i...

Chance był poruszony postawą burmistrza, potrząsnął jednak głową.

— Chciałbym zadać ci jedno pytanie, Haroldzie. Czy byłbyś w stanie zmierzyć się w pojedynkę z takim człowiekiem jak Matt Harris?

— Wiesz doskonale, że nie dałbym rady. Nikt w tym mieście nie dałby rady. Ci, którzy umieją dobrze strzelać, pracują dla Burdette'a — westchnął Royce.

— No właśnie — powiedział łagodnie Chance. — Musiałbym więc jeszcze troszczyć się o ciebie i uważać, by nie stało ci się coś złego. Tak by właśnie było, jeśli spojrzeć prawdzie w oczy.

— Walka nie jest moją specjalnością. I nigdy nią nie była. — Harold opuścił wzrok.

— A więc nie mieszaj się do tego. — Chance położył mu dłoń na ramieniu. — Haroldzie, doceniam twoje dobre chęci i przekaż też innym, że jestem wszystkim wdzięczny.

Ale na twoim miejscu nie rozpowiadałbym o tym na prawo i lewo, bo mógłby się dowiedzieć ktoś

niepożądany:

Na twarzy Harolda malowały się jednocześnie żal i ulga. Skinął głową i udał się w swoją stronę. Chance rozejrzał się wokoło. Duda wjechał przedtem do starej stajni. Teraz wyszedł stamtąd już bez konia i usiadł na skraju ulicy. Szeryf odwrócił się i wszedł do hotelu.

W izbie panowała cisza. Przy jednym ze stolików siedziało kilku Meksykanów, kładąc pasjansy. Dwaj mężczyźni stali przy kontuarze, rozmawiając z Carlosem i barmanem.

Bar i stoły zajmowały większą część obszernego pomieszczenia. Z prawej strony wejścia mieściła się recepcja, a w głębi widoczne były schody, które wiodły na piętro. Pomiedzy recepcją a schodami znajdowały się przejścia do jadalni i kuchni, skąd dobiegały brzęk sztućców i kobiece głosy, mówiące coś po hiszpańsku.

Carlos wyszedł zza baru i zbliżył się do niego.

— Juan, przyjacielu, mam dla ciebie wiadomość...  
— jego wzrok padł na paczkę, którą Chance podniósł do góry. Urwał i uśmiechnął się szeroko.

— Masz, to ten prezent, na który czekałeś. — Szeryf podał mu paczkę.



— Wspaniale. Przyszedł w samą porę... — promieniał Carlos.

Z kuchni dobiegł głos wołającej go żony. Carlos czym prędzej wetknął paczkę szeryfowi pod pachę.

— Trzymaj ją — szepnął. Przybrał minę pełną powagi i dodał głośniejsz. — Z pewnością stało się coś złego. Zginęła łyżka albo wykipiała fasola. — Uczynił oburącz gest przesadnej rozpaczki w tym samym momencie, kiedy Consuela podeszła do nich. Wykrzywiła się do męża, a potem roześmiała wesoło. Była jeszcze bardzo młoda. Pobrali się przed dwoma laty i Carlos w dalszym ciągu uważał ją za najpiękniejszą kobietę pod słońcem. Chance musiał przyznać w duchu, że opinia ta nie była zbyt przesadzona.

— To na mnie spada cała robota — poskarżyła się Consuela Chance'owi. — A on spędza cały boży dzień przy piwie i dobrze się bawi. — Zwróciła się do męża. — Carlos, muszę cię o to zapytać: czy ty... — urwała i obrzuciła go ostrym wzrokiem. — Co się z tobą dzieje? — zapytała nieufnie. — Masz minę jak pies, który ukradł pęto kielbasy. Coś znowu przeszkrobał?

— Madre mia! — wykrzyknął Carlos. — Rozmawiałem właśnie z moim przyjacielem, szeryfem, a ty pytasz, co przeskrobałem! Omawiamy bardzo ważne sprawy, a ty mówisz, że wyglądam jak pies, który zeżarł kradzioną kiełbasę! Spójrz na mnie! — Poklepał się po brzuchu i obrócił się przed nią dokoła. — Czy wyglądam na naźartego? Na pewno nie! — Potrząsnął gwałtownie głową. — Nie wiem, dlaczego w ogóle wygadujesz takie rzeczy!

Consuela zaczerpnęła głęboko tchu. Chance przyglądał się jej z prawdziwą przyjemnością: nosiła śmiało wydekoltowaną bluzkę, kiedy więc wpadała w złość i oddychała ciężko, mógł liczyć na wspaniały widok. Miała kuszącą figurę, ładniejszą i o wiele bardziej naturalną, niż mogły stworzyć wszystkie te dziwaczne gorsety, z których amerykańskie kobiety były tak dumne.

Jeżeli się kiedykolwiek ożenie — pomyślał szeryf John T. Chance — od czego uchowaj mnie, Boże, to tylko z taką dziewczyną jak Consuela.

Consuela otworzyła już usta do dłuższego kazania, ale Carlos władcym gestem uciął dalszą dyskusję.

— Nie, nie, nic już nie mów, Consuelo. I tak powiedziałaś już za dużo. — Ujął Chance'a pod ramię i poprowadził schodami pod górę. — Mój przyjaciel i ja omówimy naszą sprawę w cztery oczy. Chodźmy, Juan.

Chance nie stawiał oporu, ale po kilku krokach obrócił się. Consuela stała tak, jak ją zostawili, odprowadzając ich nieufnym spojrzeniem, wsparta pod boki, z gniewnie wydętymi czerwonymi wargami. Kiedy weszli już na piętro, powiedział do Carlosa:

— Dużo ryzykujesz, przyjacielu.

— Mogę sobie na to pozwolić — uśmiechnął się Carlos. — Znam się na kobietach.

Albo jest teraz na mnie wściekła, albo jest jej przykro, że mnie zdenerwowała. Jeżeli jest wściekła, będę miał okazję, by ją udobruchać, a musisz wiedzieć, że nie ma nic przyjemniejszego. . Jeśli natomiast jest jej przykro, to też dobrze. Przyjemność nie będzie wcale mniejsza. Wiem coś na ten temat. Jeśli zechcesz kiedyś dowiedzieć się czegoś o kobietach, przyjdź na naukę do Carlosa Remonte. — Roześmiał się, zadowolony z siebie, wziął paczkę i zaczął obracać ją na wszystkie strony. — Poczekaj chwilę, zobaczysz, co jest w

środku, a potem powiesz mi, czy znam się na kobietach czy nie.

Chance otworzył drzwi do swego pokoju. Izba była bardzo oszczędnie umeblowana i właściwie nie było miejsca, w którym ktoś mógłby się na niego zaciać. Znowu przyszło mu na myśl, że jego ostrożność może wydawać się dziwna i przesadzona. Poczł złość, że został zmuszony, by myśleć tylko o czyhających na niego niebezpieczeństwach.

Podszedł do okna i upewnił się, że również na okolicznych dachach nie ma nikogo.

Carlos zatrzasnął za sobą drzwi. Odskoczyły z powrotem od framugi, ale on był za bardzo zaaferowany paczką, by zwrócić na to uwagę. Pieczołowicie ułożył ją na łóżku Chance'a i małym nożykiem przeciął sznurek, po czym starannie odwinął brązowy, zakurzony papier.

— Gdybym kupił to sam — wyjaśnił — zaraz wiedziałoby o tym całe miasto. Dlatego poprosiłem señora Wheelera, żeby... ach! — Otworzył właśnie wieczko pudełka. — Ach! — powtórzył z zachwytem, wyciągając na wierzch niemal przejrzyste, ozdobione

koronką czerwone majteczki.

Chance wydał wargi, jakby chciał zagwizdać, i podszedł do niego bliżej. Czerwony jedwab był tak delikatny, że istotnie nie był w stanie niczego przesłonić.

— Czy nie piękne? — zapytał Carlos. Rozmarzony, przymknął oczy. — Wyobraź sobie, jak ona będzie w tym wyglądała!

— Naprawdę chcesz, żebym to sobie wyobraził?  
— Chance z trudem utrzymywał powagę. Carlos otworzył oczy i roześmiał się.

— Nie. Już lepiej zostaw to mnie. — W dalszym ciągu wpatrywał się z zachwytem w swój prezent dla żony.

Od strony drzwi rozległ się nagle czyjś głos.

— Przepraszam bardzo, że przeszkadzam. .

Chance chwycił odruchowo za karabin, niemal w tym samym momencie uświadomił sobie, że głos należy do kobiety i opuścił rękę.

— Ta część garderoby nie jest chyba odpowiednia dla pana — powiedziała dziewczyna i uśmiechnęła się, a Chance poczuł, że robi się tak samo czerwony, jak te zwiewne koronki. Carlos wpatrywał się zaskoczony w

dziewczyne. W dalszym ciągu trzymał majtki przed sobą, rozpostarte jak chorągiew.

— Co pani tu robi? — warknął gniewnie Chance.

— Zajrzałam tylko na chwilę. — Oparła się o drzwi i zmierzyła taksującym wzrokiem przejrzyste majteczki. — Taka bielizna kryje w sobie bez wątpienia wiele możliwości, ale nie dla pana. Może mi pan wierzyć.

Znowu się uśmiechnęła. Miała na sobie błękitny szlafroczek obramowany piórami, jej ciemne włosy były luźno upięte w górze. Szlafrok rozchylił się nieco z przodu, odsłaniając gołe kolano. Było ono nader pociągające, a obcisły materiał zdradzał, że również reszta ciała zasługuje na najwyższe uznanie. Ale Chance nie dostrzegał teraz tego wszystkiego.

— Pytałem, co pani tu robi — powtórzył.

— Szukałam ręcznika — odparła swobodnym tonem. — Nie mogłam znaleźć żadnego w moim pokoju, a chciałabym wziąć kąpiel.

— Przyjechała pani dylizansem — zauważył Chance. — I powinna była pani nim odjechać.

— To prawda.

— A więc dlaczego jest pani jeszcze tutaj, a nie w dylizansie?

Carlos klepnął się w czoło.

— Juan, zupełnie zapomniałem. Chciałem powiedzieć ci to już przedtem, ale przez tę paczkę wyleciało mi to z głowy. Dylizans nie odjedzie.

Chance obrócił się do niego na pięcie, zaskoczony. Jego oczy stały się raptem zimne.

— Dlaczego nie odjedzie?

— Z jednym kołem coś nie jest w porządku. Nie wiem dokładnie.

— Gdzie Jake?

— Przy dylizansie. — Carlos wskazał głową na tył hotelu, gdzie znajdowała się wozownia. — Musiał dać to koło do naprawy, inaczej nie odjechałby stąd.

Chance chwycił karabin i wybiegł z pokoju. Dziewczyna uskoczyła na bok w ostatniej chwili, zawołała coś za nim, ale Chance nie zwrócił na to uwagi. W kilku susach znalazł się na parterze, po czym wypadł tylnymi drzwiami na zewnątrz.

Przed nim rozciągał się obszerny dziedziniec stajni. W korralach tłoczyły się muły Pata Wheelera. Dylizans

stał na swoim miejscu, ale konie zdołano już odprowadzić z powrotem do stajni. Niewielka grupa gapiów otaczała pojazd, przy którym krzątało się trzech mężczyzn. Chance rozpoznał ich z daleka: byli to Jake Meyers, woźnica, kowal Martin i Finch, kołodziej.

Spiesznie przeszedł przez dziedziniec, przecisnął się pomiędzy gapiami do przodu i stuknął Meyersa w ramię:

— Co się stało, Jake?

— Kilka połamanych szprych, to wszystko. — Jake był chudy i wysoki. Jego siwe, zabarwione wokół ust od tytoniu, wąsy zwisały po bokach aż na kołnierzyk. Mówiąc, akcentował każde słowo uderzeniem rękojeści bata o ziemię. — Kilka połamanych szprych.

— Koniuszki jego wąsów dygotały. Jake był poirytowany. — O, spójrz na to!

Wskazał batem na prawe przednie koło, potem obszedł dylizans i pokazał lewe tylne.

— Ktoś zrobił to łomem, kiedy wszyscy jedli w hotelu.

Chance patrzył na połamane szprychy i kłął



siarczyście.

— Myślisz, że to z powodu tego listu do szeryfa federalnego, który miałem zabrać ze sobą? — Jake nachylił się do jego ucha.

— Jestem tego pewien. — Przekazał mu ten list ukradkiem, wiedział bowiem, że jest ustawicznie obserwowany, ale nawet największy dureń, a Natan Burdette nie był przecież durniem, domyśliłby się, że Chance zechce wykorzystać dylizans, aby przekazać dalej wieści o sytuacji w mieście. Dylizans zawsze zabierał pocztę i nawet Natan Burdette nie mógł pozwolić sobie na to, by uniemożliwić dalszą jazdę. Zadarłby w ten sposób z samym rządem. Postanowił więc po prostu zyskać na czasie. Najwidoczniej wołał unikać otwartego konfliktu. A trudno było przecież dowieść, że to on maczał palce w tym akcie sabotażu.

Chance przeniósł wzrok na skały, skąd ludzie Natana obserwowali całe miasto, trwając w bezruchu niczym posągi symbolizujące potęgę Burdette'a. Z trudem zwalczył nagły impuls, by wycelować w nich i zestrzelić z tych skał. Podszedł z powrotem do Martina i Fincha, którzy w dalszym ciągu oglądali uszkodzone

koła.

— Ile może potrwać naprawa? — zapytał.

— Czy ja wiem... To zależy... — Martin podrapał się po głowie.

— Musicie zrobić to jak najszybciej — przerwał Chance.

— Finch będzie musiał utoczyć kilka nowych szprych, a ja zajmę się obręczami — tłumaczył Martin.

— Jeśli będziecie pracować przez całą noc — wpadł mu w słowo Chance — dyliżans wyruszy rano w dalszą drogę.

Kiedy indziej ich zaskoczone miny rozśmieszyłyby go, ale teraz nie było mu do śmiechu.

— Nie wygłupiaj się, Chance — odezwał się Martin. — Przez całą noc? — Wpatrywał się błagalnie w twarz szeryfa, mając nadzieję, że dojrzy w niej choćby cień uległości.

Daremnie.

— Czy to oficjalne polecenie, szeryfie? — odchrząknął Finch.

— Tak. Na waszym miejscu zacząłbym od razu. Macie mnóstwo roboty.

Martin zdusił w ustach jakieś przekleństwo, po czym długimi krokami udał się do kuźni. Chance usłyszał, jak pokrzykuje na swego pomocnika. Finch nachylił się nad kołem i zaczął mierzyć długość szprych.

— Zyskają jeden dzień, nic poza tym — uspokajał szeryfa Jake. — Zostanę tu przez całą noc, z jedną ręką na worku pocztowym, a z drugą na kolbie flinty. Nie martw się, John, twój list dotrze we właściwe ręce, a ja powiem szeryfowi federalnemu jeszcze od siebie to, co trzeba.

— Dzięki, Jake. — Chance odwrócił się. A więc Natan zyska tylko jeden dzień. Ale może tylko tyle czasu mu potrzeba.. Nagle ogarnęło go znużenie i zniechęcenie. Zbyt dużo wydarzyło się w ciągu tej doby. W nocy wiercił się z boku na bok, nie mogąc usnąć. Nie ogolił się, dokuczał mu ból głowy, czuł pieczenie w oczach.

Był już w połowie drogi do hotelu, kiedy przypomniał sobie dziewczynę w szlafroczku z piórami. Zatrzymał się na chwilę, myśląc nad czymś intensywnie, uśmiechnął się i ruszył dalej.

Był niemal pewien, że wie, kim ona jest.

Po powrocie do hotelu stwierdził, że pożyczyła sobie jego ręcznik. Nie poprawiło mu to nastroju. Zaciął się przy goleniu, wytarł sobie twarz brudną koszulą i wrócił do więzienia tak rozjuszony, że nawet Stumpy zostawił go w spokoju.

## VI

Zapadła noc i w dalszym ciągu nie wydarzyło się nic nadzwyczajnego.

Tuż po zachodzie słońca wrócił Dude, który stał na warcie obok starej stajni. Zjadł trzy łyżki białej fasoli i popił to taką ilością piwa, że Chance nie zdziwiłby się, gdyby napój zaczął tryskać mu uszami. Następnie zdrzemnął się w jednej z pustych cel, a teraz, nocą, zebrali się wszyscy trzej w biurze. Chance siedział za biurkiem, grzebiąc w stercie starych listów gończych, a Stumpy stał oparty o drzwi, pykając ze swojej czarnej fajki. Obaj udawali, że nie zwracają uwagi na Dude'a.

A ten nie mógł usiedzieć na miejscu. Dwa lub trzy razy próbował skrócić sobie papierosa, ale zmarnował tylko porcję dobrego tytoniu. Ręce drżały mu tak silnie, że rozsypał tytoń po podłodze. W końcu poprosił Chance'a o pomoc. Zaciągnął się łapczywie kilka razy, ale kiedy złapał go atak kaszlu, cisnął papieros na podłogę i rozdeptał na miazgę. W końcu podszedł do okna, oparł się łokciami o wysoki gzyms i zaczął

wyglądać na zewnątrz.

Chance obserwował go przez chwilę, uniósł brwi i spojrzał na Stumpy'ego. Ale stary wzruszył tylko ramionami i Chance zagłębił się znowu w papierach.

Dude wpatrywał się w ciemność. Wokoło panowała głucha cisza. Tylko z saloonu Rio Bravo dobiegały przytłumione dźwięki pianina, a w niektórych knajpach i domach paliły się światła. Dude przycisnął dłoń do policzka. Czuł pulsujący nerwowo mięsień i był bezsilny.

— Myślisz, że zrobią coś tej nocy? — zapytał.

— Trudno powiedzieć. Natan to stary wyga, zaprawiony do boju jeszcze z czasów walk z Indianami. — Chance wzruszył ramionami. — Zna wiele sztuczek i na pewno będzie się starał wykorzystać każdą okazję, aby się z nami rozprawić. Ale nie sądzę, żeby zaatakował więzienie, nie wiedząc, jak ono wygląda w środku. Wrzucił do kosza pęk pożółkłych listów gończych. Przynajmniej z tymi ściganymi nie było już problemu; wszyscy zdążyli się przenieść na tamten świat. — Chcesz piwa?

— Nie, mam dosyć. To nic nie daje.

— Na twoim miejscu pozostałbym jednak przy piwie — poradził Stumpy. — Jeszcze kilka dni i przyzwyczaisz się, a wtedy nie będziesz pił nic innego.

— Naprawdę wierzysz, że utrzymam się przy życiu tak długo?

Chance wstał ociężale, wsunął do kieszeni jeden z listów gończych i wyjął ze stojaka karabin.

— Stumpy, zrobimy mały obchód. Możesz popilnować tu trochę sam?

— Jasne — odparł Anderson. Wycofał się za kratowe drzwi i zamknął je starannie. — Nie rozumiem tylko, dlaczego z własnej woli opuszczasz to ciepłe, przytulne biuro. Nie wydaje mi się to zbyt mądre. — Machnął w powietrzu śrutówką. — I nie zapomnij zawołać, zanim podejdziesz do drzwi. Pierwszy podejrzany szmer i już strzelam!

— Dobrze, Stumpy, zawołamy. Chodź, Dude — Chance odryglował drzwi i uchylił je ostrożnie.

Dude wpatrywał się w mrok ponad jego ramieniem.

— Nie zauważyłem nikogo — powiedział. — Masz jakiś szczególny powód, by akurat teraz wybrać

się na spacer?

— Wolę być na ulicy i zorientować się, co mnie czeka, zamiast siedzieć beczynn timerze.

Wyszli szybko i Dude zamknął drzwi, podczas gdy Chance go osłaniał. Wiatr przybrał na sile. Był zimny i gnał przed sobą tumany piachu. Szeryf naciągnął głębiej kapelusz. Ulica była jakby opuszczona, ale właśnie ta cisza była niepokojąca. Chwycił oburącz naładowany karabin, nie zdejmując palca ze spustu, i usiłował przeniknąć wzrokiem czerń nocy, zalegającą pomiędzy domami, w zakamarkach i przejściach. W końcu skinął głową.

— Dude, przejdź na drugą stronę.

Począkał, aż Dude przebiegnie przez ulicę, po czym ruszył przed siebie. Szli równym krokiem, aby być stale na tej samej wysokości ulicy, powoli, rozglądając się bacznie i nasłuchując.

Chance czuł, że nerwy ma napięte do ostatnich granic, wstrząsał nim na przemian to zimny, to znów gorący dreszcz. Na obchód zdecydował się nie tylko ze względu na Dude'a; wiedział, że jeszcze godzina spędzona w biurze, a straciłby panowanie nad sobą.



Mimo woli poczuł podziw dla Natana Burdette'a. Trudno było o lepszą metodę, by złamać przeciwnika.

Zostawili za sobą światła hotelu, ucichło też w dali brzdąkanie w saloonie Rio Bravo.

Z niskich wejść do meksykańskich knajp docierał mętny blask lamp, a wraz z nim zgiełk głosów zmieszany z urywanymi dźwiękami gitar.

Jest o wiele spokojniej niż zazwyczaj — pomyślał Chance — Rio Bravo jest teraz obleżonym miastem i mieszkańcy wiedzą o tym.

Fasady ubogich chat były ciemne i puste; w obawie przed wiatrem pozamykano niemal wszystkie okiennice. Tylko w jednym oknie siedziała dziewczyna i rozmawiała z mężczyzną, który stał na ulicy przed oddzielającą go od niej kratą. Plac był jak wymarły.

Ponad płaskimi dachami wznosiła się dumnie jasna, imponująca fasada kościoła. Tuz za dzwonnica wyrastała mroczna ściana skał. Chance spojrzął na jej poszarpaną krawędź, której wierzchołek zdawał się przebijać rozgwieżdżone niebo, nie zdołał jednak dostrzec, czy na górze są jeszcze ludzie Burdette'a. Skierował wzrok w inną stronę, gdzie za układającymi

się niczym tarasy dachami rozciągała się równina, skapana w poświęcie gwiazd. Większa część tamtych terenów należała do rancza Natana. Gdzieś na tym rozległym pustkowiu, może na koniu, u boku Matta Harrisa, czekał się on sam, czekając na moment dogodny do ataku.

Dotarli niemal do wylotu ulicy, kiedy Chance, przechodząc obok opuszczonego domu, dosłyszał cichy dźwięk.

Skulony przebiegł pod czarną czeluścią otworu okiennego i skrył się za rogiem. Dude spojrzał w jego stronę, przystanął, ale Chance zamachał gwałtownie rękami i Dude zawrócił.

Pięćdziesiąt metrów dalej szybko, bezgłośnie przebiegł przez ulicę i zniknął z pola widzenia.

Chance przywarł płasko do kruszącej się już glinianej ściany i czekał. Jeszcze teraz, w nocy, ściana była rozgrzana od słońca. Znowu ktoś poruszył się wewnątrz domu. Chance oddychał powoli i głęboko. Jego oczy błyszczały.

Za domem odezwał się nocny ptak. Szeryf przesunął się dalej. Zmurszałe drzwi nie stawiały niemal

oporu; kiedy rzucił się na nie całym impetem, ustąpiły z trzaskiem.

Dude wtargnął w tej samej chwili przez tylną ścianę, rozwaloną do połowy. Również dach zachował się tylko częściowo, do środka wpadało więc wystarczająco dużo światła, by móc coś zobaczyć. W kącie stała jakaś postać, ciemna, przygarbiona. Chance przyłożył broń do ramienia i postąpił dwa kroki do przodu. Ujrzał twarz podłużną, ciemną, jasny pyszczek, łagodne, zaciekawione oczy. .

— Niech to diabli... — mruknął opuszczając lufę karabinu, a Dude dodał: — Człowieku, to przecież tylko osioł, schronił się tu przed wiatrem.

Zwierzę zastrzygło długimi uszami, po czym opuściło łeb i uderzyło drobnym kopytem o ziemię. Chance wzdrygnął się, ale już w następnej chwili napięcie ustąpiło i roześmiał się. Dude zawtórował mu i przez kilka minut rechotali i chichotali jak para szaleńców. Pierwszy opanował się Chance.

— Stumpy miał rację — powiedział. — Powinniśmy byli pozostać w naszym ciepłym, przytulnym więzieniu.

— Mam nadzieję, że następnym razem nie będzie ci tak pilno iść na świeże powietrze — odparł Dude. Przesunął ręką po twarzy. — Teraz napiłbym się piwa.

Zostawili osła w spokoju i zawrócili. Nerwowy nastrój uleciał gdzieś daleko. Nic nie wskazywało na to, by Natan miał rozłokować w mieście swych ludzi, a mimo to Chance odetchnął z ulgą, kiedy weszli wreszcie do hotelu. Jaskrawe światło lamp i znane twarze dawały poczucie bezpieczeństwa. Podeszli do samego końca kontuaru, gdzie szeryf mógł stanąć plecami do ściany i ogarnąć wzrokiem całe pomieszczenie. Dude zamówił dwie porcje piwa i barman zaczął napełniać kufle z beczki.

Przy jednym ze stolików rozgrywano partię pokera. Wheeler, rozgorączkowany, podniecony, wymieniał właśnie karty. Nigdy się nie awanturował, kiedy wypił za dużo, ale jego przekleństwa i okrzyki triumfu można było usłyszeć już z daleka. Colorado, jasnowłosy młodzieniec, siedział obok niego, cichy i skoncentrowany. Wraz z nimi grało jeszcze trzech czy czterech mężczyzn, znanych szeryfowi, oraz nieznajomy, który przyjechał dylizanssem i został na tę

noc w Rio Bravo. Był to korpulentny, gładko i ogolony mężczyzna, w czarnym, drogim garniturze i kraciastej, trochę za bardzo krzykliwej kamizelce. Chance zaklasyfikował go natychmiast jako zawodowego karciarza i postanowił zadbać o to, by nieznajomy nie spóźnił się przypadkiem nazajutrz na dylizans.

Z prawej strony Pata Wheelera siedziała dziewczyna. Mimo iż była jedyną kobietą w pomieszczeniu pełnym mężczyzn, nie okazywała żadnego skrępowania i rozkładała karty na stole jak wytrawny gracz. Miała na sobie ładną, skromną sukienkę i mały kapelusz z piórami na kunsztownie ułożonej fryzurze.

Chance nie był wcale zaskoczony, widząc ją w tym otoczeniu.

Carlos Remonte własnoręcznie przyniósł im piwo. Ustawił kufle na kontuarze, dyskretnym gestem przywołał Chance'a.

— Amigo, zaczynam się poważnie martwić. To bardzo paskudna sprawa — szepnął.

— Zerknął przez ramię na stolik pokerowy, gdzie Wheeler ryknął właśnie jak zraniony byk; całą stawkę

zgarnęła dziewczyna.

## VII

— O co chodzi, Carlos? — zapytał Chance. —  
Co ci leży na sercu?

— Twój przyjaciel, señor Wheeler... — Carlos, najwidoczniej zafrasowany, pokręcił głową. — To dobry człowiek, ale niezbyt mądry. Chciałby ci pomóc i dlatego gada. Chodzi od jednego do drugiego i rozpowiada, że potrzebujesz pomocy. Mówi głośno i nie obchodzi go wcale, kto go słucha. Dziś już dwa razy widziałem i słyszałem, jak namawiał ludzi pracujących dla Burdette'a, by poszli do ciebie i zgłosili się na twoich pomocników.

Chance upił z kufła spory łyk.

— Mogłem się tego spodziewać! — westchnął.

— To jeszcze nie wszystko — mówił dalej Carlos. — Znasz señora Wheelera lepiej niż ja, a więc wiesz, co się z nim dzieje, kiedy wypije ciut za dużo. Teraz przysięga wszem i wobec, że jeśli nikt nie stanie u twego boku, on i jego ludzie udziela ci pomocy.

Dude rzucił szeryfowi krótkie spojrzenie.

— Ale mądrała! — mruknał. — Prawdziwy mądrała, nie ma co!

Chance podziękował Carlosowi i podszedł do stolika, gdzie grano w pokera. Karty rozdano już na nowo, a Pat uskarżał się łagodnym tonem na los, który nie okazał się dla niego zbyt łaskawy. Chance skinął głową na powitanie. dziewczyna podniosła oczy i obdarzyła go przelotnym, ale przyjaznym uśmiechem, po czym znowu zwróciła całą swą uwagę na grę.

Chance nachylił się nad Wheelerem.

— Pat, mogę cię prosić na chwilę?

— Oczywiście — odparł Wheeler. — Oczywiście. Tu i tak nie zdziałam już nic wielkiego. Odłożył karty i wstał. — Tę rundę rozegrajcie beze mnie — powiedział do grubasa w kraciatej kamizelce, po czym udał się za Chance'em do kontuaru, gdzie Dude opróżnił już swój kufel, a teraz zainteresował się drugim, który Chance wypił tylko do połowy.

— Dobrze, żeś przyszedł — oświadczył Wheeler. — Chciałem z tobą porozmawiać.

— I tak gadałeś już za dużo — odparł szeryf.

— Co chcesz przez to powiedzieć? obruszył się



Wheeler.

— Posłuchaj, Pat — przerwał mu Chance. — Gdybym chciał zdobyć pomocników, sam porozmawiałbym z tym i owym.

— To dlaczego tego nie robisz? Mówiąc między nami, Chance, nie rozumiem cię.

Zawsze myślałem, że jesteś człowiekiem rozsądnym. — Jego szeroka, opalona twarz wyrażała całkowitą dezorientację. — Nie mogę po prostu zrozumieć, dlaczego porządny człowiek postępuje tak, jakby nie zależało mu wcale na życiu. Do diabła, to przecież ich miasto, musi się znaleźć kilku odważnych, którzy...

— Pat — upomniął go łagodnie Chance.

Wheeler zamknął usta. Zanim zdołał otworzyć je na nowo, Chance dodał szybko:

— W tym mieście jest wielu dzielnych mężczyzn, Pat. Nawet zaoferowali mi swą pomoc, ale nie zgodziłem się na to.

— Nie zgodziłeś się? — powtórzył Wheeler, patrząc na niego jak na kogoś, kto postradał zmysły. — Chcesz powiedzieć, że przyszli do ciebie faceci, gotowi

walczyć u twego boku, a ty odesłałeś ich z powrotem do domu?

— Tak właśnie było.

— Możesz mi wyjaśnić, dlaczego to zrobiłeś? —

Wheeler miał nadal niewyraźną minę.

— Mogę podać ci nawet dwa powody — odparł Chance. — Po pierwsze każdy, kto stanie po mojej stronie, jest od razu zamieszany w to po uszy.

— To zrozumiałe.

— No właśnie. A nie ma najmniejszego sensu wciągać w coś takiego faceta, o którym wiem, że nie da sobie rady. Nie dość, że nie miałbym z tego żadnego pożytku, to jeszcze byłbym za niego odpowiedzialny.

Wheeler rozważał przez dłuższą chwilę słuszność takiej argumentacji.

— Tak — powiedział wreszcie — ale...

— Znam to miasto lepiej niż ty, Pat. Nie liczę oczywiście Meksykanów, bo ich cały ten zatarg nie obchodzi nic a nic. Nie wzięliby w nim udziału nawet za pieniądze. A więc zostają tylko Amerykanie. Wszyscy młodzi, którzy potrafią dobrze strzelać, albo przynajmniej tak sądzą, pracują dla Burdette'a. Są

jeszcze sklepikarze o wypchanych brzuchach, starsi ludzie, mnóstwo wyrostków i pastor. No i oczywiście paru drobnych ranczerów, którzy i tak boją się już teraz własnego cienia i mają nadzieję, że nie narażą się Burdette'owi, oraz cała masa poganiaczy bydła, którzy są skorzy do bitki, ale tylko wtedy, kiedy alkohol uderzy im do głowy.

— Ale to przecież ich miasto — upierał się Wheeler. — A więc powinni...

— Nic nie powinni — odparł Chance. — Aresztowałem mordercę i ewentualne konsekwencje to już mój problem. Zresztą, co by mi dało tych kilku pomocników, gdybym musiał stanąć do otwartej walki z Burdette'em? Jeśli już, to potrzebna mi raczej cała armia.

Natan Burdette ma trzydziestu albo i czterdziestu ludzi, twardych i nawykłych do strzelaniny.

Nie mogę po prostu przypiąć do piersi kilku mieszkańców blaszanych gwiazd, pokazałbym w ten sposób strzelcom Burdette'a, gdzie ich cel. W efekcie zginęłaby połowa mieszkańców Rio Bravo. — Chance przesunął kapelusz na tył głowy i skierował wzrok na

swoje dłonie. — I wiesz co? Wdowy po tych ludziach obwiniałyby za to nie Natana, lecz właśnie mnie.

— Może masz rację — przyznał Wheeler. — Tak, chyba naprawdę masz rację. Ale posłuchaj, Chance: a co ze mną i moimi ludźmi?

— Zostalibyście wystrzelani tak samo szybko jak inni. Twój ludzie to woźnice, a nie rewolwerowcy. Wiem, że potrafią dać sobie radę, gdy dochodzi do bijatyki, ale musisz przyznać, że ludzie zawsze walczą zaciekle jak diabli, jeśli idzie o własną skórę. Tu byłoby inaczej. W końcu nie zostali zatrudnieni przez ciebie po to, by bronić prawa w jakimś mieście, przez które tylko niekiedy przejeżdżają. To zwykli pracownicy. Zostawili w domu rodziny, a to, co robią, wiąże się i tak z pewnym ryzykiem. Czy powiedzieli ci, że chcą za mnie walczyć?

Wheeler burknął coś niezrozumiałego, unikał wzroku szeryfa.

— Jeszcze ich o to nie pytałem, Chance, ale...

— A więc zapytaj ich. Zobaczysz, co ci odpowiedzą.

— No, ale co ty zamierzasz w takiej sytuacji? —

zapytał gniewnie Wheeler. — Możesz przecież liczyć tylko na pomoc starego Andersona i tego tu... jak on się nazywa?

Dude skierował na niego spojrzenie ciemnych, zimnych oczu.

— Nazywają mnie el borrachin, mister Wheeler — Nie spuszczał z niego wzroku, a kiedy Wheeler poczerwieniał ze wstydu, dodał: — Wyjdę trochę na zewnątrz, żebyście mogli porozmawiać o mnie bez skrepowania. — Odwrócił się i odszedł ciężkim krokiem.

— Pat — zauważył Chance, nie kryjąc irytacji — ten twój niewyparzony język przysporzy ci kiedyś prawdziwych kłopotów.

— Być może — odparł Wheeler, nie wyglądał jednak na skruszonego. — Chciałbym jednak wiedzieć naprawdę, co tu jest grane. Słyszałem, że wczoraj rąbnął cię krzesłem po głowie, dzisiaj znowu jest twoim pomocnikiem i nikomu nie wolno powiedzieć o nim złego słowa.

— Cała bieda w tym, że zbyt wielu ludzi mówi o nim źle; dlatego się wściekam. — Chance skierował

wzrok na Dude'a, który znikał właśnie za drzwiami. — To pierwszy wieczór od trzech lat, kiedy Dude jest trzeźwy. Właściwie nie powinienem się nim przejmować, ale mimo to troszczyć się o niego, sam nie wiem czemu.

Jeden z graczy skinął na Carlosa i oddał mu talię kart.

— Przynies nam nowe, amigo. Te nie przynoszą mi jakoś szczęścia.

Remonte podszedł do kontuaru, odłożył karty i wziął od barmana nową talię. Chance chwycił machinalnie zużyte karty i zaczął je tasować, mówiąc dalej.

— Nie znałeś nas dawniej. — Wyglądało na to, że za wszelką cenę pragnie zrehabilitować Dude'a. — Pracowaliśmy razem. Był moim pomocnikiem i to dobrym, Pat.

Nigdy nie miałem lepszego od niego.

Wheeler odniósł wrażenie, że to gruba przesada, nie zdobył się jednak na to, by nazwać Chance'a kłamcą.

— Trudno w to uwierzyć — mruknął tylko.

— A jednak wczoraj wieczorem udowodnił, że nie jest jeszcze skończony — upierał się Chance.

— Zgadza się — skinął głową Wheeler. — Słyszałem o tej całej sprawie. Ale jak to się mogło stać? Skoro był tak dobry, dlaczego się zmienił?

— To wina pewnej dziewczyny, niech ją diabli. Miała zielone oczy i jasne włosy, przyjechała tu pewnego razu dylizansem, ujrzała Dude'a i postanowiła zostać na trochę. No i od tej pory Dude był stracony. Próbowałem przemówić mu do rozsądku, na próżno. Niedługo potem wyjechał razem z nią, a po sześciu miesiącach wrócił, niestety sam. Wtedy właśnie zaczęły się z nim kłopoty, a Meksykanie nazwali go el borrachin.

— A co się stało z tą dziewczyną? — dopytywał się Wheeler.

— Nie powiedział mi tego, ja też nie pytałem. — Chance patrzył gdzieś niewidzącym wzrokiem, tasując nadal karty. — Najpierw myślałem, że jakoś się z tego otrząśnie i nie przejmowałem się nim zbytnio. Ale za każdym razem, kiedy go widziałem, przypominały mi się dawne czasy. Nic dziwnego: pracowaliśmy przecież

razem przez dwanaście lat, dużo widzieliśmy w tym czasie, dużo też przeszliśmy. Czegoś takiego nie zapomina się tak szybko. — Po twarzy przemknął mu uśmiech. — Właściwie dobrze się stało, że Joe Burdette wrzucił tego dolara do spluwaczki.

— No tak — mruknął Wheeler i spojrzął na drzwi, przez które niedawno wyszedł Dude, z taką miną, jakby słowa Chance'a nie zdołały go przekonać. — Ale nawet, jeżeli kiedyś był tak dobry. .

— Był, możesz mi wierzyć. Nie znałem nikogo lepszego.

— Może i tak. Nie chcę nawet myśleć o tym, jak długo jeszcze wytrzyma bez picia...

A poza tym to tylko jeden człowiek. Tak czy inaczej, jestem zdania, że potrzebna ci pomoc.

Chance miał już najwidoczniej dosyć tej dyskusji, gdyż jego głos zabrzmiał teraz ostro i niecierpliwie.

— A więc załatw mi prawdziwą pomoc, a ja przyjmę ją z wdzięcznością. Ale do tego czasu wolę mieć jednego dobrego pomocnika niż cały tuzin ochotników, którymi będę się jeszcze musiał opiekować. Mam już dosyć kłopotów.



— A co z tym starym? Czy nim nie musisz się opiekować?

— On zajmuje się tym wszystkim z powodów osobistych, zresztą jako strażnik więzienny jest dobry.

— Co byś powiedział na Ryana? — zapytał nagle Wheeler.

— Kim, u diabła, jest Ryan? — Potem przypomniał sobie. — Ach, ten wyrostek. Colorado.

— Jest dobry, Chance. Młody, ale cholernie dobry.

Chance rzucił okiem na stolik graczy. Wheeler mógł mieć rację. Ryan wyglądał na faceta, który mógł się teraz przydać. Tym bardziej, jeśli rzeczywiście był tak dobry, jak twierdził Wheeler. Był tylko jeden szkopał...

— Zapytaj go — mruknął.

Wheeler pośpieszył do stolika. Chance uśmiechnął się. Pat był głośny i nieraz zbyt impulsywny, ale miał złote serce. Teraz nachylał się nad chłopcem i szeptał mu coś do ucha.

Wkrótce obaj podeszli do kontuaru.

Colorado kiwnął głową.

— Dobry wieczór, szeryfie. Słyszałem, że chce pan ze mną porozmawiać.

— To pan Wheeler chciał z tobą pogadać, chłopcze. No chodź. Pat, zapytaj go.

Wheeler wzruszył ramionami.

— A więc, Jim, sprawa wygląda tak. Ten oto Chance jest moim dobrym przyjacielem.

Znalazł się w kłopotliwej sytuacji i potrzebuje teraz kogoś dobrego, kto by mu pomógł. — Jego prawa dłoń spoczęła całym ciężarem na ramieniu Ryana. — Powiedziałem mu, że jesteś jednym z najlepszych.

— Dziękuję, mister Wheeler. — Colorado odwrócił głowę i spojrzał szeryfowi w oczy. — Chodzi o Burdette'ów?

— Właśnie.

Colorado potrząsnął z uśmiechem głową.

— Panie Wheeler, mój ojciec mawiał zawsze, że najlepszą metodą, by pozostać wśród żywych, jest zasada, aby zajmować się tylko swoimi sprawami. Nająłem się u pana jako strażnik konwojujący wozy. Tak brzmiała umowa i za to też otrzymuję pieniądze, a nie za to, aby wyciągać pańskich przyjaciół z kłopotów

— mówił uprzejmym tonem, ale stanowczo.

Potem przeniósł wzrok na Chance'a i znowu skinął mu głową. — Proszę nie mieć mi tego za złe, szeryfie.

Wolnym krokiem wrócił do swojego stolika i usiadł.

Wheeler zaklął brzydko. Miał minę tak zaskoczoną i zdezorientowaną, że Chance'owi zrobiło się go żal.

— Po prostu udowodnił, że potrafi myśleć rozsądnie — odezwał się do przyjaciela. — Wiedziałem, że twoi ludzie zareagują właśnie w ten sposób. W końcu nie są durniami. — Uśmiechnął się. — Nie martw się. Pat. To tylko kilka dni, które muszę przetrzymać; potem zjawi się szeryf federalny.

— Mam nadzieję, że ci się to uda — mruknął Wheeler. — Chociaż wcale na to nie zasługujesz. Z tym twoim uporem. Zbiorę teraz moich ludzi — dodał. — Skoro nie mają walczyć, niech przynajmniej wstaną jutro na czas. To na razie.

Chance kiwnął głową. Przez jakiś czas stał jeszcze przy kontuarze, przerzucając w zamyśleniu karty. Kilka minut później od stolika pokerowego wstała dziewczyna, chowając do torebki wygrane pieniądze.

Bez pośpiechu, kołysząc kokieteryjnie biodrami, podeszła do schodów. Miała na sobie pomarańczowo-żółtą sukienkę obszytą brązową tasiemką.

Carlos obserwował ją z dwuznacznym uśmiechem, ale potem zerknął na Chance'a i momentalnie uśmiech zniknął z jego twarzy. Zmarszczył brwi.

Dziewczyna zaczęła wchodzić na górę.

Chance odłożył karty na kontuar, zerknął na grubasa w kraciatej kamizelce, po czym podszedł do drzwi.

— Dude?

— U mnie wszystko w porządku — dobiegł go z ciemności głos Waltona.

— Zaraz przyjdę — oświadczył Chance. Zawrócił i udał się za dziewczyną na górę.

## VIII

Kiedy wszedł na piętro, korytarz był pusty. Wiedział jednak, w którym pokoju dziewczyna zamieszkała, wiedział już też, jak się nazywa Felicity Slater. Nie tracąc czasu, podszedł do drzwi i zapukał.

— Kto tam? — zapytała.

Wymienił swoje nazwisko i natychmiast usłyszał zgrzyt klucza w zamku. Otworzyła drzwi i uśmiechnęła się czarująco.

— Proszę bardzo, szeryfie. Mam nadzieję, że wybaczył mi pan to z ręcznikiem. Nie zamierzałam sprawiać panu kłopotów.

— To pani ma kłopoty, moja damo — odparł i odepchnął ją lekko do tyłu. — Chciałbym z panią pomówić.

Uśmiech pozostał na jej twarzy, ale oczy stały się raptem chłodne i czujne. Sprawiała wrażenie bardzo młodej, dwadzieścia trzy, najwyżej dwadzieścia cztery lata, ale ten wiek klócił się jakoś z jej postawą, z której przebijała pewność siebie. W pewnym sensie

przywodziła na myśl przyjaciółkę Dude'a.

— O co chodzi? — zapytała ostrożnie.

Nie miał ani czasu, ani ochoty owijać sprawę w bawełnę.

— Przeliczyłem karty, którymi pani grała. W tali brakuje trzech.

Nie wyglądała na szczególnie zaskoczoną.

— Dlaczego mówi pan to mnie? — zapytała tylko.

— Znam wszystkich, którzy siedzą przy stole, oprócz pani i tego grubasa w kraciastej kamizelce.

Jej oczy miały barwę głębokiego błękitu, rzęsy podkreślone były czarnym tuszem.

Spoglądała na niego bez bojaźni czy też wstydu i to mu przeszkadzało. Żeby przynajmniej okazała skrepowanie — pomyślał. Jej pewność siebie irytowała go.

— Rozmawiał pan już z nim? — zapytała spokojnie.

— Siedzi jeszcze przy stole. To pani odeszła pierwsza.

— No i wygrałam.

Chance przytaknął.

— Czy to już wszystkie zarzuty przeciw mnie? — zapytała.

— Nie, jest jeszcze coś. — Wyciągnął z kieszeni kartkę papieru. — Mam tu urzędowy list gończy. . Poszukuje się zawodowego gracza. Jego rysopis nie pokrywa się z wyglądem grubasa w kraciastej kamizelce, ale w liście jest jeszcze mowa o dziewczynie, która podróżuje z tym graczem. Ma około dwudziestu trzech lat, sto sześćdziesiąt pięć centymetrów wzrostu, zgrabną figurę, ciemne włosy i niebieskie oczy. Lubi ozdabiać swój ubiór piórami. To mogłaby być pani.

— Rzeczywiście, to jestem ja — odparła spokojnie.

Chance mruknął coś pod nosem i wetknął list z powrotem do kieszeni. Ze zdumieniem uświadomił sobie nagle, że miał do końca nadzieję, iż się pomylił.

— Proszę oddać mi całą wygraną — powiedział. — Zadbam o to, by pieniądze wróciły do swoich właścicieli. I proszę nie spóźnić się jutro rano na dylizans. Jeśli po jego odjeździe ujrzę panią w mieście, zamknę w celi.

Spodziewał się, że dziewczyna wybuchnie gniewem, ona jednak nie przestała się nawet uśmiechać.

— A więc to takie proste — szepnęła. — Mam oddać panu pieniądze i wynieść się z miasta. — Potrząsnęła gwałtownie głową. — Ale ja ani myślę ułatwić panu tak bardzo tej sprawy, szeryfie. Pan mnie rozżołościł. Nie zapytał pan nawet, czy zrobiłam to naprawdę.

Spoglądała na niego z uśmiechem, nie doczekawszy się jednak reakcji z jego strony, mówiła dalej:

— Będzie pan musiał dowieść, że mam te karty. A to może pan zrobić tylko w jeden sposób: rewidując mnie.

Tego się nie spodziewał.

— Mam panią zrewidować?

— Oczywiście. To się nazywa rewizja osobista. Szeryfowie często postępują tak z więźniami, prawda? — Wyglądało na to, że jednak chce mu pomóc. — A więc popatrzmy. Brakujące karty mogłyby być w torebce. — Otworzyła ją i wysypała całą zawartość na stół. Wywróciła ją nawet podszewką na wierzch. —



Ale tu ich nie ma. — Odrzuciła torebkę i podeszła do niego bliżej. — Mogłyby być również w butach, pod pończochą, albo też za dekoltem. — Jej płonące, niebieskie oczy wpatrywały się w niego usilnie. Stała teraz tak blisko, że poczuł słodkawą woń perfum i ciepło jej ciała.

Oblała go fala żaru i jednocześnie wpadł w irytację.

— Nie noszę takiej pięknej czerwonej bielizny, jak tamta — powiedziała, podnosząc ręce do góry — ale proszę się tym nie przejmować, szeryfie. No więc, od czego pan zacznie?

Nieoczekiwany obrót sprawy zbił go z tropu. Przeciągłym tonem odparł:

— Niech pani da spokój. Nie jesteśmy teraz w domu publicznym.

Zbladła, ale uparcie patrzyła mu w oczy.

— Musi pan udowodnić, że mam te brakujące karty.

— Jeśli pani nie przestanie — odparł — zrobię to naprawdę.

Wyraz jej twarzy zmienił się raptownie, jak gdyby doszła w tej chwili do przekonania, że wygrała.

— Nie wierzę w to — powiedziała. — Wydaje mi się raczej, że jest pan zakłopotany. A nawet, jeśli nie...

— Jeśli nie jest zakłopotany — odezwał się od progu głos Colorado — to w każdym razie powinien być.

Chance obrócił się. Ryan stał wsparty o framugę i widać było, że z trudem powstrzymuje się od śmiechu. Chance nie wiedział, od jak dawna tamten przysłuchiwał się ich rozmowie, musiał już jednak stać dosyć długo.

— Co ty tu robisz? — warknął.

Colorado wyprostował się i powiedział spokojnym tonem:

— Nie sędzę, aby ona miała te karty, szeryfie.

Dziewczyna najwidoczniej napawała się sytuacją. Z uśmiechem wodziła wzrokiem od jednego do drugiego.

— Jestem przekonany, że ma je ten grubas w kraciastej kamizelce — ciągnął

Colorado.

— Dlaczego się nie upewniłeś? — zapytał gniewnie Chance.

— Przecież obiecałem panu, że nie zrobię nic,

dopóki nie poinformuję pana o tym. — Odepchnął się od drzwi i podciągnął pas. — Właśnie teraz oświadczam, że zamierzam sprawdzić, czy karty są u niego. Pójdzie pan ze mną?

— Ja w każdym razie pójdę — odezwała się dziewczyna, tak jakby pytanie skierowane było do niej. Jednocześnie z szeryfem ruszyła w stronę drzwi.

— Zostanie pani tutaj — zdecydował Chance.

— Ale przecież sprawa dotyczy przede wszystkim mnie!

— Raczej tak — odparł szyderczym tonem. — Już raz pracowała pani razem z szulerem. Może teraz jest pani współniczką tego grubasa?

W jej oczach zapłonęły ogniki.

— Tego by tylko brakowało — parsknęła. — Jest dokładnie tak niezręczny, jak oceniłam go już po pięciu minutach. Pan, jak widzę, potrzebuje więcej czasu, żeby zorientować się, z kim ma do czynienia.

Speszył się i fakt ten zirytował go jeszcze bardziej, nie rozumiał bowiem, dlaczego miałby się wstydzić swego postępowania.

— Nie mam takiego doświadczenia w kontaktach

z szulerami, jak pani — odparował zgryźliwie.

Pomięła tę uwagę milczeniem, a Chance udał się za Ryanem. Schodząc po schodach, słyszał za sobą szelest sukni dziewczyny. Zdawał sobie sprawę, że jej opinia o szulerze odpowiada prawdzie, i nagle pomyślał, że chciałby wiedzieć, co stało się z jej współnikiem wymienionym w liście gończym.

Colorado kierował się wprost do stolika, a Chance nie wyprzedzał go. Trzymał karabin gotowy do strzału, ale to była sprawa Colorado, a poza tym chciał się przekonać, jak ten zuchwały chłopak da sobie radę. Colorado szedł swobodnie, zupełnie odprężony, bez pośpiechu. Kiedy doszedł do stolika, stanął w ten sposób, aby zapewnić sobie swobodę ruchów. Uczynił to tak niepostrzeżenie, że nikt nie zwrócił na niego uwagi.

Jakby od niechcienia, zwrócił się do grubasa w kraciatej kamizelce:

— Niech pan zostawi ręce na stole, tak jak są.

W graczy wstąpiło życie. Jeden przez drugiego poderwali się z miejsc, aby zniknąć czym prędzej z linii strzału, karty i krzesła runęły na podłogę. Tylko grubas

zamarł w bezruchu. W prawej dłoni trzymał jeszcze kartę, twarz mu stężała. Małe oczy zdawały się chować za ciężkie powieki. Chance stanął wygodniej w rozkroku, na wszelki wypadek uniósł lufę karabinu.

Ale jego pomoc okazała się zbędna. Grubas sięgnął po broń. Colorado zareagował tak szybko, że trudno było nadażyć wzrokiem: nagle w jego dłoni pojawił się rewolwer. Grubas spojrzął w wylot lufy i opuścił z powrotem rękę, która tkwiła już pod czarnym surdudem.

Była pusta.

Colorado skinął głową.

— A teraz proszę położyć znowu ręce na stole.

Mężczyzna wykonał polecenie. Jego ciało zwiotczało, podwójny podbródek wylewał się na kołnierz. Małe czarne oczy rozglądały się dokoła bojaźliwie. Chance podszedł bliżej, sięgnął pod jego surdud i wyjął stamtąd derringera. Obszukał jeszcze szulera, bojąc się, czy tamten nie ukrył innej broni, po czym kiwnął głową i cofnął się o krok.

Colorado wsunął rewolwer do kabury, nachylił się i ujął przegub gracza. Przeszukał lewą stronę mankietu i

po chwili wyciągnął trzy karty, które położył na stole. Dopiero teraz spojrzął na Chance'a i powiedział z poważną miną:

— Nie było się czym przejmować, szeryfie.

Chance wiedział, że dziewczyna stoi tuż obok, kątem oka dostrzegł, jak się śmieje.

Nie patrząc na nią wyciągnął rękę i poderwał grubasa do góry. Szuler drgnął nerwowo, jakby spodziewał się ciosu i Chance poczuł pragnienie, aby spełnić jego oczekiwania. Zamiast tego, popchnął grubasa do Carlosa i polecił:

— Zamknij go w pokoju i wypuść dopiero wtedy, kiedy dylizans będzie gotów do odjazdu. — Widząc sceptyczną minę Carlosa, dodał: — Na pewno nie sprawi ci żadnych kłopotów. Bo gdyby to zrobił, ci, co z nim grali, upomną się o swoje, a ja będę zbyt zajęty, by im w tym przeszkodzić. Jestem pewien, że nasz przyjaciel zrozumie sytuację. — Obrócił się do grubasa: — Prawda?

Szuler rzucił szybkie spojrzenie na pozostałych graczy.

— Oczywiście — odparł. — Jasne, że rozumiem,

szeryfie. Proszę ich tylko trzymać z dala ode mnie. — Odszedł tak szybko, że Carlos z trudem dotrzymał mu kroku.

Chance wskazał ręką na stół.

— Ci, co przegrali, mogą odebrać swoje pieniądze.

Zajęli się podziałem monet, a Chance obrócił się znowu do dziewczyny. Do tej pory nie zdołał jeszcze wyrobić sobie opinii na jej temat. Nie była raczej damą, ale nie należała też do grona kobiet lekkich obyczajów. Nie wiedział, jak ją zaklasyfikować i to go deprymowało.

Poza tym uświadomił sobie z niepokojem, że podoba mu się jej twarz.

— Wydaje mi się — powiedział — że byłem w błędzie.

Przyglądała mu się z wyczekiwaniem.

— Czy to wszystko, szeryfie?

— Nie mam zamiaru prosić o wybaczenie, jeżeli to pani ma na myśli.

— Nie rozmawialiśmy jeszcze na temat tego listu gończego. — Uśmiechnęła się.

— Właściwie nie zrobiła pani nic złego, możemy więc zostawić tę sprawę, jak jest.

— Ale nadal jest pan zdania, że nie powinnam była zachęcać do przeprowadzenia rewizji osobistej.

— Zauważyłem, że nie była pani szczególnie zaniepokojona tym pomysłem — odparł. Twarz załała mu fala ciepła. — Wyglądało na to, że sytuacja ubawiła panią.

— Niech pan sam powie, szeryfie, co miałam zrobić? Wziąć na siebie winę, po to tylko, by oszczędzić panu zakłopotania?

— Cóż... — powiedział niechętnie — mogła pani chociaż...

— Nie — przerwała mu. — Chciałabym wreszcie dowiedzieć się tego naprawdę. Ten list gończy nie pojawił się dopiero teraz. Potrzebna mi rada: co mam zrobić?

— Mogłaby pani przestać grać w karty i nosić te pióra — odparł. — To byłby już pierwszy krok.

— Nie — powiedziała. — Nie zrobię tego. — Uśmiechnęła się. Zdążył już poznać ten uśmiech, za którym kryło się więcej uporu niż wesołości. — A wie



pan, szeryfie, dlaczego?

— Nie, nie mam pojęcia.

— Bo właśnie tak bym postąpiła, gdybym była tą, za którą pan mnie uważa.

To powiedziawszy, odeszła, on zaś spoglądał za nią osłupiały i dopiero po dłuższej chwili, kręcąc głową, udał się do wyjścia, gdzie czekał już na niego Walton.

— Co tu się właściwie działo? — zapytał Dude. — Nie wchodziłem do środka, bo nie wyglądało na to, byś potrzebował pomocy.

Chance opowiedział mu o zajściu z szulerem, zataił jednak całą resztę, która z pewnością zainteresowałaby Dude'a jeszcze bardziej. Dziewczyna miała odjechać z samego rana, a więc to, kim jest i jak się zachowuje, nie miało już żadnego znaczenia. Zresztą ważniejsze były teraz inne sprawy. Skręcił sobie papierosa i podał przyjacielowi kapciuch z tytoniem. Ulica leżała skąpana w poświacie księżyca. Wiatr ucichł trochę, większość świateł pogasła. Jeśli nie liczyć kilku nocnych marków, miasto pogrążyło się we śnie. Trzech Meksykanów śpieszyło do domu, a jeden z dawnych kompanów Dude'a zataczał się to tu, to tam, szukając dogodnego

miejsca do odbycia drzemki. Jakaś wychudzona czarna krowa błąkała się bez celu po placu. Chance poczuł nagle, że ogarnia go niepokój, sam nie wiedział, dlaczego.

— Dude, nie widziałeś Wheelera?

— Nie, teraz nie. Wiem tylko, że zbierał z knajp swoich ludzi. Czyżbyś martwił się o niego?

— Tak — odparł Chance. — Trochę. Przejdę się i zobaczę, gdzie on się podziewa.

— Już nie musisz — mruknął Dude. — Właśnie nadchodzi.

Wheeler wyszedł z meksykańskiej knajpki i zbliżał się do nich szybkim, energicznym krokiem. Chance oparł się o framugę drzwi, czekając na niego. Ulica była już zupełnie pusta; Meksykanie i pijany przechodzień zdążyli zniknąć z pola widzenia. Jedyne krowa nadal błąkała się po placu.

Chance otworzył usta, aby zawołać Pata. Zanim jednak zdołał wydobyć z siebie jakiś dźwięk, nocną ciszę przeciął ostry odgłos wystrzału. Wheeler potknął się i zatoczył do przodu, jak gdyby otrzymał silny cios pięścią w kark. Przez chwilę usiłował utrzymać

równowagę. Chance ujrzał jego twarz, zwróconą w stronę hotelu, i chociaż zbyt duża odległość, jak również mdłe oświetlenie nie pozwoliły dostrzec wyraźnie jego miny, poczuł bolesny ucisk w okolicy serca. W następnej chwili nogi Wheelera ugięły się w kolanach, a on sam runął twarzą w uliczny piach.

Chance wypadł z saloonu i pędził co tchu.

## IX

Dude krzyczał za nim, aby pozostał w ukryciu, ale Chance nie zwracał na to uwagi.

Przed hotelem gromadził się tłum gapiów, mówiących coś w podnieceniu jeden przez drugiego. Również z saloonu Rio Bravo i pobliskich knajp wylaniało się coraz więcej ludzi.

Dude zaklął gwałtownie. Chwycił za rewolwer i pobiegł za Chance'em, usiłując rozpaczliwie ogarnąć wzrokiem całą ulicę.

Dotarł do skrzyżowania, gdzie leżał Wheeler i stanął za ścianą domu, wpatrując się w mroczną przecznicę, podczas gdy Chance, skulony, podbiegł do leżącego. Boczna uliczka nie była długa. U jej wylotu, zaledwie o sześćdziesiąt metrów dalej, mieściła się stajnia. Nic nie wskazywało na to, by ktoś się tam znajdował. Dude stał na rogu i nadal wpatrywał się w mrok, złany potem ze strachu i podniecenia, a Chance chwycił Wheelera za rękę i przeciągnął w bezpieczne miejsce, pod ścianę domu.

— Bardzo oberwał? -zapytał Dude, nie spuszczać z oka wrót stajni.

Chance odpowiedział wyjątkowo cicho:

— On nie żyje.

Błyskawicznie wstał i poderwał karabin do góry, na widok jakiejś postaci nadchodzącej od strony hotelu. Ale był to tylko Ryan. Przystanął wpatrując się w ciało Wheelera i powoli, jakby z niedowierzaniem, powtórzył ostatnie zasłyszane słowa.

— On... nie żyje?

— Kula ugodziła go w plecy — wyjaśnił Chance. Jego oczy pały niezwykłym blaskiem. — Zamordowali go, bo chciał mi pomóc. Ty byłeś mądrzejszy, Colorado. Stał obok Dude'a i rozejrzał się bacznie dokoła. Jedyne miejsce, skąd mógł paść strzał, była stajnia. Ktoś zaczął się na Wheelera, odczekał, aż nadarzy się odpowiedni moment i wystrzelił.

— Nikogo tam nie zauważyłem — powiedział Dude. — Wrota stajni były zamknięte, nieliczne okienka tonęły w ciemnościach.

— Nic nie zdziałamy, stojąc tu w miejscu —

stwierdził Chance. — Musimy podejść tam, ale z boku. Odwrócił się i ujrzał przed sobą Colorado.

— Co mam robić? zapytał młodzian.

— Nic.

Głos Colorado dygotał, brzmiał jednak zdecydowanie.

— Był dla mnie bardzo dobry. Lubilem go.

Chance poczuł zimny dreszcz, przebiegający całe jego ciało. Wzdrygnął się i przygarbił. Czubkiem buta dotknął ciała Wheelera.

— Oto ostrzeżenie dla każdego, kto chciałby stanąć po mojej stronie. Ci, którzy mi pomagają, nie będą już mieli drogi odwrotu. A ty miałeś szansę, ale ją odrzuciłeś. Teraz nie jesteś już nam potrzebny. — Odsunął Ryana na bok i podszedł do Dude'a.

Colorado nachylił się nad Wheelerem. Jacyś gapie pomogli mu przenieść zwłoki przez ulicę do biura przedsiębiorcy pogrzebowego.

Chance i Dude ruszyli krętą uliczką. Posuwali się szybko do przodu, chociaż przezornie zachowywali ostrożność, kryjąc się w cieniu muru. Przy jego końcu zatrzymali się. Od bocznej ściany stajni dzieliło ich już

tylko dwadzieścia metrów.

— Pójdiesz od tyłu — szepnął Chance.

— A ty jak chcesz wejść? zapytał Dude. Patrzył na szeryfa kątem oka, pocierając nerwowo nieogolony podbródek.

— Przodem, przez wrota. Jeśli nie dam rady, jest twój.

— Chyba nie posłuchasz, jeśli powiem..

— Nie. Pośpiesz się.

Dude oddalił się pod osłoną muru. Opadł go lęk. W pewnej chwili poczuł skurcz, tak silny, że aż przystanął i zaczerpnął tchu. Był trzeźwy i dlatego się bał. Poprzedniej nocy nie zdawał sobie niemal sprawy z tego, co robi, do tego stopnia zamroczyła go whisky.

Rewolwer jakby z własnej woli znalazł się w jego dłoni, wszystko odbyło się bez najmniejszego problemu, bez namysłu. Teraz duży, stary kolt, który pożyczył od Stumpy'ego, ciążył mu w dłoni jak kawał ołowiu, wydało mu się raptem, że i tak nie uda mu się z niego wystrzelić, a tym bardziej trafić. Czuł się osłabiony, pusty, nogi zaczynały już odmawiać posłuszeństwa. Do tej pory wierzył, że zdoła

bezboleśnie odzwyczaić się od alkoholu, teraz miał wrażenie, że jest starym, zbutwiałym od środka pniem drzewa.

Szedł dalej, nie miał bowiem odwagi zawrócić i stanąć przed Chance'em. Minał stajnię i stanął pod tylną ścianą. Tu nie było żadnego okna. Przykucnął koło jakiegoś krzaku i przyłożył do ust dłonie złożone w trąbkę, aby przekazać Chance'owi umówiony sygnał. Trzy razy próbował, zanim z jego wysuszonego gardła wydobył się dźwięk imitujący wołanie ptaka. Na to właśnie czekał Chance. Wybiegł z ukrycia i długimi susami podbiegł do wrót stajni, uderzając całym impetem o spróchniałe już drewno. Drzwi rozwarły się pod naporem jego ciała i Chance wpadł do środka. Blask księżyca pozwolił mu dojrzeć worki ze zbożem, ułożone jeden na drugim. Pachniało sianem. Chance rzucił się na ziemię tuż za workami.

Serce waliło mu jak młotem.

Drzwi skrzypiały jeszcze przez chwilę w zawiasach, po czym ucichły. Kojąca poświata księżyca srebrzyła podłogę. Nie słychać było żadnego dźwięku. Najwidoczniej w stajni nie było w ogóle zwierząt.



Chance wyciągnął lewą rękę i począł przeszukiwać na oślep podłogę, aż znalazł kawałek żelaza, odłamana część okucia wozu. Chwycił ją i cisnął przez stajnię. Z głośnym brzękiem żelazo uderzyło o tylną ścianę i upadło. Chance spodziewał się, że skryty gdzieś w ciemnościach mężczyzna strzeli, czekał więc z palcem na spuście.

Daremnie. Żadnego strzału, nic.

Ogarnęło go zniecierpliwienie, zbudziły się pierwsze wątpliwości. Może morderca zdołał wymknąć się na zewnątrz przez jakiś otwór. Sama myśl o tym nappełniła go gniewem.

Przesunął się wzdłuż góry worków, uniósł się nieco i ukląkł. Wokół panowała cisza, nie słyszał nawet swojego oddechu.

Zaklął w duchu i wstał.

Jeden z worków rozprysł się nagie tuż przed jego twarzą. Osłonił odruchowo twarz dłonią i padł na podłogę.

Dude usłyszał huk wystrzału. Krzyknął:

— Chance! — Nie otrzymał jednak odpowiedzi.

Wewnątrz stajni znowu nastąpiła cisza.

Dude zerwał się z miejsca, pobiegł co sił do frontowej ściany i tam przyłgął do muru, tuż obok drzwi. Usiłował zajrzeć do środka, ale tak, by samemu nie zostać zauważonym.

Chance leżał w bezruchu na podłodze. Dude zatrzęsł się jak galareta.

— Chance! — zawołał. — Chance, słyszysz mnie?

— Uważaj! — krzyknął ochryple szeryf. — On tu jeszcze jest!

Uczucie ulgi ugodziło Dude'a niczym atak słabości. Zadygotał silniej niż przedtem.

Wpatrywał się jeszcze w Chance'a, kiedy nagle nastąpił cały szereg wydarzeń. Najpierw dobiegł go odgłos cichych, szybkich kroków, potem boczne drzwi rozwarły się donośnie, ciemny zarys jakiejś postaci wypadł na zewnątrz i zniknął w jednej chwili.

Dude otrząsnął się, jakby po głębokim śnie. Obrócił się i pognął do rogu. Skulona postać pędzącego mężczyzny rozplynęła się już w cieniu murów, chat i krzewów. Dude oparł lewy łokieć o ścianę stajni, wykorzystał rękę jako podpórkę pod koltą i wycelował w otwartą, oświetloną przez blask

księżycy przestrzeń, przez którą musiał za chwilę przebiec uciekinier.

I rzeczywiście, w niecałą sekundę później mężczyzna zjawił się w polu widzenia. Dude nacisnął dwukrotnie spust, raz za razem i zdumiał się, kiedy tamten jakby się potknął w biegu, zanim znowu zniknął.

Dude zatrzymał się. Czekał.

Przez boczne drzwi stajni wyszedł Chance, przecierając sobie oczy.

— Czy coś ci się stało? — zapytał Dude.

— Idiota — warknął gniewnie Chance. — Już raz mnie o to pytałeś. Nie, nic mi nie jest, ale dlaczego, do diabła, nie zostałeś na swoim miejscu? Stamtąd mogłeś go bez trudu załatwić!

Podszedł do koryta dla koni i zanurzył głowę w wodę. Wcześniej poczuł, jak kula przeleciała obok niego, nie trafiła jednak. Ugodziła w worek ze zbożem tuż przed jego twarzą, zasypując mu oczy pyłem, tak że przez chwilę był ślepy jak kret. Zimna woda sprawiła mu ulgę.

— Wydaje mi się — odezwał się Dude, zbity z tropu — że go zraniłem.

— Wydaje ci się — odparł Chance lekceważącym tonem. Zdjął z szyi chustę, wytarł sobie twarz. Oczy piekły jeszcze, ale przynajmniej mógł znowu widzieć. Po mordercy nie było nawet śladu. Dude stał przy rogu stajni, obracając bezmyślnie rewolwerem. Chance domyślał się już, w czym rzecz. Dawniej zabierał Dude'a z ulicy przez trzy lata noc w noc i troszczył się o to, by zapewnić mu jedzenie i spanie. Wtedy właśnie Dude uzależnił się od niego. Chance uświadomił sobie, że sam też jest winien, iż mordercy udało się zbiec; zabrakło mu cierpliwości, a przez to popełnił poważny błąd. Ale w dawnych czasach Dude'a nie zawiodłyby nerwy. Najpierw dopadłby mordercę, a dopiero potem wrócił do Chance'a.

Mysząc, że Chance jest ranny albo nawet zabity, zareagował jak przestraszone dziecko.

— A jednak nie uciekł nam — odezwał się znowu Dude, tym razem pewniejszym tonem. Wskazał ręką w stronę saloonu Rio Bravo. — Dopiero co wszedł tam tylnymi drzwiami.

— Rozpoznałeś, kto to jest?

— Nie, ale na pewno ma zabłocone buty. Kiedy

przebiegał tu koło koryta, wdepnął w kałużę.

— Świetnie — odparł Chance. Spoglądał na Dude'a taksującym wzrokiem. Był zdolny do okazywania współczucia, cierpliwości i zrozumienia, ale teraz nie mógł sobie pozwolić na takie uczucia. Czas nagiął. Musiał się zorientować, jak dalece może polegać na współniku. Nie chodziło już tylko o pomszczenie śmierci Pata Wheelera, ale o własne przetrwanie.

— Wejdz do środka i dopadnij go — powiedział krótko.

Dude drgnął gwałtownie. Spojrzał na saloon Rio Bravo, po czym opuścił wzrok.

— Tam siedzi teraz z pewnością ośmiu, albo i dziesięciu ludzi Burdette'a, Chance — powiedział niepewnie. — Może nawet więcej. — Do diabła, to przecież.. — w głosie Dude'a zabrzmiał gniew.

— Pozwoliłeś mi uciec. Tym razem ja będę cię osłaniał i zobaczymy, co z tego wyjdzie.

Dude wyprostował się. Chance nie widział jego twarzy, osłoniętej przez rondo kapelusza, domyślał się jednak, że jest biała jak papier. Czarna broda Waltona drżała ledwo dostrzegalnie. Wyglądało na to, że zaraz

coś powie lub uczyni nieobliczalnego. Nawet w dawnych czasach temperament Dude'a popychał go do gwałtownych reakcji. Ale teraz mruknął tylko:

— W porządku, John. A jeśli mnie załatwią, to dla ciebie nawet lepiej; nie będziesz miał już mnie na karku.

— To zrozumiałe — odparł Chance i ruszył w stronę saloonu.

Dude wahał się jeszcze przez chwilę, po czym poszedł w jego ślady. Pasja, z jaką walił nogami o ziemię, świadczyła, jak bardzo jest wściekły. Zresztą zawsze tak było, że w stanie silnego podniecenia zwracał się do Chance'a po imieniu.

— Wejdiesz od ulicy — powiedział szeryf.

— To coś nowego — odparł Dude niemal wesołym tonem. — Charlie już od dawna wpuszcza mnie tylko tylnymi drzwiami.

— Dziś ja wejdę od tyłu.

— Dzięki — mruknął Dude. Długimi krokami skierował się do głównego wejścia.

Chance zmarszczył brwi, nie odwołał jednak polecenia. Za domem skręcił w prawo, ku tylnym drzwiom. Tym razem zrezygnował z umówionego

sygnału. Nie wierzył, by Dude na to czekał.

Dude Walton był wściekły, tak bardzo wściekły, że w tej chwili było mu obojętne, czy będzie żył czy też umrze. Przekonywał sam siebie, że jest wściekły na Johna T. Chance'a, ale rozum podpowiadał mu, że John postąpił słusznie i że powinien się wściekać na siebie samego. Wszedł na trotuar i pchnął drzwi, nie czekając ani chwili.

W saloonie było ośmiu ludzi Burdette'a, barman Charlie oraz Raton, który niezmordowanie znęcał się nad pianinem. Kiedy Dude wszedł do środka, Charlie obrócił głowę, uniósł brwi i zawołał:

— Coś takiego! Toż to chyba nasz przyjaciel Dude! Wszyscy, jak jeden mąż, zwrócili wzrok na przybysza i zarechotali. Roześmiał się też Charlie. Był to wysoki, chudy mężczyzna o kanciastych ramionach i kościstej twarzy, i mimo śmiechu nie było w nim nic przyjaznego.

— Masz za sobą cholernie długą suszę — powiedział. — Założę się, że chętnie byś sobie łyknął coś mocniejszego.

Dude stał w progu. Powiódł wzrokiem dokoła, po ludziach stojących przy barze i siedzących przy stołach; żaden z nich nie wyglądał na rannego. Tylne drzwi otworzyły się i do środka wszedł Chance. Tylko jeden z mężczyzn zauważył go. Trącił łokciem sąsiada i po chwili wszyscy wpatrywali się w Chance'a, on zaś stał,



trzymając oburącz karabin i nie odezwał się nawet jednym słowem. Tylko raz spojrzął na Ratona i ten natychmiast przerwał grę. Charlie chrząknął.

— Szeryfie...

— Od ciebie zaczniemy, Charlie — odezwał się Dude. Sam był zaskoczony własnym głosem; tak spokojnie i pewnie zabrzmiał w tym pomieszczeniu. Barman odwrócił się do niego. Uśmiech zniknął mu z twarzy, ale tylko po to, by ustąpić miejsca grymasowi pogardy.

Dude wpatrywał się przez chwilę w jego długie, żółte zęby, po czym powiedział:

— Wyciągnij no spod lady swoją flintę. Ale trzymaj ją za lufę.

Charlie zamarł w bezruchu. Szyderczy uśmiech jakby przyrósł mu do twarzy. Palce prawej dłoni Dude'a drgnęły i Charlie sięgnął wreszcie pod ladę.

— Tylko powoli — upomniał go Walton. Nie spuszczał z niego oka, ale jednocześnie starał się ogarniać wzrokiem pozostałych mężczyzn w lokalu. Sprawiali wrażenie, jakby cała ta scena bawiła ich i Dude poczuł falę żaru, pulsującą w jego ciele. Było to

coś w rodzaju oszołomienia, jakie nawiedzało go dawniej po zbyt wielu kieliszkach whisky, tylko że tym razem był najzupełniej trzeźwy.

Ręce barmana pojawiły się nad ladą. Trzymał śrutówkę za lufę.

— Odłóż broń — polecił Dude.

Charlie posłuchał go.

Do diabła — powiedział. — A ja myślałem, że przyszedłeś na drinka.

Jeden z mężczyzn, siedzących przy stoliku, zawołał z obłudnym zdumieniem w głosie:

— Jak to, Charlie, czyżbyś nie zauważył, że ma gwiazdę na kamizelce? Chyba wiesz, że zastępca szeryfa nie pije, gdy jest na służbie.

Dude obrócił się ku niemu.

— Wstań, Jim — polecił. — Wy też — skinął na jego dwóch sąsiadów.

Uczynili to.

— A teraz stańcie obok innych przy barze. W jednym rzędzie.

Stanęli w szeregu.

— Hej — zawołał jeden z nich — spójrzcie tylko

na spodnie Dude'a. Nie możemy do tego dopuścić, by nasz zastępca szeryfa miał dziurę na tyłku. To b y robiło złe wrażenie, gdyby kręcił się w takich spodniach po całym mieście. Może byśmy się tak złożyli..

Dude stanął przed nim.

— Odepnij pas i opuść go na podłogę — powiedział spokojnie.

Tamten spojrzał na niego osłupiały.

— Co powiedziałaś?

— Nie będę tego powtarzał!

Palce jego prawej dłoni drgnęły ponownie.

Mężczyzna rzucił niepewne spojrzenie na tylne drzwi, gdzie stał Chance z karabinem gotowym do strzału i postanowił być posłuszny.

Pas i rewolwer uderzyły z łoskotem o podłogę.

— Odepchnij to nogą — powiedział Dude.

Mężczyzna posłuchał.

— Teraz następny.

Sąsiad Jima zaklął.

— Co to ma znaczyć?

— No już, pośpiesz się — ponaglił go Dude

Kiedy tamten stał już bez broni, wyjaśnił:

— Szukamy faceta, który wbiegł tu przed chwilą.

Następny w szeregu, masywny Irlandczyk w czerwonej koszuli, mruknął:

— Nikt tu teraz nie wchodził.

Chance, który milczał do tej pory odchrząknął.

— Zapamiętam sobie, że to ty powiedziałeś.

Wkrótce wszystkie pasy leżały na podłodze, poza zasięgiem ich właścicieli.

— A teraz podnieście nogi — polecił Dude.

— Na miłość boską, Charlie, daj mu coś do picia — zawołał któryś. — Ten biedak nie wie już nawet, co mówi.

Dude uśmiechnął się.

— Ten, którego szukamy, ma zabłocone buty. Nie miał tyle czasu, by je wyczyścić. No, podnoście nogi.

Jeden po drugim demonstrowali mu swoje buty. Były wprawdzie zakurzone, ale na żadnym nie było nawet śladu błota.

Dude poczuł, że opuszcza go odwaga. Zniknęło też elektryzujące go dotychczas ciepło. Chance przeszywał go wzrokiem.

— Dude — odezwał się Charlie. — A kto

właściwie widział, że tamten facet wszedł właśnie tu?

— Ja.

Barman roześmiał się na całe gardło, inni zawtórowali mu. Dude poczuł coś w rodzaju mdłości.

— Teraz twoja kolej, Charlie. Podejdz tu. —  
Czekał z rozpaczą, modląc się o cud.

Charlie wyszedł z za baru; jego buty błyszcząły. Widać było, że co najmniej od tygodnia nie zetknęły się ani z wilgocią, ani z błotem.

Głos barmana brzmiał teraz przyjaźnie.

— Dude, coś ci się musiało przewidzieć. Chodź, łyknij sobie jednego!

Reszta zarechotała. Tylko Chance zachował powagę. Przez cały czas trzymał się w tyle, w milczeniu i niemal w bezruchu.

Dude omijał ich wzrokiem. Zrezygnowany rozglądał się dokoła, ale w izbie nie było żadnego zakątka, gdzie ktoś mógłby się ukryć, chyba że za barem, ale tam zdążył już sprawdzić. Był przekonany, że widział, jak morderca Wheelera wybiegł ze stajni i wślizgnął się tu, do saloonu, ale teraz uświadomił sobie, że nie jest już niczego pewien. Może to mu się tylko

zdawało? Za plecami słyszał szydercze śmiechy, ale bardziej wymowne niż cały ten zgiełk było dla niego milczenie Chance'a.

Jim, który był w tym saloonie również tamtego pamiętnego wieczoru, wyciągnął teraz z kieszeni kamizelki srebrnego dolara.

— Hej, Dude — zawołał — na wypadek, gdyby Charlie nie chciał ci postawić, weź to, na pewno ci się przyda.

To mówiąc, cisnął monetę do spluwaczki.

Dude usiłował wzbudzić w sobie gniew, ale bezskutecznie. Cała złość uleciała gdzieś, nie czuł już nawet strachu. Widać było, że nikt nie zamierza mu tu uczynić nic złego, nikt nie zamierza do niego strzelać. Po prostu pośmieją się trochę — a Chance postoi w milczeniu i tym razem nie odepchnie na bok spluwaczki.

Spojrzał pożądliwie na trzy szklaneczki z whisky, pozostawione przedtem na stoliku przez tych trzech, którym kazał wstać, i chciał już wyciągnąć rękę po jeden z nich., kiedy nagle nie wiadomo skąd, spadła kropla czerwonego płynu, tworząc na blacie okrągłą plamkę.

Serce znieruchomiało mu na moment, a potem zaczęło walić gwałtownie jak młotem. Jeszcze raz zerknął na płamkę, potem odwrócił się i wolnym krokiem, nie podnosząc głowy, powłókł się do baru. Tam oparł się łokciami o kontuar i mruknął:

— Może rzeczywiście przydałby mi się łyk.

Jeden z mężczyzn podsunął mu butelkę. Dude wziął kieliszek i nalał sobie do pełna, spoglądając zarazem spod randa kapelusza w lustro wiszące nad barem. Rozlał trochę whisky, ale to nie miało teraz żadnego znaczenia. Dokładnie nad pustym teraz stołem dostrzegł otwór w suficie. Okienko wentylacyjne było przeważnie zamknięte, nic więc dziwnego, że zapomniał o nim całkowicie. Zsunął kapelusz na tył głowy i otarł sobie czoło.

W ten sposób mógł przyrzeć się dokładniej otworowi w suficie i dzięki temu dostrzegł po chwili krótką lufę rewolweru.

Czas jakby stanął w miejscu. Wszelkie wątpliwości uleciały gdzieś w dal. A więc jednak wszystko było w porządku.

Chance, który obserwował ze swego miejsca całą

scenę, widział tylko, jak Dude staje przy barze zgarbiony, niczym ktoś zupełnie przegrany. Killkakrotnie miał chęć wmieszać się, zrobić coś, aby oduczyć ludzi Burdette'a ich arogancji, nie mógł się jednak zdecydować na ten krok. Teraz była to sprawa Dude'a, to on musiał rozegrać ją do końca, bez względu na wynik. Niestety, wyglądało na to, że Dude przegrał. Fakt ten był dla Chance'a równie bolesny co dla Waltona. Ale ludzie Burdette'a mylili się sądząc, że wygrali. Chance był przekonany, że wiedzą, gdzie kryje się morderca, i przyrzekł sobie w duchu, że zmusi ich do mówienia.

Śmierć Pata Wheelera musi zostać pomszczona.

Ujrzał, jak Dude, stojący przy barze, podnosi kieliszek lewą ręką. Nie przytknął go jednak do ust. Jednym zwinnym ruchem dobył prawą ręką rewolweru, zawirował na pięcie i wystrzelił. Wszystko odbyło się tak szybko, że nawet Chance nie pojął, o co chodzi.

Grzmiące echo wystrzału zagłuszyło wszystkie inne odgłosy w saloonie. Ludzie zastygli w bezruchu i tylko ich oczy połyskiwały w świetle lamp niczym szklane oczy martwych postaci w gabinecie figur woskowych.



Uśmiechał się tylko Dude. Stał z wycelowanym jeszcze do góry rewolwerem, nachylony lekko do przodu, naprężony do granic wytrzymałości.

A potem z małego otworu w suficie wypadł głową w dół jakiś mężczyzna. W dłoni ścisnął rewolwer, był jednak martwy, zanim jeszcze doleciał na dół. Ciało runęło na stół, rozbijając go w drzazgi, i znieruchomiło na podłodze.

Dude podszedł do zabitego i trącił go lekko w nogi; buty były mokre i oblepione świeżym błotem. Nikt ze stojących przy barze nie poruszył się. Wszyscy wpatrywali się jak urzeczeni w Dude'a. Chance podszedł do niego.

— Widziałeś go już kiedyś? — zapytał Walton, Chance spojrział na zabitego.

— Nie.

— Widocznie Burdette sprowadza tu nowe talenty — stwierdził sucho Dude. Nachylił się i podniósł z podłogi coś jasnego, połyskującego, co wypadło zabitemu z kieszeni kurtki. — Całkiem nowiutka złota pięćdziesięciodolarówka. A więc na tyle Burdette ocenia życie ludzkie.

Chance wsunął czubek buta pod zwłoki i odwrócił je na bok, odsłaniając dwa wloty kul: jeden śmiertelny, w głowę, i drugi w ramię. A więc Dude rzeczywiście zranił go podczas ucieczki. Chance chrząknął, potem odwrócił się i podszedł do mężczyzny w czerwonej koszuli. Spokojnym, niemal przyjaznym tonem zapytał:

— A więc nie widziałeś, jak on tu wbiegał?

Irlandczyk z posępną miną pokręcił głową.

— Ty też masz w kieszeni taką pięćdziesięciodolarówkę? — wypytywał nadal Chance.

Tamten znowu potrząsnął głową.

— Nie, szeryfie, nie mam nic takiego. W ogóle nie mam pieniędzy. Mnie nikt nie płaci za to, co robię.

— Nie powinieneś był tego mówić — zauważył Chance. Lufą karabinu uderzył go w twarz, tak gwałtownie i szybko, że Irlandczyk nie zdołał się nawet osłonić ręką. Zatoczył się do tyłu, na kontuar i jęknął. — To po to, żebyś mógł cię rozpoznać, gdybyś został w tym mieście — głos Chance'a był zimny i twardy. Cofnął się o krok i powiódł wzrokiem po pozostałych. — Tym razem mieliście szczęście. Ale zapamiętam sobie wasze twarze. Jeżeli ujrzę was tu znowu, nie

ujdzie wam to na sucho. Macie wynieść się z miasta i zabrać waszego kumpla. — Wskazał na zabitego. — Przekażcie Burdette'owi, że to on zabił Wheelera. I powiedzcie mu jeszcze coś: jeśli wyśle tu następnych, niech płaci im trochę więcej, bo zadanie, jakie będzie ich czekać, nie jest łatwe. — Odwrócił się do nich plecami. — Jesteś już gotów, Dude?

— A bardzo się śpieszysz?

— Nie, nie bardzo.

Dude podszedł powoli do Jima.

— To ty wrzuciłeś przedtem tego dolara do spluwaczki, prawda? — Nie dając mu czasu na odpowiedź, dodał: — Nie chciałbyś go odzyskać?

Jim wpatrywał się w niego, jego twarz nabiegła krwią, a potem zbladła.

— Jasne, Dude — mruknął wreszcie. — Pewnie, że tak. — Zbliżył się do spluwaczki i po krótkiej chwili wahania wsunął w nią rękę.

Dude poczekał, aż Jim wyłowi monetę, potem skinął z uśmiechem głową i odwrócił się.

— W porządku, Chance. Teraz możemy już iść.

Szeryf przeniósł wzrok na barmana.

— Dobra, Charlie. Ty pójdiesz z nami.

— Ale dlaczego ja? — zaprotestował Charlie. —

Przecież nic...

— Zaniesiesz do więzienia pasy i rewolwery — przerwał mu Chance. — Ruszaj się!

Charlie poruszył ustami, nie odezwał się już jednak ani jednym słowem. W milczeniu pozbierał broń.

Dude ruszył ku drzwiom z wysoko uniesioną głową i wyszedł na zewnątrz, nie oglądając się za siebie.

## XI

Ludzie Burdette'a wyjechali z miasta, nie zabrali jednak ze sobą zabitego. Pozostał w saloonie.

Charlie odstawił całą broń do więzienia. Kiedy wyszedł z powrotem na ulicę, Chance podążył za nim.

— To już wszystko — powiedział. — Możesz iść.

Charlie skierował się w stronę saloonu.

— O, nie, nie tam — pouczył go Chance łagodnym tonem. Lufą karabinu wskazał właściwy kierunek. — Wyniesiesz się z miasta.

Barman spojrzał na niego wzburzony.

— Jak to? Nie możesz mnie wyrzucić!

— Mogę, mogę — odparł Chance. — Przekonasz się, że mogę. Jeśli będziesz dobrze wyciągał nogi, to jutro z rana znajdziesz się na ranczu Burdette'a. Przynajmniej będziesz miał dosyć czasu, aby oswoić się z myślą, że nie wolno ci tu wrócić.

— Mister Burdette nie będzie tym zachwycony.

— Nie? — zapytał Chance. Uśmiechnął się złośliwie, pokazując wszystkie zęby. — To dobrze. To

mi się podoba.

Charlie stał jeszcze przez chwilę niezdecydowany. Wreszcie zerwał z siebie fartuch, rzucił go z głośnym przekleństwem na ulicę i rozpoczął swój przymusowy marsz. Chance poczekał, aż tamten dotrze do niezbyt oddalonego stąd skraju miasta, po czym wrócił do więzienia.

Dude był w świetnym nastroju, w jego oczach błyszczały iskierki triumfu. Właśnie opowiadał Stumpy'emu o tym, co wydarzyło się w saloonie, a stary, chichocząc z zadowolenia, uderzał raz po raz dłonią w kolano.

— Będą mieli nauczkę — zapiał. — Jeden dobry mężczyzna to zawsze lepiej niż nawet tuzin takich wafłoni. Czy nie mam racji, Chance? Z nami nie dadzą sobie rady. Ty, ja i Dude... więcej nie trzeba.

Dude odwrócił głowę, spojrzał wyczekująco na Chance'a; chciał usłyszeć coś z jego ust. Szeryf roześmiał się krótko.

— Cieszę się, że znowu możemy na ciebie liczyć — powiedział. — Ale musisz o czymś wiedzieć: fakt, że ci się udało, zawdzięczasz w dużej mierze temu, że nie

wzięli cię na serio. To tylko el borrachin, pijak, przewróciło mu się w głowie — tak sobie pomyśleli. A potem ta wielka niespodzianka. Następnym razem przygotowują się na spotkanie z tobą. Najpierw strzelą do ciebie, a potem będą się śmiać. A więc na twoim miejscu nie wpadałbym za bardzo w samouwielbienie.

Twarz Dude'a pociemniała. Stumpy zatrzęsł się ze złości.

— Pluń mu w oko, Dude! Cóż to za łajdak!

— Zawsze był taki — machnął ręką Walton. — Zmartwiłbym się, gdyby się zmienił. Zresztą wydaje mi się, że ma rację. — Wstał i spojrzał przyjacielowi prosto w oczy. — Właśnie to irytuje mnie w tobie najbardziej, John, że prawie zawsze masz rację. — Nieoczekiwanie roześmiał się. — Ale dziś nie chcę się już więcej denerwować. Wyciągnął z kabury ciężki rewolwer, podrzucił go do góry i chwycił pewną ręką, świadom tego, że Stumpy przygląda mu się z podziwem. — Nie dziś. — I zaczął opowiadać staremu dalszy ciąg swej historii.

Chance zostawił ich samych i udał się do przedsiębiorcy pogrzebowego.

Wheeler leżał nakryty płótnem. Chance nie chciał zakłócać mu wiecznego spokoju. W sąsiednim pomieszczeniu natknął się na Sama, Colorado i kilku innych pracowników Pata.

Bert, przedsiębiorca pogrzebowy, trzymał się dyskretnie na uboczu. Sam, nadal osłupiały, kręcił głową. Wyglądało na to, że nie uwierzył w śmierć Wheelera.

— Niektórzy z naszych nie wiedzą jeszcze o tym — wykrztusił wreszcie, patrząc na Chance'a takim wzrokiem, jak gdyby zamierzał poprosić go na świadka. — Byli tak zalani, że muszą się najpierw wyspać, aby cokolwiek dotarło do ich umysłów. Na pewno będą tego żalowali, będą mieli wyrzuty sumienia.

— I co? — zapytał Chance. — Dadzą upust żądzy zemsty?

— Na kim? — zdziwił się Sam. — Przecież ty już dopadłeś mordercę!

— To nie ja — odparł Chance — lecz Dude.

— W każdym razie morderca został zabity?

— Tak. Nie żyje.

To dobrze — powiedział Sam. — W takim razie



nie mamy tu już nic do roboty.

Zapadło milczenie. Woźnice stali w bezruchu, oszołomieni i przygnębieni. Chance spojrział na Colorado, równie bladego jak reszta.

— Bert mówi, że masz wszystkie papiery Wheelera i jego pieniądze.

Młodzieniec skinął głową. Wyjął z kieszeni stary, wypchany portfel oraz skórzaną sakiewkę i podał szeryfowi jedno i drugie.

— To te pieniądze. Wziąłem z tego sześćdziesiąt dolarów.

— To zapłata dla was, tak?

— Tak. Ale reszta naszych, ci, których tu teraz nie ma, też powinni coś otrzymać. Nie wiem nawet, czy tych pieniędzy starczy dla wszystkich...

— Na razie muszę wziąć całą sumę na przechowanie — oświadczył Chance. — Tak samo wozy. Nie wolno mi wydać niczego, póki nie otrzymam orzeczenia sądu.

— Ile to może potrwać? — zapytał Colorado, najwyraźniej zatroskany. Niechętnie oddał szeryfowi sześćdziesiąt dolarów. — Wie pan, jestem bez grosza,

a inni są chyba w takiej samej sytuacji jak ja.

— Kilka tygodni, do chwili przyjazdu sędziego. Do tego czasu każdy, kto będzie potrzebował pieniędzy na życie, może zwracać się do mnie.

— Dzięki — uśmiechnął się Colorado. — Byłbym bardzo zobowiązany, szeryfie, gdyby wypłacił nam pan jakąś sumkę już teraz, zanim się panu coś przydarzy. Proszę nie mieć mi za złe tych słów.

Chance obiecał, że uczyni to jak najszybciej, kiwnął głową i wrócił do więzienia.

Włożył papiery Wheelera i pieniądze do małej szafy pancерnej w kącie biura i zamknął starannie drzwiczki. Taki był koniec Pata! Chance poczuł się nieswojo. Dziwne... Do tej pory nigdy nie traktował śmierci jako czegoś przerażającego, zwłaszcza że pojawiała się tak szybko i nieoczekiwanie. Czuł poza tym ciężące mu coraz bardziej zmęczenie.

— Jeżeli wytrwacie tu jakiś czas sami — powiedział — pójdę przespać się ze dwie godzinki. No jak, zgoda?

— Jasne — odparł Dude. — Jak chcesz, śpij sobie nawet całą noc. Damy sobie radę bez ciebie.

W dalszym ciągu rozpierała go duma. Pokazał już Stumpy'emu wszelkie możliwe sztuczki z rewolwerem, a stary był wdzięcznym słuchaczem. Chance zerknął na Dude'a z troską. Po trzech latach spędzonych w rysztołu takie nagłe odrodzenie mogło zawrócić w głowie, to prawda — pomyślał. — A właściwie czego się po nim spodziewałem? Zmusiłem go, by dowiódł, że nadal jest tak dobry, jak dawniej, no i Dude rzeczywiście udowodnił swą klasę. A mnie tymczasem ciągle za mało...

Ostrzegł Stumpy'ego i Dude'a, by nie zapomnieli o ostrożności, odpowiedzieli mu na to brzydkim przekleństwem, na co on uśmiechnął się tylko i powłókł z trudem do hotelu.

W obszernym hallu paliły się tylko dwie lampy, jedna nad recepcją, druga za barem.

W pierwszej chwili pomyślał, że oprócz niego nie ma tu nikogo. Potem ujrzał dziewczynę. Siedziała przy stoliku, nad rozłożonym pasjansem. Z pewnością siedziała już tak od dawna, czekając na niego. Poczł, że ogarnia go irytacja.

— Co się dzieje? — zapytał szorstko. — Dlaczego

pani jeszcze nie śpi?

Wstała i podeszła do niego, kołysząc biodrami.

— Zastanawiałam się właśnie, czy przypadkiem pan nie odzwyczaił się od spania — odparła. — Czekałam na pana.

— To znaczy: na moje przeprosiny?

— Nie, to ja chciałam pana przeprosić. — Spojrzała mu prosto w oczy. — Miał pan prawo myśleć o mnie tak, a nie inaczej. Nie byłam w porządku. Bardzo mi przykro z tego powodu. Nie wiedziałam, że jest pan w tak paskudnej sytuacji. Jej biała szyja odcinała się wyraźnie od ciemnego kołnierzyka sukienki, czerwone, pełne wargi były lekko rozchylone.

Uświadomił sobie nagle, że może mieć tę dziewczynę, wystarczyłoby, że miałby na to chęć.

Ale nie chciał.

— Pomówmy o czymś innym — mruknął. — Jak to jest, że nazwisko dziewczyny pojawia się w liście gończym? — Wyciągnął z kieszeni arkusz papieru, rozłożył go i rzucił na kontuar. Liczył się z gwałtowną reakcją z jej strony, ale nic takiego nie nastąpiło.

— Najpierw wychodzi się za mąż — odparła.

— Za oszusta?

— Nie.

Wskazał palcem na tekst listu.

— Tu jest napisane, że on był oszustem.

— Nie był nim jeszcze, kiedy żenił się ze mną — wyjaśniła spokojnie. — To zaczęło się później, kiedy opuściło go szczęście. Może i ja byłam temu winna. Lubił obsypywać mnie prezentami, a ja nie sprzeciwiałam się temu.

— Dlaczego go pani rzuciła?

Potrząsnęła głową, lekko, niemal niedostrzegalnie, a na ustach wykwitł grymas, jakiego nie widział u niej do tej pory; delikatny i smutny zarazem.

— Nie zrobiłam tego — odparła. — To on mnie opuścił i to całkiem niespodziewanie. Przyłapano go. To było podobnie jak z tym grubasem. Tylko że on nie miał tyle szczęścia w nieszczęściu. Pochowaliśmy go następnego dnia.

Chance wbił wzrok w podłogę. Milczał zakłopotany. Potem wszedł za ladę, wziął butelkę whisky i napełnił dwa kieliszki.

— Jak widzę, nie miała pani lekkiego życia.

Znowu potrząsnęła głową. Z uśmiechem odparła:

— O, nie, to nieprawda. Miałam wspaniałe życie, przynajmniej przez pewien czas. Może, gdybym wiedziała o nim wszystko, byłoby inaczej. Ale on do ostatniej chwili taił przede mną, w jaki sposób zdobywa pieniądze.

— Dawno to było?

— Cztery miesiące temu. Od tego czasu pracowałam, aby zarobić na podróż.

— Chce pani wrócić do domu?

Odparła beznamietnie, jak gdyby powtarzała te słowa już tak wiele razy, że przestały na niej robić wrażenie:

— Ja nie mam domu.

Chance otwierał już usta, aby zapytać, dokąd, u diabła, zamierza w takim razie pojechać, kiedy do sali wszedł Carlos. Zdumiony uniósł ciemne brwi:

— Nie wiedziałem, że tu jesteś, amigo. Dlaczego mnie nie zawołałeś?

— A powinienem był? — zapytał ze zdziwieniem Chance.

Carlos wszedł za ladę i wyjął stamtąd olbrzymi rewolwer.

— A kto, jeśli nie ja, miałby stać na straży, żebyś mógł się wyspać? — Zaczął wymachiwać bronią przed nosem szeryfa.

— Trzymaj się od tego z daleka — polecił Chance. Nie chciał narażać Carlosa na niebezpieczeństwo, nie chciał, by tamten podzielił los Wheelera. Zamierzał to wyjaśnić, ale Remonte spojrział na niego obrażony.

— Jesteś tu pod moim dachem. A w moim domu ja decyduję o tym, co mam robić, a co nie.

— Ale to przecież niepotrzebne, żebyś stał na warcie, amigo — odparł Chance pojednawczym tonem. — Wejdę do siebie, zamknę drzwi na klucz i postawię pod kłamkę krzesło. Gdyby ktoś naprawdę usiłował wedrzeć się do mojego pokoju, na pewno bym to usłyszał.

Carlos potrząsnął z uporem głową.

— Posłuchaj — zaczął znowu Chance. — Jeśli tak koniecznie chcesz stać na straży, to tu, na dole, możesz to zrobić najlepiej. Twój pokój znajduje się dokładnie pod moim. Gdybyś usłyszał, że ktoś włamuje się do

hotelu, wystarczy, że po prostu zastukasz w sufit. Dla mnie byłoby to lepsze ostrzeżenie, bo miałbym więcej czasu na przygotowanie się, niż wtedy, gdybyś siedział tuż pod moimi drzwiami.

Carlos odburknął coś, ale nie mógł odmówić sensu słowom szeryfa. Chance uśmiechnął się.

— Buenas noches, amigo. Jedną rzecz mógłbyś dla mnie zrobić: obudź mnie o wschodzie słońca, gdybym zaspał.

Carlos skinął głową.

— Zrobi się. Śpij dobrze.

Chance obrócił się do dziewczyny.

— Na wypadek, gdybyśmy nie spotkali się już jutro rano, życzę wszystkiego dobrego. A tak w ogóle... dokąd pani pojedzie?

Uśmiechnęła się żałośnie.

— Gdzieś, gdzie nie dochodzą listy gończe. Ta sprawa ciągnie się za mną tak długo, że z czasem zaczęła mi działać na nerwy.

Chance wziął z kontuaru list.

— Tak się składa, że znam szeryfa, który to wysłał. Poproszę go, żeby zaniechał dalszych poszukiwań.



— Przedarł kartkę na dwie części i wetknął je niedbale do kieszeni. — Może pani na mnie polegać.

Przeszedł obok niej, kierując się ku schodom, ale dostrzegł jeszcze, że jej oczy napęłniły się raptem łzami.

## XII

Zbudziły go promienie słońca, padające przez okno wprost na twarz. Odrzucił koc i zerwał się na równe nogi. Było późno, przynajmniej dwie godziny po wschodzie słońca. Sen zrobił mu z pewnością dobrze, ale wyrzuty sumienia i troska mąciły skutecznie uczucie błogości.

Śpiesznie wciągnął buty — oprócz kapelusza była to jedyna część ubioru, jaką zdjął przed pójściem do łóżka — chwycił karabin i zbiegł po schodach.

Carlos siedział spokojnie za ladą i liczył coś. Chance przystanął i spiorunował go wzrokiem.

— Dlaczego mnie nie obudziłeś?

Carlos wzruszył ramionami. Widoczne spod wąsów usta drgnęły podejrzenie.

— To przez tę dziewczynę — powiedział. — Tę z piórami, wiesz chyba którą.

— Tak. No i co z nią?

— Powiedziała, żeby cię nie budzić, bo musisz się wyspać. Była bardzo uparta. A ja nie lubię bić się z

kobietami.

— Nic z tego nie rozumiem — odparł Chance. — Co ona ma z tym wspólnego?

— Co ona ma z tym wspólnego? — powtórzył Carlos z niewinną miną. — No, przez całą noc siedziała na krześle pod twoimi drzwiami. Była tam jeszcze przed chwilą. Nie zauważyłeś jej?

— Mój Boże! — Chance pokręcił głową. Był wzruszony i zarazem zirytowany. — Co za bzdura!

Zawrócił i wbiegł z powrotem na piętro, odprowadzany rozbawionym spojrzeniem Carlosa Remonte.

Zasapany skręcił w korytarz, zatrzymał się na chwilę przed drzwiami Felicity Slater i zapukał.

— Kto tam? — usłyszał jej głos.

— Ja. Szeryf.

— Jedną chwileczkę. — Dobiegły go jakieś ciche odgłosy, potem usłyszał, jak para bosych stóp zbliża się do drzwi, wreszcie zgrzyt klucza w zamku. — Niech pan zaczeka, aż zawołam. — Znowu to stąpanie po podłodze, sprężyny łóżka skrzypnęły. — Teraz może pan wejść. Pchnął drzwi i zatrzaskał je za sobą.

Dziewczyna leżała w łóżku, nakryta kołdrą aż po szyję. Spojrzała na niego sennymi oczyma i ziewnęła.

— Dobrze pani spała? — zapytał.

— Kto? Ja?

— Wydaje mi się, że w tym pokoju nie ma nikogo innego, kogo mógłbym o to zapytać. Usiłowała zmierzyć się z nim wzrokiem, ale wytrzymała zaledwie przez chwilę.

Usiadła na łóżku; już nie udawała zaspanej.

— A więc Carlos się wygadał — wzruszyła ramionami.

— Wie pan, ja i tak nie mogłam zasnąć. Co za różnica, siedzieć tu, czy na korytarzu...

— A gdyby ktoś nadszedł, zaczęłaby pani krzyczeć, zanim by panią zastrzelili czy tak? Ach, te kobiety! Czy pani nie słyszała, co mówiłem..

— Wiem, wiem. Że nie potrzebuje pan niczyjej pomocy. Pewnie, że słyszałam!

— To dlaczego pani to zrobiła?

— Przecież pan nie miał się o tym wcale dowiedzieć — odparła podniesionym głosem. — Czemu nie usłuchał pan Carlosa i po prostu nie poszedł

do swego biura?

— Bo nie obudził mnie na czas! — krzyknął Chance.

— To była również moja wina. — Jej oczy były zaczerwienione z niewyspania. — I o co tyle krzyku? Nic się złego nie stało, nikt nie jest ranny. Pan się wyspał, a ja nie i teraz ja jestem zmęczona, a pan zdenerwowany i na dodatek irytuje pan mnie. Niech pan już idzie, chcę wreszcie położyć się spać!

Głos szeryfa świadczył o tym, jak bardzo jest zakłopotany:

— To było bardzo miłe, że pomyślała pani o mnie, ale...

Zerknęła na niego spod oka.

— Gdybym wiedziała, jak się pan potem zachowa, nie uczyniłabym tego. Po co ten cały teatr?

— Wcale nie robię teatru i nie jestem wściekły.

— Ale ja jestem wściekła! — Wykonała władczy gest dłonią. — Niech pan zajmie się swoimi sprawami, a mnie zostawi w spokoju. Chciałabym się wyspać!

— Nie może pani położyć się teraz do łóżka!

— Nie mogę? A kto mnie od tego powstrzyma?

Pan? Udowodnię panu, że mogę!

— To niemożliwe! Za godzinę odjeżdża dylizans.

— Co takiego?

— Dylizans odjeżdża za godzinę.

— Dobry Boże! — wykrzyknęła. — Dlaczego nie powiedział pan tego od razu?

Niech pan teraz wyjdzie stąd wreszcie, żebym mogła wstać i spakować rzeczy. Nie mogę tego zrobić, dopóki pan tu stoi i gada.

— To właśnie pani nie przestaje gadać — zaoponował Chance. Poczuł, że krew uderza mu do głowy.

— Być może, ale nie mogę przecież jednocześnie mówić, pakować się i ubierać, a więc niech pan już wreszcie idzie! — Sprawiała wrażenie, jakby lada chwila miała wziąć coś ciężkiego i cisnąć w niego.

— Idę już, idę — mruknął i wycofał się na korytarz. Czuł, że rozegrał tę sprawę nie tak, jak należało, chciał coś jeszcze powiedzieć, ale nie mógł znaleźć innych słów, jak „Do widzenia”. — Potem szybko zamknął za sobą drzwi. U podnóża schodów czekał na niego Carlos, uśmiechając się skrycie.

— Czy ona odjedzie tym dylizanssem? — zapytał z tak obłudną miną, jak gdyby spodziewał się, że dziewczyna zostanie.

— Oczywiście, że odjedzie — zagrzmał Chance.

Carlos wytrzeszczył na niego oczy i Chance dodał:

— A ty dopilnujesz, by do niego wsiadła.

Ruszył w stronę wyjścia. Carlos biegł za nim, gestykułując energicznie.

— Ale Juan... skoro ona odjedzie, dlaczego mam...

— Po prostu upewnisz się, czy poradziła sobie ze wszystkim. — Chance sam nie wiedział, dlaczego to mówi. Dziewczyna nie wspomniała nawet jednym słowem, że zamierza pozostać, ale naraz uznał za rzecz pierwszej wagi, aby ktoś czuwał nad jej odjazdem, na wypadek, gdyby zmieniła zdanie. Dlatego też dodał: — Czynię cię za to odpowiedzialnym.

— Odpowiedzialnym — powtórzył Carlos. — Mnie. No, dobrze. — Zrobił nieszczęśliwą minę.

Wyszli przed hotel i Chance zauważył Dude'a, który stał już na posterunku obok starej stajni. Przed więzieniem sterczało kilku mężczyzn. Nie mieli przy sobie broni i nie robili nic złego; stali tylko, rozmawiając

ze sobą i pałac papierosy.

— Duży tu ruch dzisiaj — zauważył Carlos.

— Nie słyszałeś, dlaczego?

Carlos kiwnął głową.

— Podobno Natan Burdette ma przyjechać dziś do miasta i porozmawiać z tobą. Ludzie czekają na to.

Chance nabrał głęboko powietrza, potem uśmiechnął się.

— No cóż, jeśli rzeczywiście tu przyjedzie, będą mieli niezłe widowisko.

Zostawił Carlosa samego i poszedł do więzienia. U wylotu ulicy Dude odbierał właśnie broń dwóm jeźdźcom, którzy przybyli najwidoczniej z daleka, i wieszał ich pasy na starym parkanie. Nawet stąd widać było, że uzbierał już sporą kolekcję.

Chance krzyknął coś, aby Stumpy wiedział, że to on, otworzył drzwi i wszedł do biura. Przez okno dostrzegł, że obaj nieznajomi jadą już dalej. Dude siedział znowu na swoim przydrożnym kamieniu. Słońce wspinało się coraz wyżej, upał narastał szybko. Grupka gapiów przed więzieniem powiększała się z każdą chwilą, ale oprócz nich na ulicy nie zjawiał się nikt.



Dzielnica meksykańska wyglądała na wymarłą, nagrzane od słońca, zakurzone uliczki ożywiało jedynie kilka kóz i kur. Wszystkie okna i drzwi były szczelnie pozamykane, panowała niesamowita cisza. Nawet z saloonu Rio Bravo nie dobiegała żadna muzyka, gdyż Raton zaczynał pracę dopiero w południe.

Nagle Dude wstał z miejsca.

Przed miastem pojawił się duży, biały tuman kurzu i szybko zbliżał się do pierwszych zabudowań.

### XIII

Na czele grupy jechał na bułanku Natan Burdette, u jego boku znajdował się Matt Harris. Oprócz nich było jeszcze zaledwie czterech jeźdźców. Natan umyślnie zredukował towarzyszącą mu grupę do czegoś w rodzaju eskorty honorowej. Stanowiło to symbol jego władzy. Gdyby wziął ze sobą więcej ludzi, poczytano by to może za objaw niepewności.

Był imponującym, dobrze zbudowanym mężczyzną o regularnych rysach i inteligentnych, aczkolwiek wyrachowanych oczach. Zrównoważony i pewny siebie, zwykł załatwiać sprawy po swojemu, ale bez pośpiechu. Nie miał zamiaru skończyć tam, gdzie Joe znalazł się teraz, a mianowicie w cieniu szubienicy. Tym razem miał jeszcze do dyspozycji sześć dni, to zaś oznaczało, że czasu ma aż nadto.

Poprzedniego dnia zadanie nie zostało wykonane tak, jak to sobie zaplanował, ale nie było też powodu do żałowania. Stracił jednego rewolwerowca, ale ten człowiek zginął, zanim zdołano wydobyć z niego

zeznania. Szeryf nie był więc w stanie udowodnić, że Burdette maczał w tym palce. Kilku jego ludzi, w tym Charlie, musiało opuścić miasto, co stanowiło pewne utrudnienie, z drugiej jednak strony cel został częściowo osiągnięty.

Wheeler, którego płomienne mowy mogły wzburzyć mieszkańców i przysporzyć szeryfowi nowych pomocników, był martwy, i wszyscy wiedzieli doskonale, dlaczego zginął, chociaż nie można było tego udowodnić.

Jeszcze większe znaczenie miał fakt, że wczorajszy wieczór dał Natanowi okazję do zmiany opinii o Waltonie. Wyglądało na to, że ten pijak mógł okazać się niebezpieczny, o ile był trzeźwy. Ta informacja była cenna. Dzięki niej można było w przyszłości ustrzec się przed ciężkim błędem.

Ale tego ranka Natan interesował się wyłącznie szeryfem. Chance miał dotąd wystarczająco dużo czasu, by zapoznać się z sytuacją i przemyśleć sobie wszystko. Teraz Natan chciał się dowiedzieć, co szeryf postanowił, jak wyobraża sobie rozwiązanie problemu.

Chance'a nie wolno było nie doceniać. Był

inteligentny, wytrwały i niezwykle uparty. Natan zetknął się już nieraz z ludźmi tego typu i z doświadczenia wiedział, że nie wolno ich lekceważyć.

Przejeżdżali teraz przez opustoszałą dzielnicę meksykańską. Kopyta koni uderzały donośnie o bruk i Matt Harris rozejrzał się dokoła z uśmiechem. Lubił wzbudzać strach. Pod tym względem różnił się od Natana, dla którego strach był tylko środkiem do osiągnięcia określonego celu.

Kiedy zbliżyli się do starej stajni, Dude wstał z kamienia, na którym siedział, i wyszedł na środek drogi. Natan spodziewał się tego i zatrzymał się na znak Dude'a.

— Mam rozkaz odebrać wam broń — powiedział Walton.

To również nie byto zaskoczeniem dla Burdette'a, a jego ludzie zostali poinformowani już przedtem, jak mają się zachować. Postanowił jednak przeprowadzić próbę sił.

— Przypuśćmy, że nie oddamy broni — odparł spokojnym tonem. — Sądziś, że mógłbyś zmierzyć się z nami, sam jeden?

Dude uśmiechnął się. Jego twarz była blada i wynędzniała, nie znalazł jeszcze czasu, aby ogolić się czy choćby umyć. Ale była z niego wiara w siebie, widniała nawet w jego wzroku. Patrzył na Natana tak, jak gdyby miał nadzieję, że tamci nie wykonają jego polecenia.

— To bardzo głupie pytanie — powiedział przeciągle. — Wiesz doskonale, że kosztowałoby to życie dwóch czy trzech od was, a pierwszym z nich byłbyś ty.

Natan kiwnął głową.

— W porządku — zwrócił się do swoich ludzi. — Oddajcie mu broń.

Dude wskazał na parkan obwieszony pasami.

— Powieście je koło tamtych. Weźmiecie je znowu w drodze powrotnej.

Natan nie był uzbrojony. Pozostali zbliżyli się jeden po drugim do parkanu, odpięli pasy i przewiesili je przez sztachety. Następnie cały oddział udał się w dalszą drogę do więzienia.

Przed drzwiami czekał już na nich Chance.

— Witaj, szeryfie — odezwał się Natan.

Chance skinął głową.

— Witaj. Spodziewałem się, że przyjedziesz.

— Chciałbym zobaczyć się z moim bratem.

— Wejdz.

Natan zsunął się z siodła. Harris i pozostali uczynili to samo i podeszli z nim pod drzwi, ale Chance skierował w ich stronę lufę karabinu.

— A wy po co? — zapytał. — To przecież nie jest wasz brat. Cofnijcie się i poczekajcie na ulicy.

Natan obrócił do nich głowę.

— Idźcie już. Róbcie to, co wam każe.

W oczach Matta pojawił się jakiś zły błysk; mimo to wraz z innymi zawrócił bez słowa. Natan zerknął przelotnie na grupkę gapiów.

— Czego oni tu chcą?

— Nie pytałem ich o to — odparł Chance — ale zdaje mi się, że chcą zobaczyć, jak się zachowasz. To chyba nie jest ci na rękę, co? Zbyt wielu świadków?

Burdette wzruszył obojętnie ramionami. Wszedł po schodkach do biura, a Chance udał się za nim i starannie zaryglował drzwi.

Wciągu kilku ostatnich lat Natan bywał tu czasem,

aby pomóc komuś ze swojej drużyny, kto wypił w saloonie za dużo i odsypiał kaca w celi. Teraz przyglądał się wszystkiemu ze szczególnym zainteresowaniem. Okratowane drzwi do cel były zamknięte. Dawniej nigdy nie zadawano sobie tyle trudu. A za kratą stał Stumpy Anderson z dubeltówką w dłoni.

— Otwieraj — powiedział niecierpliwie Chance.

Stumpy spoglądał nieufnie na Natana.

— Dobrze — odparł — ale nie robię tego chętnie. Będziemy mieli tu za dużo Burdette'ów. Już całe więzienie śmierdzi nimi.

Wsunął do zamka olbrzymi klucz i przekręcił go ze zgrzytem. Drzwi otworzyły się i Natan z Chance'em udali się za starym, który kuśtykając szedł przodem. Szeryf zamknął za sobą kratę. W tylnej części więzienia wisiała na haku lampa naftowa. Natan obserwował dokładnie całe wnętrze: krzesło, okna zabite deskami, zapas wody i żywności. Biorąc jeszcze pod uwagę grube mury z cegły, można było porównać to więzienie z fortem.

Joe stał za kratami swojej celi, uśmiechając się do

brata wyczekująco. Widać było wyraźnie, o czym myśli, że Natan załatwił już wszystko i przyszedł teraz, aby go stąd wydostać. W tym momencie w Natanie dokonała się nagle i zasadnicza przemiana. Jego miłość do młodszego brata była głęboka i szczerą, przetrwała dotąd tyle lat, mimo iż Natan uświadomił sobie już wcześniej, że Joe nie jest jej godzien. Teraz jednak zdał sobie sprawę z tego, że to uczucie rozwiało się, albo przynajmniej uległo dużej zmianie. Od pierwszej chwili, kiedy otrzymał ową fatalną wiadomość, zajął się całą sprawą w sposób chłodny i planowy, aby ocalić Joe przed stryczkiem. Ani razu jednak nie pomyślał o Joe jak o swoim bracie. Teraz patrzył na niego, na jego błyszczące, czarne oczy, tak płytkie jak wiosenne kałuże, i odczuwał tylko jedno pragnienie: chwycić go mocno za ramiona, pchnąć na żelazne kraty tak, aby wyrznął o nie głową, a potem zapytać, dlaczego dopuścił się tego idiotycznego, bezsensownego i niepotrzebnego czynu.

Długo i ciężko musiał harować, aby stworzyć swoje bogactwo, podczas gdy Joe nie ruszył nigdy nawet palcem. Teraz Natan czuł, że może kiedyś stracić



wszystko co posiada, tylko dlatego, że jego brat nie potrafi zapanować nad swymi wyskokami. Wszystkie prace na ranczu musiały zostać przerwane, a on sam wystąpił przeciw prawu, po prostu dlatego, że Joe po pijanemu zastrzelił bezbronnego człowieka. Teraz zaś stał uśmiechnięty, zadowolony z siebie, wierząc, że dzięki pomocy Natana będzie mógł nie spłacić tego rachunku.

Gdyby za jego czyn groziło mu tylko więzienie, Natan kazałby mu tym razem ponieść wszelkie konsekwencje. Ale za morderstwo groził stryczek, a wina Joe nie ulegała wątpliwości. Pozostało więc tylko jedno wyjście i Natan zdecydował się już na nie.

— Dobrze, że przyszedłeś — odezwał się Joe. — Mam już dosyć tej nory. — Czekał na to, co powie Natan, ten jednak milczał. Joe poczuł, że jego pewność siebie zaczyna ustępować miejsca pierwszym wątpliwościom. — Wydostaniesz mnie stąd? — zapytał.

— To zależy od tego, co uzgodnimy z szeryfem.

— Nie mamy co uzgadniać — odparł Chance.

Natan obrzucił go badawczym spojrzeniem. Twarz

i głos szeryfa były twarde jak granit. W końcu wzruszył ramionami.

— Myślałem, że moglibyśmy porozmawiać... — zaczął łagodnie.

— A więc myliłeś się — odparował Chance i raptem gniew, gromadzący się w nim od jakiegoś czasu, wytrysnął na zewnątrz. — Jesteś potężnym człowiekiem, Natan. Masz sporo ziemi, mnóstwo bydła, opłacasz wielu ludzi, aby dla ciebie pracowali. Ale to wszystko nie znaczy jeszcze, że jesteś pępkiem świata. Twój brat zamordował człowieka i za to musi stanąć przed sądem. Na nic się tu nie zdadzą jakieś uzgodnienia czy rozmowy. Możesz otoczyć swoimi ludźmi całe miasto, proszę bardzo. Ale ja pozostanę w tym więzieniu razem z Joe tak długo, aż przybędzie szeryf federalny. Będziesz mógł zmierzyć się z nim, jeśli tego zapragniesz.

Wiedział, że Natan nie zdobędzie się na to. Władza federalna była zbyt silna, aby jeden człowiek mógł coś wskórać przeciw niej. Był dosyć ustosunkowany, ale jego wpływy nie sięgały aż do Waszyngtonu.

Joe roześmiał się.

— To tylko wielkie słowa. Wystarczy spojrzeć na jego pomocników. Moczymorda i stary kuternoga! Mógłbyś wydobyć mnie stąd w każdej chwili!

— Zamknij się, Joe — przerwał mu Natan. Jego głos był zimny i niecierpliwy.

Chance spojrział na więźnia i uśmiechnął się.

— Twój brat jest o wiele mądrzejszy niż ty. Obejrzał sobie więzienie i wie teraz, że wydostanie cię stąd nie byłoby rzeczą łatwą. A jeżeli mimo wszystko ma jeszcze jakieś wątpliwości, chętnie je wyjaśnię. Mogłoby się mianowicie zdarzyć, że w przypadku ataku na więzienie zostałbyś przypadkowo zastrzelony.

Spojrział na Stumpy'ego, który siedział na swoim krześle z dubeltówką wycelowaną w celę, a stary momentalnie wykrzywił twarz w uśmiechu.

— Mogę to nawet zagwarantować.

— On by to naprawdę zrobił, Natan! Ten stary diabeł jest zdolny do wszystkiego! To wariat! — Joe zbladł.

Natan nie zdradzał się z tym, co myślał, ale jego respekt przed szeryfem wzrósł jeszcze bardziej. On sam nie zorganizowałby tego wszystkiego lepiej.

Wierzył też, że stary nie zastanawiałby się długo i zrobiłby to, co obiecał. Dawniej Natan wyrugował wielu takich Andersonów i była to konieczność, gdyż w tych okolicach pastwiska były suche i niewielkie, a potrzebne były jak powietrze, o ile chciało się do czegoś dojść. Swoje ranczo, nazwane później „Srebrną Ostrogą”, stworzył z gospodarstwa niewiele większego od zagrody Stumpy'ego i zawsze starał się postępować legalnie. Z tych, których pozbawił ziemi, tylko niewielu wróciło, by sprawiać mu kłopoty. Stumpy Anderson był starcem wyjątkowo zazartym i Natan żałował teraz, że kula roztrzaskała mu wtedy tylko nogę, a nie głowę.

— To byłoby zwykłe morderstwo, Chance! — żalił się Joe. — Do diabła, naprawdę myślisz, że mógłbyś mnie zabić i że uszłoby ci to bezkarnie?

— Jeśli już do tego dojdzie — odparł szeryf — to i tak czeka nas wszystkich śmierć, a więc jakie znaczenie miałyby dla mnie ewentualna kara?

Joe zwrócił się do brata:

— Co zamierzasz, Natan?

— Ja? — odparł tamten głosem, który nie wyrażał zupełnie nic. — A cóż ja mogę zamierzać? Doprawdy

nie wiem, co jeszcze mógłbym dla ciebie zrobić. — Widząc, że Joe chce coś powiedzieć, podniósł głos. — Musisz po prostu uzbroić się w cierpliwość. I nie przejmuj się za bardzo tą rozprawą sądową. Sprowadzę tu najlepszego adwokata z Teksasu.

— Skierował wzrok na Chance'a. — Chyba to już wszystko.

Ruszył w stronę biura, omijając wzrokiem przerażoną twarz brata. Niech się teraz ten sukinsyn poci — pomyślał. Poczekał, aż Chance otworzy kratowe drzwi i przy okazji zauważył, że stąd nie widać Stumpy'ego, a więc ktoś, kto strzelałby z biura, nie stanowiłby dla starego żadnego zagrożenia. Atak na więzienie trzeba by przypuścić od frontu, a Stumpy miałby na pewno wystarczająco wiele czasu, aby wykończyć Joe, nie musiałby nawet tak bardzo się śpieszyć.

Zacisnął mocno zęby. Sytuacja nie wyglądała tak prosto, jak się tego spodziewał.

Chance odprowadził go do wyjścia.

— I jeszcze jedno — powiedział. — Według mnie śmierć Pata Wheelera nie została jeszcze ani

zapomniana, ani wyrównana.

Natan spojrział mu w oczy. Przez dłuższą chwilę stali tak bez słowa, związani ściśle wzajemnym zrozumieniem i wzajemną wrogością, której nie można już było cofnąć. Potem Natan powiedział cicho:

— Do zobaczenia, Chance — i wyszedł na zewnątrz, na rozpaloną od słońca ulicę.

\* \* \*

Colorado siedział w kącie saloonu Rio Bravo. Spędził tu już pół godziny, obserwując wydarzenia w więzieniu. Teraz Natan Burdette, Matt Harris i czterej pozostali zbliżali się do saloonu. Tłum przed więzieniem nie rozchodził się. Może ci, którzy tam sterczeli, mieli jeszcze nadzieję, że Burdette zbierze więcej ludzi i zaatakuje więzienie. Jednak nic na to nie wskazywało. Natan zamienił kilka słów z Harrisem i podszedł do baru. Nowy barman podał mu butelkę, on zaś wypił trochę, przechylając nieco głowę, jak człowiek, który rozważa coś w myślach. Colorado nie spuszczał go z oka.

Po chwili, Burdette odszedł od baru. Uśmiechał się. Spojrzał na małego Meksykanina przy pianinie i zawołał przez całą salę.

— Raton!

Meksykanin zdjął dłonie z klawiatury.

— Słucham, señor?

— Podejdź do mnie.

Raton wstał od pianina z ostentacyjnym wahaniem, posłuchał jednak bez sprzeciwu. Burdette położył mu dłoń na ramieniu i przez chwilę szeptał coś na ucho. Colorado nie wiedział, o co chodzi, ujrzał jednak, że Raton cofa się o krok, jakby przerażony. Wydawało się też, że chce zaprotestować.

Ale Natan, niezmiuszony, uśmiechał się nadal. Powiedział teraz głośniej, tak że Colorado słyszał wyraźnie każde słowo.

— Zagraj to, Raton. Graj tak długo, aż powiem, żebyś przestał. Zrozumiałeś? — Obrócił się do barmana. — Eddie, dopilnujesz, żeby nikt mu nie przeszkadzał. — Spojrzał znowu na Ratona, który stał nadal w bezruchu. — Zaczynaj, chciałbym to wreszcie usłyszeć. Graj głośno.

Meksykanin wrócił na swoje miejsce przy pianinie, jeszcze raz spojrzął przez ramię, jakby miał nadzieję, że Natan w ostatniej chwili zmieni zdanie, wreszcie dwa, trzy razy zamknął i otworzył dłonie, i zaczął grać.

Zabrzmiała dziwna melodia, posepna i dzika, natrętna, przenikająca do szpiku kości.

Początkowo Colorado nie wierzył własnym uszom, dopiero po dłuższej chwili wyprostował się, a jego wzrok powędrował do Burdette'a.

Natan uśmiechał się w dalszym ciągu. Najwyraźniej zadowolony z siebie, zamienił kilka słów z barmanem, kiwnął na swoich ludzi i ruszył do wyjścia. Podążyli za nim. Widać było po nich, że ta muzyka zaskoczyła ich, nie mieli jednak odwagi zapytać o nic swego szefa. Potem cała grupa dosiadła koni i odjechała. Wkrótce tłum przed więzieniem się rozszedł.

Raton nie przestawał grać. Muzyka zdawała się wywierać na niego osobliwy wpływ. Jego niechęć ustępowała, wątle plecy prostowały się z każdą chwilą, palce uderzały w klawisze coraz mocniej, z coraz większą pasją. W jego ciemnych oczach pojawił się błysk nieskrępowanej dumy.



W tym momencie Colorado ujrzał na ulicy Dude'a. Wstał i wyszedł z saloonu. Mimo woli stawiał kroki do rytmu tej niesamowitej, złowieszczej melodii. Chance stał przed swoim biurem i rozmawiał już z Dude'em.

— Czego się po nim spodziewasz? — mówił właśnie. — Że rozgłosi na wszystkie strony swój plan bitwy?

— Czy to znaczy, że nic nie powiedział?

— Właśnie. Chciał się tylko dowiedzieć, czy ewentualnie nie byłbym skłonny ustąpić.

— Zauważył Colorado i spojrzał na niego niechętnie. — Czego chcesz?

— Chciałem się po prostu dowiedzieć, co z Burdette'em.

— Co cię to obchodzi? — zapytał Dude. — Przecież powiedziałeś wyraźnie, że to nie twoja sprawa. Colorado nie zwracał na niego uwagi.

— Może Burdette nie powiedział panu tego wprost, szeryfie, ale mówi to teraz. Słyszysz pan tę melodię?

Chance zmarszczył brwi. Wraz z Dude'em wsłuchiwali się przez chwilę w przytłumione, ale

wystarczająco głośne dźwięki.

— Co to takiego? — zapytał wreszcie Chance.

— Deguello. Orkiestra wojskowa generała Santa Anny grała to w trakcie oblężenia Alamo. Grali to dzień i noc, do czasu, kiedy obrońcy zostali pokonani i wybici co do jednego. Czy przypomina pan sobie teraz, co ta melodia oznacza?

Twarz Chance'a sposepniała, skinął głową.

— Tak — mruknął. — Teraz już sobie przypomniałem. Ta melodia oznacza: Nie ma litości dla pokonanych.

## XIV

Chance wyglądał przez małe okienko na ulicę. Rozgrzane powietrze drgało nad płaskimi dachami domostw.

— Jak, u diabła, miałbym go zamknąć? — zapytał, gestykulując gniewnie.

— Tak mówisz, jakby nie dał ci już wystarczająco dużo powodów!

— Na przykład?

Stumpy parsknął.

— Zatrzymuje przejezdnych na drodze. Albo że...

— Ta ziemia należy do niego. Nie czyni nic sprzecznego z prawem, dopóki ogranicza się do zadawania pytań. Nikogo nie zranił, nie przywłaszczył sobie cudzego mienia.

— Do diabła, a ta sprawa z dylizanssem?

— Dowody, Stumpy! Tak samo nie udowodnisz mi, że to on nasłał mordercę na Wheelera.

Stumpy kłął rozwścieczony.

— Dowody! Co za bzdura! Ja bym go zamknął, z

dowodami czy bez!

— W ten sposób wyrządziłbym mu olbrzymią przysługę. — Chance roześmiał się sucho.

— Wyjaśnij mi to — Stumpy pokręcił głową. — Ja jestem tylko prostym starym człowiekiem. Nie mogę się połapać w takich subtelnościach.

— Natan jest człowiekiem potężnym — zaczął cierpliwie Chance. — I ma jeszcze potężniejszych przyjaciół. Gdybym wsadził go bezprawnie do więzienia, jego przyjaciele dowiedzieliby się o tym już na drugi dzień, a trzeciego dnia nie byłbym już szeryfem i mógłbym uważać się za szczęściarza, gdybym nie znalazł się w celi na miejscu Natana. Założę się z tobą, o co tylko chcesz, że w takiej sytuacji Joe wyjechałby na wolność na plecach brata. A tak Natan znajduje się po niewłaściwej stronie prawa, co jest rzeczą bardzo ryzykowną. W każdej chwili może zlecieć i skrócić sobie kark. — Umilkł na chwilę, a potem dodał: — Nawiasem mówiąc, nasze położenie nie jest wcale tak złe. Nie bardzo wiem, w jaki sposób mógłby nam zaszkodzić.

Ale jego głos zabrzmiał mało przekonywająco.

Stumpy zaklął ponownie i dodał:

— On już na pewno coś wykombinuje! — Po czym pokuśtykał z powrotem do cel.

Monotonna melodia deguello, rozbrzmiewająca już ponad godzinę, zaczęła mu działać na nerwy. Chance wyglądał znudzony przez okno. Po pewnym czasie dojrzał Carlosa, wychodzącego z hotelu. Zasłaniając sobie lewe oko dłonią, niemal biegł w stronę więzienia.

Chance wpuścił go do środka.

— Co ci się stało?

Carlos opuścił rękę. Wokół oka nabrzmiwał spory siniak. Spojrzał gniewnie na szeryfa.

— Powiedziałeś, żebym wsadził ją do dylizansu.

— Co takiego? — zawołał Chance. — A więc to ona nabiła ci guza?

— Nie — wykrztusił Carlos przez zaciśnięte zęby. — To nie ona. To Consuela podbiła mi oko.

— Consuela? — Chance poruszył się niecierpliwie. Nic z tego nie rozumiem.

— Zaraz ci wszystko opowiem. — Carlos zaczerpnął powietrza. — A więc, czekam, aż ta pani zejdzie na dół. Dylizans jest już gotów do odjazdu. Jake

czeka. A ona nie schodzi.

— Ale chyba pojechała, co?

— Poczekaj. Mówię jej, że musi pojechać, że ty tak zarządziłeś, a ja jestem za to odpowiedzialny. Krzyczę do niej: Niechże pani wreszcie schodzi! Ona na to, że nie zejdzie. Jaki zaczyna się niecierpliwić, drze się, że już rusza, a dziewczyna niech idzie do diabła. Proszę go, żeby jeszcze zaczekał, i wchodzę po nią na górę, tak jak mi przykazałeś, amigo. Ale ona zapiera się jak muł i nie chce zejść.

— Co?!

— Mówię jej jeszcze raz, co mi przykazałeś. Na to ona, że to ją nic nie obchodzi, że sama decyduje o sobie, nikt inny. Sprzeczką z kobietą nie ma najmniejszego sensu, biorę ją więc na ręce i chcę znieść na dół. Raptem zjawia się Consuela i pyta: Co ty wyrabiasz z tą dziewczyną? Mówię, że jestem za nią odpowiedzialny. A Consuela, myśląc że odpowiedzialny znaczy co innego, zaczyna mnie tłuc.

Chance powstrzymał się od śmiechu; Carlos był już i tak wściekły.

— I co ty na to?

— A co mogłem zrobić? Ponieważ trzymałem dziewczynę na rękach, nie mogłem się bronić, puszczam ją więc na podłogę. Teraz ona zaczyna wrzeszczeć jak opętana, że zrobiłem jej krzywdę i znieważylem. Wtedy Consuela buch mnie w oko! — Wykonał ręką gwałtowny gest.

— Wiesz przecież, jaka ona jest silna. Dlatego chciałem cię prosić, żebyś poszedł teraz ze mną...

— Poczekaj chwilę! — przerwał mu Chance. — W każdym razie ta dziewczyna odjechała dyliżansem, prawda?

— Nie, właśnie ze nie! Powiedziałem ci przecież, że zaparła się jak muł. Jake nie chciał dłużej czekać.

— Mój Boże! — jęknął Chance. Tego jeszcze brakowało! — Sam jednak nie wiedział, czy wiadomość, że dziewczyna nie wyjechała, złości go czy cieszy.

Carlos ponowił prośbę, tym razem bardziej natarczywie:

— Amigo, proszę cię, chodź teraz ze mną i wytłumacz Consueli, co to znaczy: odpowiedzialny!

Chance krzyknął głośno że wychodzi, wziął karabin

i wraz z Carlosem udali się do hotelu. Szli rozpaloną ulicą, ścigani dźwiękami pianina z saloonu. Carlos zerknął na szeryfa z ukosa.

— Wiesz, co to za melodia, prawda? — zapytał Chance.

— Si. To bardzo stara melodia. Grali ją nawet muzycanci Ferdynanda i Izabeli, kiedy wojska katolickie walczyły z Maurami. Niektórzy twierdzą nawet, że deguello było wojenną pieśnią Arabów, zanim jeszcze przejęli ją Hiszpanie.

— Ale zawsze oznaczało to samo, co?

— Si. Nie ma litości. I Carlos przesunął palcem po szyi, niczym nożem. — Ale może to tylko błaga.

Weszli do hotelu, którego wnętrze po rozżarzonej i rozjaśnionej promieniami słońca ulicy wydało im się ciemne i chłodne. Consuela czekała już i z płaczem podbiegła do męża.

— Señorita wyjaśniła mi wszystko! Co ja narobiłam! — Stała przed nim ze spuszczoną głową, jak skarczone dziecko. — Proszę cię, wybac mi! — Twarz Carlosa złagodniała. Mrugnął do szeryfa nad głową Consueli, a potem ostrym tonem i z surową miną



zaczął mówić coś do niej bardzo szybko.

— Chyba nie jestem już potrzebny — mruknął Chance. Spojrzał na nich jeszcze raz, po czym wszedł na górę.

Felicity Slater siedziała w swoim pokoju na brzegu łóżka, ubrana w czarny kostium podróży i kapelusz z piórami w tym samym kolorze. Obok niej piętrzył się stos kufrów i pudełek z kapeluszami. Spojrzała na niego trochę bojaźliwie i zarazem zdecydowanie.

— A więc — zaczęła bez żadnego wstępu — nie pojechałam.

— Widzę.

Wskazała na bagaż.

— Wszystko miałam przygotowane. Carlos krzyczał, że dylizans jest gotów do odjazdu, a potem usłyszałam, jak ktoś wrzeszczy, że nie pojedę. To ja wrzeszczałam.

Chance zamknął drzwi i oparł się o nie plecami.

— Niech pani mówi dalej.

— Potem zaczął się prawdziwy rozgardiasz. Szkoda, że pan tego nie widział! — Roześmiała się. — Carlos i Consuela krzyczeli jedno przez drugie, potem

on opuścił mnie na podłogę i ja też zaczęłam się wydzierać. — Urwała, potrząsnęła głową i westchnęła. — I znowu gadam głupstwa, a pan chciałby się dowiedzieć czemu nie wyjechałam, prawda, szeryfie? Jak pan się właściwie nazywa? Nawet nie znam pana nazwiska.

— Chance — odparł. — John T. Chance.

— John T. — powtórzyła. — T jak tarapaty.

Sapnął niecierpliwie.

— Denerwuję pana czy tak, Johnie T.? Sprawiam panu stale kłopoty... — Nie czekając na odpowiedź wstała i podeszła do okna. Mówiąc dalej, stała zwrócona do niego tyłem. — Proszę mnie nie pytać, dlaczego zostałam. Nie chcę panu w niczym przeszkadzać ani być ciężarem, po prostu będę w pobliżu. Nie jest mi pan nic winien i nie musi się pan o mnie troszczyć. Kiedy wszystko przeminie, powie mi pan tylko, że mam odejść i wtedy odejdę... Nie, nawet tego nie będzie mi pan musiał mówić. Sama zrozumiem i zniknę. Czy zgadza się pan na to, Johnie T.?

Słowa sypały się z jej ust jedno po drugim. A potem owa erupcja temperamentu skończyła się tak

raptownie, jak się zaczęła. Milczeli oboje. Chance wpatrywał się w nią osłupiały. Wreszcie obróciła się ku niemu. Jej twarz była teraz inna niż przedtem, zniknęła z niej przekora. Była to twarz kobiety delikatnej i spragnionej, kobiety, którą łatwo zranić.

— Nie musi pan odpowiadać, jeśli pan nie chce — szepnęła. — Ale niech pan powie cokolwiek, proszę!

Jej wzrok był bezpośredni, uczciwy, pozbawiony kokieterii czy też fałszu. Chance patrzył na nią i coś dziwnego działo się w nim, opadły go uczucia, jakich nie znał dotychczas.

— Gdybym nie tkwił teraz w całym tym bagnie, wszystko byłoby może inaczej — wybąkał zmieszany. — Ale co robić, tak już jest...

— To właśnie chciałam usłyszeć — szepnęła. Nagle znalazła się przy nim i przywarła wargami do jego ust. Po chwili odchyliła głowę do tyłu i potrząsnęła nią, marszcząc brwi.

Byli tak blisko siebie, że mógł dojrzeć dokładnie strukturę jej skóry i każdy z błyszczących włosów, okalających jej twarz. Przyszło mu do głowy, że jest najpiękniejszą kobietą, jaką widział kiedykolwiek w

życiu. Znowu poczuł na ustach jej wargi i tym razem zamknął oczy, zapominając o wszystkim, co go gnębiło. Upłynęła długa chwila zanim uwolniła go z objęć.

— Cieszę się, że zrobiliśmy to po raz drugi — powiedziała. — Lepiej, jak robią to oboje. Milczał zakłopotany

Otworzyła drzwi i uśmiechnęła się promiennie.

— Chyba zabrałam ci już mnóstwo czasu, a przecież obiecałam, że nie będę przeszkodą. Idź już!

Znowu znalazł się na korytarzu, sam nie wiedział jak. Krew pulsowała mu gorączkowo w skroniach, uświadomił sobie, że ma głupkowatą, zdumioną minę. Mój Boże — pomyślał — tak jakbym miał jeszcze mało spraw na głowie!

Dude siedział w biurze szeryfa przy zimnym piecu i czyścił rewolwer naoliwioną szmatą i szczotką. Na dworze zapadał już zmrok. Pracował w milczeniu, wreszcie podniósł wzrok na Stumpy'ego, który bujał się leniwie na fotelu.

— Już dawno chciałem cię o coś zapytać. Cyngiel w twoim rewolwerze chodzi jakoś ciężko. Może bym go trochę podpiłował?

— W żadnym wypadku! — Stumpy aż podskoczył na swoim bujaku. — Nie chcę mieć potem spluwy, która wypali, gdy tylko jej dotknę. Chcesz, żebym się kiedyś sam postrzelił? Przecież.. — urwał nagle, po czym zwrócił się do szeryfa. — Chance, coś mi się przypomniało. Dlaczego, do diabła, nie dasz mu wreszcie jego własnych rewolwerów?

Dude zerwał się na równe nogi. Chance wzruszył ramionami i mruknął:

— Zupełnie wyleciało mi to z głowy. — Wstał, podszedł do szafy i wyciągnął z kieszeni pęk kluczy.

— Masz pamięć wcale nie lepszą niż ja — zauważył Stumpy z satysfakcją. — One leżą już tam chyba od dwóch lat.

Chance wyciągnął z szafy pas z dobrze wyprawionej skóry z dwoma koltami i podał Waltonowi, który ujął broń z niemal nabożną czcią. Potrząsnął kilkakrotnie głową i zamrugał oczami, jak gdyby oślepiło go światło.

— Skąd je masz? — wykrztusił wreszcie.

— Od faceta, któremu dałeś je za wódkę.

Dude założył pas, sprawdził oba rewolwery, zajrzał w lufy, pokręcił bębenkami.

— Jeśli naprawdę leżą tu w szafie od ponad dwóch lat — powiedział — to jak to się stało, że są tak dobrze naoliwione?

— A co, miałem dopuścić, by zardzewiały? — odparł Chance. Wziął karabin ze stojaka. — Chodź, zrobimy obchód. Stumpy potrzebuje kawy i cukru, możemy mu trochę przynieść.

Wyszli na ulicę. Dude zatknął kciuki za pas, jak gdyby w obawie przed powtórnią utratą tego skarbu.

— Jak to jest właściwie, będę dostawał zapłatę?

— zapytał nagle.

— Taką jak przedtem.

— To potrać od razu tyle, ile zapłaciłeś za te spluwy.

— Nie pali się.

Przechodzili właśnie obok jakiejś witryny. Dude przystanął i przejrzał się w szybie wystawowej jak w lustrze. Jego uwaga skoncentrowała się na obszarpanym ubraniu, jakie miał na sobie, pomacał palcami kilka dziur, spojrzął na prawy but, w którym podeszwa oddzieliła się już, tworząc jakby ziejącą paszczę i obnażając brudne palce właściciela.

— Skoro już jesteś tak wspaniałomyślny — mruknął — mógłbyś też dać mi jakąś zaliczkę, tak żebym mógł sobie kupić spodnie i koszulę.

Chance obserwował bacznie ulicę.

— To zbyt cenne — odparł, nie patrząc na przyjaciela. — Zostawiłeś tu trochę swoich rzeczy, kiedy pognąłeś za tamtą dziewczyną. Leżą teraz na górze, w moim pokoju.

— Trzymałeś moje rzeczy przez tyle czasu? — Dude wlepił w niego zdumiony wzrok. Szeryf

przytaknął.

— Mógłbyś też się umyć i ogolić. Śmierdzisz już tak, że trudno wytrzymać.

Dude roześmiał się, ale śmiech ten był trochę nienaturalny. Przesunął dłonią po brodzie, potem po szyi, następnie wyciągnął rękę przed siebie. Palce dygotały silnie.

— Nie wiem, czy naprawdę powinienem się ogolić. Mógłbym sobie jeszcze poderżnąć gardło.

\* \* \*

Godzinę później Chance zapukał do pokoju Felicity. Natychmiast otworzyła drzwi i uśmiechnęła się na jego widok.

— Miałam nadzieję, że przyjdiesz, John, ale nie sądziłam, że tak prędko...

Odsunęła się na bok, żeby mógł wejść, ale Chance potrząsała zdecydowanie głową.

— Masz może coś, żeby zatamować krew?

Zrobiła duże oczy i Chance roześmiał się.

— Nie bój się, to nic groźnego. Dudę próbował się



ogolić.

Odetchnęła z widoczną ulgą.

— Myślałam już... — nie dokończyła zdania i zaczęła przeszukiwać swoje rzeczy.

Walizki były otwarte, a pokój wyglądał o wiele mniej schludnie, niż podczas jego poprzedniej wizyty.

— Gdzieś musi tu być ałun. — Grzebała w rzeczach tak, jak pies w ziemi; różne przedmioty i części garderoby fruwały na wszystkie strony. — Mam! — Triumfalnie podniosła do góry kostkę ałunu. — Znalazłam! A gdzie Dude? Mogłabym mu pomóc!

— W moim pokoju — odparł Chance.

Dude stał przy umywalce, ręcznik zarzucił sobie na ramiona. Był już po kąpieli, włosy miał jeszcze mokre, potargane, zwisające aż na szyję. Zdołał już pozbyć się większej części brody, ale ręcznik był cały poplamiony krwią, a twarz pocięta żyłką w kilku miejscach.

— Mój Boże! — zawołała dziewczyna. — Niech pan usiądzie. Pchnęła go na krzesło i wzięła się do roboty. Dude wzdrygał się boleśnie i tupał nogami, ona jednak nie ustępowała, a w końcu pociągnęła z dezaprobatą za szczególnie długi kosmyk włosów. —

John, podaj mi nożyczki.

Chance wyszedł, znalazł nożyczki w jej pokoju i podał jej. Dziewczyna zaczęła strzyc Waltona; robiła to zręcznie i szybko. Dude obserwował Chance'a w lustrze, z wyrazem cynicznego rozbawienia na twarzy. Szeryf zaczerwienił się. Wiedział, o czym myśli jego przyjaciel i nie mógł mu mieć tego za złe. Czy przypadkiem nie wpadał teraz w tę samą przepaść, która przed trzema laty doprowadziła do zguby Dude'a? Musiał przyznać w duchu, że taka groźba nie jest nierealna. Chodziło o to, aby nie dać się zniszczyć. Nie wolno mu się z nią zadawać. Nie teraz. Zerknął na dziewczynę i po raz pierwszy poczuł strach przed samym sobą. Do diabła z tymi kobietami! Można by wieść wspaniałe życie, wolne od trosk, zwątpień i obaw, a tu zjawia się taka czy inna i za pomocą swych wdzięków i wszelkich możliwych tricków pozbawia rozsądku. I tak kończy się sen o spokojnym życiu!

Dude wstał wreszcie i ściągnął z ramion ręcznik. Miał teraz na sobie porządne spodnie w czarne i szare prążki oraz czarną koszulę z porządnego materiału. Buty kosztowały go dawniej trzymiesięczną pensję.

Przejrzał się w lustrze i uśmiechnął z zażenowaniem.

Człowiek, którego tam zobaczył, nie różnił się prawie od dawnego Dude'a. No, ale właśnie: prawie. Trzy minione lata pozostawiły na jego twarzy trwałe ślady. Założył pas i zdjął z haka na ścianie czarny filcowy kapelusz ze srebrnym otokiem. Przez dłuższą chwilę przyglądał się opasce, po czym zdjął ją z kapelusza i rzucił szeryfowi.

— Za to mógłbym sobie kupić mnóstwo whisky.

Chance obrócił opaskę kilkakrotnie w dłoniach i kiwnął głową.

— Z całą pewnością. Odrzucił ją z powrotem.

Dude spojrział na niego niepewnie. Po krótkim wahaniu podszedł do komody, wysunął szufladę i włożył do niej otok.

— Stanowiłbym tylko dobry cel — mruknął. Obrócił się z uśmiechem do dziewczyny.

— Dzięki, panno Slater. W razie potrzeby znowu zwrócę się do pani.

— Proszę bardzo — odparła. — Będę tu stale. — Zerknęła z ukosa na Chance'a i dodała. — Carlos daje mi pracę.

Dude wziął pod pachę paczkę z kawą i cukrem i ruszył w stronę drzwi. Chance udał się za nim, ale dziewczyna powiedziała szybko:

— Bardzo się śpieszysz, John? Chciałam z tobą porozmawiać.

— Poczekam na zewnątrz — oświadczył Dude z uśmiechem. Wyszedł, zamykając za sobą drzwi.

— Chciałam zapytać.. — zaczęła.

Patrzył na nią złym wzrokiem. Jej różowa bluzka wydała mu się nagle zbyt jaskrawa i za bardzo wydekoltowana.

— Co jest z Carlosem i pracą, którą ci załatwił? — przerwał jej.

— Och — odparła. — Carlos uważa, że mogłabym pomagać mu na dole.

— W barze?

— Między innymi — przyznała. — A według ciebie nie powinnam tego robić?

Chance wzruszył ramionami; nie starał się nawet ukryć, jak bardzo jest rozdrażniony.

— Dlaczego pytasz o to akurat mnie?

Spojrzała na niego przenikliwie.

— Już dobrze, John — powiedziała wreszcie z uśmiechem. — Powiem mu, że się rozmyślałam.

— Nie mówiłem przecież, żebyś nie przyjmowała tej pracy. — Sam nie wiedział, dlaczego już myśl o tym, że mogłaby obsługiwać za barem, denerwowała go tak bardzo.

Może gdyby zapięła tę bluzkę chociaż o jeden guzik wyżej... Do diabła, co to go właściwie obchodzi. Niech ta mądrała nie myśli, że ma to dla niego jakiegokolwiek znaczenie.

— Nie byłeś jednak zachwycony tym pomysłem.

— Nie byłem zachwycony? A dlaczego w ogóle miałoby mnie to obchodzić?

— Tego nie wiem — parsknęła. — Nie wiem też, dlaczego się tak wściekasz, kiedy zadaję ci zwykłe pytania.

— Każdego byś doprowadziła do wściekłości — odparł zrezygowany.

— Możliwe, że masz rację. Skoro nie masz nic przeciwko temu, przyjmę tę pracę. — Jej policzki przybrały teraz kolor bluzki, oczy ciskały błyskawice.

— Proszę bardzo — rzucił Chance. — Możesz

zacząć choćby zaraz.

— Dziękuję. — Wyszła z pokoju, a on pomaszerował za nią. Dude'a nie było już na korytarzu. Chance zamknął drzwi na klucz i w tym momencie coś mu się przypomniało.

— Chciałaś mnie o coś zapytać?

— To teraz nieważne. Jesteś w zbyt paskudnym humorze.

— O co chciałaś mnie zapytać? — Podniósł wyżej głowę.

— Czy zamierzasz spać dzisiejszej nocy w hotelu.

— Posłuchaj. Wyjaśnijmy od razu jedną rzecz. Od tej pory nie ma mowy, żebyś przez całą noc tkwiła na krześle przed drzwiami do mego pokoju. Już raz powiedziałem...

— Tak, wiem — wpadła mu w słowo. — Już to słyszałam. Nie zrobię tego. Ale mam lepszy pomysł. Dziś w nocy będziesz spał w moim pokoju. Tam nikt nie będzie cię szukał.

Zaczęła otwierać swoje drzwi, jakby nigdy nic, on zaś stał z szeroko otwartymi ustami, patrząc na nią. W pewnej chwili wyprostowała się i obróciła ku niemu. —

Mam w pokoju fotel bujany. Jest bardzo wygodny. Ale to tylko propozycja. Zastanów się nad nią. Nie wspomniałabym o tym, gdybyś się tak nie upierał.

Weszła do środka i zamknęła za sobą drzwi. Chance potrząsnął głową. Mimo woli roześmiał się.

— Niech mnie diabli! — mruknął.

W tej samej chwili rozległ się ogłuszający huk wystrzału z dubeltówki. Odgłos dobiegł od strony więzienia, odbił się wielokrotnym echem od ścian domostw i niemal jednocześnie zmieszał się z nim krzyk mężczyzny.

Był to głos Dude'a.

## XVI

Hall na parterze był pogrążony w półmroku. Carlos zgasił lampę wiszącą nad kontuarem i stał teraz w progu. Za jego plecami tłoczyli się nieliczni klienci. Chance, nie zwalniając, odepchnął ich na bok i wybiegł na ulicę. Usłyszał jeszcze głos Carlosa:

— To od strony więzienia.

Biegł pochylony, trzymając się przezornie w cieniu domostw. Noc była znowu cicha, jak przedtem. Umilkły nawet dźwięki deguello. Na ulicy ani śladu żywej duszy.

Drzwi od więzienia były otwarte. Przeszedł go zimny dreszcz, biegł jednak dalej.

— Dude! — krzyknął. — Dude, trafili cię?

— Uważaj! — odpowiedział głos Waltona.

Teraz go zobaczył. Dude, niemal niewidzialny w tym swoim czarnym ubraniu, stał obok wejścia do więzienia, jakby przyklejony do muru.

— Powiedz temu cholernemu idiocie, żeby przestał strzelać!



Chance podkradł się ostrożnie do drzwi.

— To my, Stumpy! — ryknął tak głośno, jak mógł.  
— Chance i Dude. Nie strzelaj!

W odpowiedzi zabrzmiał kłótlivy głos starego.

— Dlaczego nie powiedzieliście tego od razu? —  
Chance usłyszał cały stek przekleństw, a potem obietnicę: — Dobra, nie zastrzelę was. Możecie wejść.

Ruszyli jednocześnie. Dude, nadal z paczką pod pachą, trzymał w lewej ręce kapelusz i oglądał jego podziurawiony przez śrut czubek. Twarz miał białą, jak kreda.

— Chryste Jezu, Stumpy! — jęknął Chance, wchodząc do biura i zatraskując za sobą drzwi. Jego dłonie dygotały w nie mniejszym stopniu niż ręce Waltona.

— Strzelałeś do Dude'a!

— Do Dude'a! — wykrzyknął stary, wpatrując się w nich z niedowierzaniem poprzez kratę. — Nie wiedziałem, że to on!

— O mały włos odstrzeliłbyś mi łeb! — odparł Dude. — Wystarczyłoby, gdybyś wycelował odrobinę niżej!

— Byłem za bardzo zdenerwowany — odparł Stumpy — Następnym razem będę o tym pamiętał. Jego głos brzmiał coraz gniewniej. — Skąd miałem wiedzieć, że to ty? Do diabła, idziesz stąd obszarpany jak strach na wróble, stroisz się gdzieś niczym dandys, a potem wracasz i ładujesz się do środka, nie mówiąc nawet słowa. Myślisz, że jestem jasnowidzem?

Dude, nie słuchając, machał swoim kapeluszem przed jego nosem.

— Spójrz tylko na to! — krzyczał rozwścieczony! Wysunął palec przez dziurę. — Spójrz na to, coś zrobił!

— Jeszcze teraz nie jestem pewien, czy to naprawdę ty — odparował stary. — Jestem nawet gotów strzelić jeszcze raz, na wszelki wypadek. Chodziłeś brudny od tak dawna, że nikt już nie pamięta, jak naprawdę wyglądasz. — Wyraz jego twarzy zmienił się nagle i Chance odniósł wrażenie, jakby stary miał się zaraz rozpłakać. — Nie, to nieprawda, powinienem był pamiętać. Przecież znam cię nie od dziś!

— Och, zamknij się już — burknął Dude Walton. — To nie była twoja wina. Powinienem był cię ostrzec.

Napędziłeś mi tylko porządnego stracha, to wszystko.

— Podał mu paczkę przez kraty. — To dla ciebie.

Stumpy spojrział na pakunek.

— Przecież to wszystko jest zabrudzone.

— Tylko trochę piachu.

— I jeszcze te drzwi — mówił dalej Stumpy. —

Zobacz, ile w nich teraz dziur. Od tej pory będziemy mieli tu zimno. Po pomieszczeniu będzie hulał wiatr, a ja nie znoszę przeciągów. Wszystko dlatego, że musiałem je przestrzelić. Przez ciebie! Nie naprawię ich, raczej pójdę do piekła. To była twoja wina, Dude. Dlaczego pchałeś się tu bez uprzedzenia, bez żadnego... — gderał zawzięcie.

— W porządku, ja je naprawię — przerwał mu Dude. — Naprawię te drzwi, tylko przestań wreszcie trajkotać.

Stumpy roześmiał się od ucha do ucha.

— Tak też sobie pomyślałem, że to zrobisz. Dziwne, ile można osiągnąć samymi słowami! — Kuśtykając, odszedł od kraty.

— Dlaczego na mnie nie poczekałeś? — Chance spojrział z wyrzutem na Dudea.

— Wydawało mi się, że jesteś zbyt zajęty.

Nachylił się i otrzepał sobie spodnie. Z zewnątrz napłynęły znowu dźwięki pianina: Raton grał deguello.

Chance opadł ciężko na krzesło za biurkiem, przyrządził sobie skręta i zapalił.

Wiedział, że powinien myśleć teraz o Natanie, że powinien rozważyć zaistniałą sytuację i przygotować plan działania, ale zamiast tego wszystkiego, przed oczyma stawała mu bezustannie dziewczyna.

\* \* \*

Było już późno, kiedy wrócił do hotelu. Wszędzie panował spokój, nawet Raton poszedł już do domu. Ale na parterze paliło się światło, a Felicity krzątała się za barem, pobrzękując kufkami i kieliszkami.

— Jak się masz, szeryfie — odezwała się pogodnie. — Dziś miałam naprawdę moc roboty. — Oparła się i łokciami o ladę i uśmiechnęła do niego. — A jak u ciebie? Skończyłeś już na dzisiaj? Chcesz już iść spać?

— Myślałem o tym — odparł wymijająco.

— To dobry pomysł. A nie napiłbyś się jeszcze ze mną kawy?

— Nie, dziękuję.

— To może kieliszek czegoś mocniejszego?

Kiwnął głową.

— Napiję się jednego.

Sięgnęła pod ladę i wyjęła butelkę.

— Carlos powiedział mi, że to dla specjalnych gości. — Nalała podwójną porcję koniaku i podsunęła mu kieliszek. — Jesteś bardzo zmęczony, prawda?

Nie mógł temu zaprzeczyć.

— Mogłabym przygotować ci piękną, ciepłą kąpiel — powiedziała.

Odstawił kieliszek na kontuar.

— Potrzebuję, tylko kilku godzin snu, to wszystko.

— I nic więcej nie mogę dla ciebie zrobić?

— Powiedziałaś, że mam się nad czymś zastanowić.

— Tak. Na wypadek, gdybyś się zdecydował, zostawiłam otwarte drzwi do mego pokoju. — Ciepłym tonem dodała: — Życzę ci, żebyś dobrze wypoczął.

— Wcale mi nie ułatwiasz tego wszystkiego — mruknął.

Roześmiała się.

— Ach, John, wiesz, czasem wygaduję różne rzeczy tylko po to, żeby zobaczyć twoją śmieszoną minę. Nie bierz tego na serio. Dobranoc.

Wzięła się znowu do roboty. Chance spoglądał na nią jeszcze przez chwilę. Ciekawe — pomyślał — ile razy ze sobą rozmawiamy, zawsze mnie rozłości, a mimo to lubię być przy niej... W każdym razie zapięła już bluzkę na górny guzik, a więc jednak postęp!

Mimo to złościł się, widząc ją za barem, a jeszcze bardziej denerwował go fakt, że o tym w ogóle myśli.

Przy schodach natknął się na Consueę. Był przekonany, że do tej pory stała w ciemnej jadalni i podsłuchiwała ich rozmowę. Jej oczy błyszczały z podniecenia, ale dostrzegł w nich również iskiereki ironii.

— Chcesz coś zjeść, Chance? — zapytała. — Przyrządzą ci coś naprędce.

— Dziękuję, Consuelo. Jestem już po kolacji.

— Señor Stumpy gotuje dla ciebie, tak? Jeszcze cię kiedyś otruje, zobaczysz. — Podeszła bliżej i

konspiracyjnym szeptem, zerkając zarazem na Felicity, powiedziała: — Daliśmy jej u nas zajęcie. Dobry pomysł, prawda? Co o tym myślisz?

Nie bardzo wiedział, co na to odpowiedzieć, odparł więc jedynie:

— Jasne, że dobry, Consuelo.

Zachichotała, pokazując swoje wspaniałe zęby.

— Wiem, że ci się podoba, widziałam, jak na nią patrzysz. Jestem tego pewna. Carlos ma pewne wątpliwości, mówi, że jesteś teraz na to zbyt zajęty, że nie masz do tego głowy.

Powiedziałam mu, że to zwykłe wymówki mężczyzn — Consuela była za bardzo zadowolona z siebie, by dać mu dojść do słowa. — Wszyscy tylko gadają i mają ważne miny, jakby gdyby obchodziło ich coś innego. Ale ja wiem, że zawsze mają głowę do...

Chance poczuł, że się czerwieni.

— Tak — bąknął — masz...

— Mam rację? Wiedziałaś! Ona ci się podoba i wcale nie jesteś zbyt zajęty. Powiem Carlosowi, że ja miałam rację, a nie on. Buenas noches, Juan, śpij dobrze.

Twarz nadal mu pałała. Te kobiety! Do diabła! Tylko jedno im w głowie... No, ale takie już są, co robić! — Ozięble kiwnął jej głową i wszedł na górę.

Otworzył drzwi do samego pokoju, nie wszedł jednak do środka, lecz postąpił kilka kroków dalej, do pokoju Felicity.

Drzwi nie były zamknięte.

Co najmniej minutę stał w progu, z dłonią na klamce. Potem, jakby pod wpływem impulsu, zatrzaskał je gwałtownie, wrócił do siebie, zamknął się na klucz i podparł klamkę krzesłem. Zdjął kapelusz i buty, ustawił karabin pod ścianą w zasięgu ręki, a potem rzucił się na łóżko.

Był zmęczony i przytłoczony wieloma kłopotami i pragnął jedynie odprężyć się przez kilka godzin. Nie mógł jednak zasnąć. Noc była pełna dziwnych odgłosów. Wiatr tarmał okiennicami, deski skrzypiały, tracąc stopniowo nagromadzone za dnia ciepło, w pobliskim korralu zarżał koń, a za miastem zaczynał się już nocny koncert kojotów. Chance przewracał się z boku na bok, w głowie kłębiły mu się myśli, o Waltonie, Natanie i deguello — i nagle poderwał się z łóżka,



chwytając za broń. Ktoś wchodził po schodach.

Lekkie kroki minęły jego drzwi i Chance odstawił karabin na miejsce. To była tylko Felicity. Usłyszał już otwiera drzwi, przekręcił się na bok i nakrył głowę poduszką, zdecydowany zasnąć wreszcie.

Ale było to nadal niemożliwe, tym razem nie mógł nawet myśleć o swoich kłopotach. Całą jego uwagę zaprzętała teraz dziewczyna.

Znowu zerwał się na równe nogi, kiedy wydało mu się, że słyszy jakiś cichy dźwięk. Uświadomił sobie, że musiał się na krótko zdrzemnąć. Nasłuchiwał przez chwilę ale bez skutku. I nagle odeszła go ochota do snu. Domyślał się, co oznacza ten dźwięk: wbrew temu, co jej powiedział, usiadła na pewno na korytarzu, aby pilnować jego pokoju.

Wstał, w samych skarpetkach podszedł do drzwi, odsunął na bok krzesło i wyjrzał na zewnątrz.

Korytarz był pusty.

Nadstawił ucha. W hotelu panowała grobowa cisza, tylko zza jakichś drzwi dobiegało chrapanie śpiącego mężczyzny. Wyszedł z pokoju i zakradł się pod drzwi Felicity. Były niedomknięte, pokój był pusty.

Równy ułożona pościel świadczyła o tym, że nikt tu dziś nie spał.

Chance zawrócił i zszedł na dół. Zatrzymał się na chwilę w ciemnym hallu, nasłuchując. Dochodził go skądś cichy, równomierny oddech. Poczekał, aż oczy oswoją się z ciemnością, podszedł do baru i zajrzał za ladę.

Dziewczyna siedziała na podłodze, otulona kocem. Prawa dłoń, w której ścisnęła rewolwer Carlosa, spoczywała bezwładnie na kolanach. Spała z otwartymi ustami, nienaturalnie przekrzywiona głowa opierała się o drewno.

Chance dotknął jej ramienia i cicho wymówił jej imię. Otworzyła oczy i uśmiechnęła się rozszpana. Ukląkł przy niej, wyjął z ręki rewolwer i odłożył na półkę pod ladą, po czym razem z kocem wziął ją na ręce i unióś do góry. Ukryła twarz na jego szyi, a potem pocałowała go.

Wniósł ją na górę.

## XVII

Dude miał za sobą ciężką noc i nie było nic, co mogłoby poprawić mu nastrój.

Organizm pozbawiony alkoholu, buntował się. Mimo iż leżał owinięty szczelnie kocem, przemarzył na kość. Dygotał na całym ciele jak w gorączce wreszcie ostatkiem sił dowlóknął się do półki zdjął z niej dzban i wypił resztki piwa. Drzenie nie ustało, ale trunek przytępił przynajmniej dręczące go myśli i rozleniwił go. Chwiejnym krokiem wrócił na miejsce i nakrył się kocem aż po uszy. Dopiero nad ranem zapadł w lekki i niespokojny sen.

Obudził go zapach kawy. Stumpy podchodził właśnie z blaszanym kubkiem, podał mu parujący jeszcze napój. Dude umoczył zaledwie usta, kiedy opadły go mdłości. Wyszedł, aby udać się na swój posterunek przy starej stajni i wtedy ujrzał szeryfa zbliżającego się od strony hotelu. Dude wyprowadził konia i osiodłał go, udając że nie widzi przyjaciela. Ale Chance podszedł z uśmiechem na twarzy i stanął przy

nim. Był zamyślony, wyglądał na zmęczonego, ale jednocześnie szczęśliwego i zadowolonego z całego świata.

— Dzień dobry, Dude — powiedział.

Był u niej — pomyślał z goryczą Dude. — Może to taka sama dziwka jak Virgie. No, jeszcze trochę, a okaże się, czy on naprawdę jest mądrzejszy ode mnie. — Unikał wzroku Chance'a.

— Nie wyglądasz na wyspanego.

— Ty za to aż nadto.

— Co, u diabła, chcesz przez to powiedzieć?

Dude wgramolił się na siodło. Nogi miał jak z waty.

— Możesz to sobie tłumaczyć, jak chcesz. —

Dźgnął konia ostrogami.

Przed saloonem Rio Bravo stał już obserwator. Dude rozejrzał się dokoła, nie dostrzegł jednak nic podejrzanego. Grzany promieniami słońca ruszył przed siebie. Powietrze było jeszcze świeże i chłodne. Odetchnął głęboko i poczuł, że zamęt w głowie znika. Po kilku minutach dotarł do starej stajni i skręcił na podwórze, gdzie w otwartej, krytej słomą szopie zostawił konia. Potężna, waląca się już prawie ściana

stajni zasłaniała widok na ulicę. Kwadratowe podwórze pozbawione było przewiewu, słońce prażyło tu ze zdwojoną mocą. Duda poczuł nawrót mdłości, wydało mu się, że ma gorączkę. Podeszedł do koryta dla koni, zdjął kapelusz i otarł sobie pot z czoła. Zawiesił kapelusz na pompie i nachylił się, aby obmyć sobie twarz zimną wodą.

Nagle drgnął.

Obok jego twarzy, odbijającej się w zwierciadle wody i intrygującej zapadłymi, pałającymi oczyma, pojawiła się twarz innego mężczyzny. Poczucił silny cios w kark, powierzchnia wody skoczyła mu na spotkanie, a potem wtargnęła lodowatą falą w jego nos, usta i uszy. Tuż przed sobą widział dno koryta, dostrzegł nawet rysy na drewnie i ciemnozielone, podobne do waty algi. Czuł, że się dusi, ale owa nieznana siła wciskała mu bezlitośnie głowę jeszcze głębiej i nie pozwalała wydostać się z pułapki. Chciał sięgnąć po broń, ale ktoś odepchnął mu nogi do tyłu, bezsilny padł więc na kolana, uderzając brzuchem o krawędź koryta i to z taką siłą, że przeszła go raptem przerażająca myśl, iż pękną mu płuca. Zaczął wymachiwać na oślep

rękami, aby obronić się przed napastnikami, a kiedy poczuł już, że traci świadomość, ktoś poderwał go w górę. Dude ujrzał znowu światło i wciągnął łapczywie powietrze do płuc. Zakrzusił się, zakasłał, przez zasłonę z kropli wody uderzył go w oczy snop promieni słonecznych. Dostrzegł przed sobą zamazaną postać mężczyzny, który trzymał jego obydwie rewolwery. Dude szarpnął się w jedną stronę, potem w drugą, usiłując odepchnąć rękę, która ścisnęła go za szyję, ale bez skutku. Wykonał nagły zwód, po czym rzucił się na napastnika, który trzymał mu głowę w wodzie, ale w tej samej chwili mężczyzna stojący za nim uderzył go w głowę lufą jego własnego rewolweru. Poczł, że uginają się pod nim nogi. Tamci chwycili go pod pachy, przytrzymując, by nie upadł.

— Weź jego kapelusz — usłyszał jeszcze głos jednego z nich. Zdjęli kapelusz z pompy, a następnie śpiesznie zawlekli Dude'a do stodoły i zamknęli wrota.

Strach i wściekłość zmobilizowały go na tyle, że doszedł do siebie. Promienie słońca wpadały do środka przez szczeliny między deskami i połamanymi okiennicami, tworząc smugi wypełnione kurzem.

Dostrzegł dwóch innych mężczyzn, dwie mgliste sylwetki w młym świetle. Cała czwórka musiała tu przybyć jeszcze przed świtem. Nie znał żadnego z nich. Desperacja dodała mu siły. Raptownie wyrwał się z uchwytu i rzucił ku wrotom, ale tamci byli szybsi. Zagrodzili mu drogę i przyparli do ściany. Zaczął walczyć jak dzikie zwierzę, pomagając sobie pięściami i butami, ale bez skutku. Po chwili leżał już na podłodze, a czwórka napastników kopała go bezlitośnie. Jakby z daleka usłyszał głos:

— Muszę go załatwić. Harvey był moim kumplem.

Ktoś inny odparł:

— Później. Teraz mamy do zrobienia coś ważniejszego.

Czyjś but trafił go w podbródek. Poczował smak krwi i stracił świadomość.

Tamci wzięli się do roboty szybko i sprawnie. Już po chwili jeden z nich miał na sobie czarną koszulę Dude'a i jego spodnie. Założył jeszcze pas Waltona i jego przestrelony w górze kapelusz, po czym podszedł do bramy, wyjrzał na zewnątrz i kiwnął głową.

— W porządku. Teraz spływajcie stąd.

Wolnym krokiem zbliżył się do skraju drogi i usiadł na kamieniu plecami do miasta.

Trzej pozostali wycofali się przez tylne podwórze i dotarli wkrótce do wyschniętego koryta potoku za miastem, gdzie przedtem zostawili konie. Dostrzegło ich tylko kilku meksykańskich chłopów, ci jednak nie zwracali uwagi na gringos.



## XVIII

Stumpy wymiatał z aresztu brudy. Drzwi były otwarte i Chance stał na straży, podczas gdy Juanito przynosił co jakiś czas wiadro wody. W końcu Stumpy oświadczył, że to wystarczy, a szeryf wyłowił z kieszeni kilka monet, aby zapłacić chłopcu.

Juanito przyjął zapłatę z błogim uśmiechem na twarzy, po czym pobiegł przed siebie tak szybko, jak tylko zdołały to ponieść jego chude, brązowe nogi.

Chance, rozbawiony, spoglądał za nim przez pewien czas i wreszcie skierował uwagę na Dude'a, siedzącego na przydrożnym kamieniu.

— Bardzo miał kiepską noc? — zapytał Stumpy'ego.

— Jeszcze jak! — Stary przerwał pracę i wsparł się na miotle. — Nie miał dotąd gorszej. Chyba znowu wspominał. Widzi, co się z niego zrobiło i nie jest tym zachwycony.

— No cóż, musi sobie jakoś dać z tym radę — mruknął Chance. — A ty nie powinieneś go zachęcać,

żeby wyplakiwał ci się w mankiet.

— Nigdy tego nie robiłem i on też nigdy tego nie próbował — zawołał zapalczywie Stumpy. — I w ogóle, dlaczego jesteś wobec niego taki niesprawiedliwy? Nie zostawiasz na nim nawet jednej suchej nitki, a odkąd chodzi trzeźwy, stale przyczepiasz się do niego.

— W porządku — odparł Chance. — Bądź dla niego miły, a zobaczysz, jak od razu skapcanieje.

— Możliwe — burknął stary. — Ale wydaje mi się, że jeśli ktoś ma ciężki okres, potrzebna mu pomocna dłoń, a nie kopniaki w tyłek. Nie chcę się z tobą kłócić, Chance, znasz go lepiej niż ja. Może twoja metoda skutkuje u niektórych ludzi, ale powiem-ci jedno: na pewno nie poskutkowałyby w moim przypadku. — Zaczął gwałtownie zamiatać, wzniesając na wszystkie strony tumany kurzu i pyłu. — Na przykład nie ma żadnego powodu, dla którego nie miałbyś czasem rzucić mi jakieś dobre słowo, zamiast tylko ciągle na mnie pokrzykiwać. Popatrz, ile mam tu na głowie: gotować, sprzątać i opiekować się tym mordercą w celi. I za to wszystko nie doczekałem się

nawet jednego słowa podziękowania..

Chance był tego ranka w wyśmienitym humorze.

— Masz rację, Stumpy — powiedział. — Jesteś prawdziwym skarbem. Nie wiem, co bym bez ciebie zrobił.

— Nachylił się i cmoknął starego donośnie w czoło.

Następnie jednym susem znalazł się za drzwiami.

Miotła uderzyła o drzwi w tej samej chwili, kiedy zatrzaskała je za sobą, w ślad za nią popłynął prawdziwy potok przekleństw. Chance zamknął drzwi na klucz i uśmiechnął się do siebie.

Pośrodku ulicy przystanął. W oddali pojawiło się trzech jeźdźców. Powoli zbliżali się do Dude'a, który zatrzymał ich ruchem dłoni. Po chwili podjechali do parkanu i poczęli odpinać pasy z bronią.

Chance odchrząknął z zadowoleniem i ruszył w stronę hotelu. Marzyło mu się porządne śniadanie. Stumpy przyrządził mu już przedtem dwie filiżanki mocnej kawy, co postawiło go na nogi, musiał jednak zjeść też coś konkretnego.

Na schodach do hotelu natknął się na Colorado.

Odniósł wrażenie, że młodzieniec chciał z nim porozmawiać i dlatego czekał tu na niego. Powitał szeryfa uprzejmym gestem.

— Dzień dobry.

— Dobry — odparł Chance. — Co z waszymi ludźmi?

— Śpią przy wozach. Powoli zaczyna im się tu nudzić. Chcą wyruszyć w drogę. — Zaczął przyrządzać sobie skręta.

Tamci trzej odjechali już od Dude'a i zbliżali się ulicą.

— A ty? — zapytał Chance.

— Ja nie. Czekam na swoje pieniądze. — Zwilżył językiem bibułkę i zręcznie uformował palcami papierosa. — Dużo się tu ostatnio gada — dodał jakby od niechcenia.

— O czym?

— Głównie o pańskiej groźbie; o tym, co by się stało z Joe'em Burdette'em, gdyby Natan zaatakował więzienie. Na pewno nie spodziewał się, że usłyszy coś takiego.

— Czy postąpiłbyś inaczej, gdybyś był na moim

miejscu?

— Nie. Zrobiłbym dokładnie to samo. — Spojrzał na szeryfa z ukosa. — Teraz brakuje mu odwagi, by wziąć pana za słowo i przekonać się, czy naprawdę spełni pan groźbę.

— Zapomniałem wziąć tytoniu — przerwał mu Chance.

Colorado uśmiechnął się, podał mu tytoń i bibułkę. Chance oparł starannie karabin o ścianę. Był spokojny poranek. Ulica tętniła zwykłym życiem: kobiety śpieszyły z koszami na zakupy, dzieci bawiły się, tu i ówdzie wygrzewali się na słońcu próżniacy, rzemieślnicy oddawali się swoim zajęciom. Środkiem drogi nadjeżdżali bez pośpiechu trzej nieuzbrojeni mężczyźni, sprawdzeni już i przepuszczeni przez Dude'a. Chance beztrząsco skręcał sobie papierosa.

Colorado spoglądał na jego karabin.

— Zawsze dźwiga pan to z sobą? Naładowany?

— Tak. Ale tylko wtedy, kiedy wychodzę z biura.

— A właściwie dlaczego nosi pan akurat karabin?

Chance uśmiechnął się.

— Zorientowałem się w porę, że jest wielu

mężczyzn, którzy z rewolwerem są szybsi ode mnie.

— Rozumiem. — Również Colorado się uśmiechnął. Trzymał papierosa w ustach, przeszukując kieszenie.

— Zapalek też pan nie ma, co? — zapytał.

Chance potrząsnął głową i oddał resztę tytoniu i bibułki. Młodzieniec uśmiechnął się uprzejmie.

— Nie szkodzi. Przyniosę moje. — Wszedł do hotelu.

Trzej nieznajomi podjechali właśnie i zatrzymali się przed schodkami. Jeden z nich siedział w siodle trochę pokrzywiony. Jego towarzysz zapytał:

— Pan jest tu szeryfem?

— Zgadza się. — Nie znał żadnego z nich. Mieli twarde, nie wzbudzające zaufania twarze, ale w końcu rzadko widywało się kowbojów o wyglądzie pańienek ze szkółki niedzielnej.

— Szeryfie — zaczął uprzejmie nieznajomy — mieliśmy w drodze mały wypadek. Ten oto Al ma coś z nogą, koń go zrzucił. Pański pomocnik powiedział nam, że macie tu w mieście lekarza.

— Tak. Mieszka niedaleko stąd, czwarty czy piąty

dom. — Odwrócił się, aby wskazać im kierunek, wyciągając zarazem machinalnie rękę po karabin.

Nie dokończył jeszcze tego ruchu, kiedy nieznajomy warknął cicho, lecz groźnie:

— Stój, szeryfie! Nie ruszaj karabinu!

Jego dłoń tkwiła teraz pod koszulą i Chance dostrzegł pod materiałem zarys rewolweru. Również ten, który rzekomo spadł z konia, trzymał rękę pod koszulą. Trzeci nie wyciągał dłoni z kieszeni kurtki.

— Zostawiliśmy na parkanie za miastem nasze pasy — wyjaśnił z uśmiechem — ale nie broń.

Chance zerknął na wylot ulicy. Dude siedział spokojnie na kamieniu.

— A tamten — dodał pierwszy — to nie pański pomocnik.

Chance poczuł nagle w środku jakiś ucisk i falę zimna, która ogarnęła wszystko: nerwy, mięśnie, żołądek.

Colorado wracał właśnie z zapalnikami. Razem z nim szła dziewczyna. Oprócz nich w hallu nie było nikogo. Tego ranka wyglądała szczególnie ślicznie; Colorado nie mógł

oderwać od niej oczu i z zazdrością pomyślał o szeryfie. Jej widok oczarował go do tego stopnia, że dopiero w ostatniej chwili dotarła do niego świadomość tego, co działo się przed hotelem. Ujrzał Chance'a, zamarłego w pół ruchu, groźną, wyczekującą postawę trzech jeźdźców, wyczuł niezwykle napięcie wiszące w powietrzu, jak przed silną burzą. Instynktownie szarpnął dziewczynę do tyłu, zatykając jej jednocześnie usta dłonią.

— Cicho! — szepnął gorączkowo. — Cicho!

Znieruchomiała i przekręciła głowę na bok. Oczyma rozszerzonymi ze strachu wpatrywała się w niego.

Widział wszystko i słyszał. Chance mówił właśnie bezbarwnym głosem:

— Coście z nim zrobili? — na co jeden z nieznajomych odparł:

— Niech pan lepiej zatroszczy się o swoją skórę, szeryfie. Pański pomocnik czuje się na razie dosyć dobrze. Ale co stanie się w końcu z nim i z panem, zależy od tego, czy robi pan to, co każemy.

Dziewczyna zaczęła się wyrywać, chcąc wybiec na



ulicę. Colorado powstrzymywał ją z trudem.

— Do diabła — szeptał gniewnie — niechże się pani uspokoi. Czy chce pani, żeby dostał kulkę w głowę?

Z zewnątrz dobiegł ich głos:

— A teraz pójdziemy razem, szeryfie.

Chance zszedł z trotuaru, a tamci wzięli go między siebie. Wszystko odbywało się dotąd tak naturalnie i spokojnie, że nikt z przechodniów nie zwrócił na to uwagi. Wyglądało na to, że szeryf uciał sobie pogawędkę z trzema nieuzbrojonymi mężczyznami, nic poza tym.

Dziewczyna dyszała ciężko. Colorado pomyślał, że nie może przez niego oddychać, i zabrał dłoń z jej ust.

— Ma pan zamiar tak stać i się przyglądać? — wyszeptała gorączkowo.

Milczał. Nie wiedział, co robić.

Przywódca tamtych trzech powiedział coś do Chance'a. Colorado wyteżył słuch.

— ...do więzienia. Tam otworzy pan celę, a Joe Burdette pójdzie z nami. W przeciwnym razie dla pana i pańskiego pomocnika będzie to koniec.

Chance odparł ochryplym głosem:

— Natan wykombinował to wszystko całkiem nieźle, muszę przyznać.

— Natan? — powtórzył tamten ze zdumieniem. — Z Natanem nie mamy nic wspólnego. Jesteśmy przyjaciółmi Joe'ego. A pan ma go tylko wypuścić, nic więcej.

Colorado podjął decyzję; decyzję, która uragała wszelkiemu rozsądkowi, gdyż ten zatarg był sprawą szeryfa, nie jego. Nawet później nie potrafił wytłumaczyć, dlaczego zdecydował się na taki krok: czy sprawiła to pamięć o Pacie Wheelerze, o tym, jak leżał nieruchomo na ulicy, czy też myśl o deguello rozbrzmiewającym z salonu Burdette'a. A może też przyczynił się do tego widok Chance'a, który stał teraz przed hotelem, samotny, otoczony przez trzech zbirów, lub gniew dziewczyny, która zapytała go otwarcie, co z niego za mężczyzna. Wskazał ręką na doniczkę z kaktusem, a potem na duże okno z prawej strony drzwi.

— Jeśli chce mi pani pomóc — powiedział — proszę poczekać, aż stanę przed drzwiami. Potem

wyrzuci pani doniczkę przez okno. Czy to jasne? A kiedy już pani rzuci tą doniczką, proszę natychmiast paść na podłogę.

Kiwnęła głową. Jej oczy były jakby zamglone, ale sprawiała wrażenie, że wie, o co chodzi. Jakby nigdy nic Colorado wolnym, leniwym krokiem wyszedł na schody; młodzieniec jakich wiele, o niewinnej twarzy, nie troszczący się o nic.

Na jego twarzy odmalowało się bezgraniczne zdumienie, kiedy jeden z nieznajomych powiedział:

— Hej, podejdź no tu, chłopcze!

Obrócili ku niemu głowy.

— Kto, ja? — zapytał zaskoczony.

— Tak, ty!

Colorado postąpił z wahaniem do przodu.

Przez okno wyleciała doniczka. Trzask i brzęk tłuczonego szkła uczyniły taki hałas, że przestraszył się nawet Colorado. Tamci trzej drgnęli i odwrócili się w siodłach, usiłując instynktownie ustalić przyczynę huk. Wtedy zareagował błyskawicznie. Prawą ręką porwał za karabin Chance'a i rzucił go szeryfowi. Lewą ręką dobył kolta i wystrzelił, zanim jeszcze szeryf chwycił

swą broń. Nie bacząc na spłoszone konie, Chance poderwał lufę karabinu do góry i oddał strzał na tak krótką odległość. Odgłos wystrzału odbił się echem niczym przeciągły grzmot. Teraz Colorado strzelił z obu koltów. Raptem nastąpiła ponownie cisza.

Ulica była jak wymarła, tylko trzy konie bez jeźdźców, z wlokącymi się po ulicy cugłami, przemknęły obok saloonu. Potem i one się zatrzymały i nic już nie ruszało się w zasięgu wzroku.

Colorado, nie wierząc jeszcze w to, co się wydarzyło, wpatrywał się w postaci trzech mężczyzn, którzy nie zdołali nawet oddać jednego strzału.

Mężczyzna przebrany za Dude'a nie siedział już na kamieniu przed starą stajnią.

Chance przesunął rękawem po twarzy i wybiegł na środek ulicy. Tamten pojawił się znowu w polu widzenia. Dosiadał teraz konia Waltona i, zmuszając go do galopu, wypadł z podwórza na drogę, tam zatoczył nim ostro i skierował na skraj miasta.

Chance przyłożył karabin do ramienia i wystrzelił.

Jeździec podrzucił ręce do góry, zachwiał się w siodle, po czym runął w pył drogi i znieruchomiał.

Między innymi również dlatego wolę karabin — powiedział Chance. Podbiegł do konia, dosiadł go prędko i pomknął w stronę starej stajni. W progu hotelu stanęła Felicity, drżąc na całym ciele.

— Dokąd on pojechał? — krzyknęła histerycznym tonem.

— Zobaczyć, co się stało z jego pomocnikiem — odparł Colorado. Wsunął rewolwery do kabur. Jego dłonie były mokre od potu. Ludzie, którzy na pierwszy odgłos strzelaniny pochowali się w domach, wyłonili się znowu na ulicę. Ich spojrzenia kierowały się to na niego, to na zwłoki trzech mężczyzn, on zaś myślał: Dziś po raz pierwszy w życiu zabiłem człowieka!

Wzrok mieszkańców Rio Bravo sprawiał mu ból.

— Chodźmy — powiedział do dziewczyny. — Wejdźmy do środka. Nie wygląda pani zbyt dobrze. Myślę, że przydałby się pani łyk alkoholu.

Ujął ją pod ramię i pchnął lekko przed siebie. Jego twarz była równie blada jak jej.

## XIX

Dude miał związane ręce i nogi, usta zakneblowane chustą. Chance wyciągnął ją ostrożnie, gdyż zdążyła już nasiąknąć krwią.

— Coś ci dolega? — zapytał zatroskany.

— Słyszałem strzały — mruknął Dude. — Co to było?

Sprawiał jeszcze wrażenie zamroczonego i Chance nie odpowiedział na pytanie. Dude, mokry aż do pasa, leżał w samej bieliźnie na brudnej podłodze stodoły. Jego ciało było pokiereszowane, okryte piachem, sieczką i słomą, opuchniętą twarz oblepiała warstwa brudu i krwi. Usiłował się podnieść, ale od razu opadł z powrotem z jękiem.

— Tylko powoli — powiedział Chance. Wyciągnął nóż i zaczął przecinać więzy.

— Zaskoczyli mnie — wyjaśnił. — Chcieli, żebym otworzył drzwi do więzienia.

Prawdopodobnie myśleli, że Stumpy nie zastrzelił Joe'ego przez wzgląd na mnie, bo byłem w ich rękach.

Może to by się im nawet udało, gdybym poszedł z nimi.

— I co się stało?

— Nie musiałem myśleć nad tym długo. Colorado mi pomógł.

— Colorado — mruknął Dude. Obliznął sobie zakrwawione wargi i splunął z rozmachem. — Colorado.

Był teraz wolny, udało mu się unieść na kolana. Oddychał ciężko, rżęząc, Chance chciał wziąć go pod pachy, ale Dude odepchnął mu rękę.

— Jeszcze potrafię sam wstać.

Druga próba udała się. Stał na szeroko rozstawionych nogach i zataczał się jak pijany. Chance nie oferował mu już pomocy, znalazł jednak koszulę i spodnie napastnika, który przebrał się w rzeczy Waltona, i rzucił mu je.

— Dałem z siebie zrobić durnia — wybełkotał Dude. — Podeszli od tyłu i wepchnęli mi głowę do koryta. — Narzucił na siebie koszulę, ale nie zadał sobie trudu, aby ją zapiąć.

— Teraz widać, jak jestem dobry — mruknął. — Cholernie dobry. — Przeczesał dłonią włosy. —

Właściwie powinienem być wiedzieć o tym dużo wcześniej. Ludzie powinni mieć rozum na tyle bystry, by wiedzieć, kiedy przestają być cokolwiek warci.

Zatoczył się w stronę bramy. Chance złapał go za rękę.

— Dokąd idziesz?

— John, puść mnie!

— Zadałem ci pytanie. Dokąd idziesz? — powtórzył szorstko szeryf.

Dude opuścił wzrok. Kiedy odpowiedział, w jego głosie nie było już goryczy ani gniewu, tylko wielka pustka.

— Mężczyzna, na którym nie możesz już polegać, nie jest ci teraz potrzebny. — Czekał cierpliwie, aż Chance go puścił. — Próbowałem — dodał. — Myślałem, że dam radę. Ale to na nic. — Wyciągnął przed siebie obie ręce. Dygotały silnie, jak u starego człowieka.

— Co można zdziałać z takimi rękami? — Opuścił je z powrotem, zrezygnowany. — Jestem skończony, John. I daję za wygraną.

— W porządku — odparł ostro Chance. — Nie



będę cię trzymał siłą. Idź, skoro chcesz. Wejdź do najbliższej knajpy i uchłaj się. Powiem ci tylko jedno. — Nie mówił głośno, ale każde jego słowo było jak smagnięcie biczem. — Tylko jedno, borrachin: jeśli ktoś znowu wrzuci dolara do spluwaczki, nie myśl, że ruszę dla ciebie choćby palcem. Po prostu klęknieš wtedy i wyłowisz go sobie.

Nieoczekiwanie Dude uderzył go.

Zacietrzewiony stał tak przez dłuższą chwilę, patrząc jak z wargi Chance'a spływa na podbródek cienka strużka krwi, jak tamten ociera sobie usta wierzchem dłoni. Potem ramiona opadły mu, zwiesił głowę i odwrócił się w drugą stronę.

Chance przemówił teraz wolno i dobitnie.

— Kiedy po raz ostatni uderzyłeś mnie, udało ci się powalić mnie na ziemię. Tracisz formę. Może to, co powiedziałeš, jest prawdą. Może rzeczywiście nie jesteš już wiele wart. — Podniósł kapelusz pozostawiony przez napastnika. — Chodź ze mną do biura, wypłacę ci to, co zarobiłeś do tej pory. — Wepchnął mu kapelusz pod pachę. — Weź go, może będzie na ciebie dobry.

— A co z moim? — zapytał Dude.

— Człowiek, który go założył, ma przestrzeloną głowę.

Wyszli razem na zewnątrz.

Koń Dude'a wrócił na podwórze i stał teraz obok drugiego przy korycie. Dosiedli wierzchowców i wjechali do miasta. Żaden z nich nie odezwał się, dopóki nie zatrzymali się przed więzieniem. Dopiero wtedy Chance polecił sucho:

— Wejdz tam i poczekaj na mnie. Niech Stumpy da ci kielicha.

Dudę ociężale zsunął się na ziemię i wszedł do więzienia, Chance natomiast ruszył dalej do hotelu.

Przed wejściem stała grupka ludzi. Zjawił się nawet Raton. Również przedsiębiorca pogrzebowy był już na miejscu. Klęczał teraz przy zabitych. Na widok Chance'a wstał i wyciągnął do niego otwartą dłoń, na której widniały złote, błyszczące monety.

— Popatrz, Chance, co u nich znalazłem — powiedział. — Złota studolarówka, każdy z nich miał taką samą.

— Cena wzrosła — mruknął Chance.

— Co takiego?

— Nic. U wylotu ulicy znajdziesz jeszcze jedno zwłoki.

— To miło z ich strony, że mieli przy sobie pieniądze na własny pogrzeb — zauważył Pegram. — W ten sposób kasa miejska zaoszczędzi pewną sumkę. Myślę, że pięćdziesiąt wystarczy na wszystkich czterech.

— Chwileczkę, Bert — przerwał mu Chance. — Nie bądźmy tacy skąpi, ci faceci mogą sobie naprawdę pozwolić na pierwszorzędny pogrzeb. Chodź, powiem ci, o co mi chodzi. Odciągnął go na bok, tak aby inni nie wiedzieli, o czym rozmawiają. Bert nadstawił ucha i nie wyglądał na zachwyconego, jednak z każdą chwilą słowa szeryfa przekonywały go coraz bardziej.

— Nigdy tu czegoś takiego nie było — powiedział wreszcie — ale można i tak... Hej, Juanito! — skinął na bosonogiego wyrostka.

Chance przecisnął się przez tłum. Wśród gapiów było też kilku ludzi Burdette'a i szeryf obdarzył ich zimnym uśmiechem. Unikali jego wzroku. Chance wszedł na schody i do hallu. Przy barze stali Colorado i

Carlos. Colorado podsunął mu butelkę tequili i Chance napełnił sobie kieliszek do połowy, po czym odsunął butelkę, podniósł kieliszek i spojrzał na Colorado.

— Dzięki.

Musiał się teraz napić i ucieszył go fakt, że potrzebował tego również Ryan, jeszcze teraz blady. Gdyby okazało się, że młodzieniec potrafi zabijać bez mrugnięcia powieką, Chance uznałby, że nie jest to właściwy typ. Ci, którzy w tak młodym wieku byli do tego zdolni, byli urodzonymi zabójcami, a takich nie chciał mieć u swego boku.

— Nie wiem, czemu to zrobiłeś.— powiedział — ale diabelnie mnie to cieszy, żeś tak postąpił.

Colorado uśmiechnął się.

— Byłem wściekły. Może to dlatego. Czy pan spełniłby ich żądania?

Chance wzruszył ramionami i opróżnił kieliszek.

— Nie wiem. Właśnie zastanawiałem się, co zrobić, kiedy tyś wkroczył.

— Ale ja wiem — wtrącił się Carlos. — Po prostu stałbyś przed więzieniem, uparty jak muł, i w końcu tamci by cię zastrzelili.

— Nie jestem tego pewien — mruknął Chance.

Colorado odchrząknął.

— Consuela odprowadziła tę damę do jej pokoju.

Nie czuła się najlepiej.

Chance spojrział na niego zdziwiony.

— Jaką damę?

— Pannę Slater. To ona wyrzuciła przez okno doniczkę. Gdyby nie ona...

— Ona to zrobiła?

— Tak. Najpierw chciała wybiec na ulicę. Udało mi się ją powstrzymać w ostatniej chwili.

— Mój Boże — Chance kręcił z niedowierzaniem głową. — To mogło kosztować ją życie. — Zwrócił na Ryana badawcze spojrzenie. — I co teraz?

Colorado zaczerwienił się.

— Chce mi pan zaoferować u siebie posadę, szeryfie?

— Burdette wyda na ciebie i tak wyrok śmierci, chłopcze. A tak będziesz przynajmniej dostawał ode mnie pieniądze.

Colorado zastanawiał się przez chwilę, wreszcie skinął głową.

— To prawda, ma pan rację.

— W porządku. Chodź, odbiorę od ciebie przysięgę.

Podeszli do drzwi.

— Widziałem, jak wracał pan z Dude'em — zaczął znowu Colorado. — Cieszę się, że nic mu się takiego nie stało. Nasza trójka pokaże jeszcze wszystkim, co potrafi.

Chance zacisnęła mocno wargi. Oczy zapłonęły zimnym blaskiem.

— Dude zrezygnował. Nie będzie z nami.

— Och... — Colorado nie pytał o nic więcej.

Wyszli na zewnątrz. Życie na ulicy toczyło się znowu swoim zwykłym trybem. Bert Pegram i jego pomocnicy usuwali właśnie z drogi ciało ostatniego z nieznajomych.

— Czy któryś z nich zdążył coś jeszcze powiedzieć, zanim umarł? — zapytał Chance.

— Nie. Byli już martwi, zanim Pegram zajął się nimi.

— Zbyt celnie tu się strzela — odparł markotnie szeryf. — Chciałbym mieć chociaż jednego, który by

coś zeznał.

Ruszyli w stronę więzienia i chociaż Colorado był trochę zamroczony tequilą, nie potrafił pozbyć się uczucia niepokoju. Z trudem hamował się, by nie kręcić głową na wszystkie strony. Widział mężczyznę stojącego przed wejściem do saloonu Rio Bravo, jeźdźców na skałach, podejrzanych włóczęgów, leniuchujących przed portalem kościoła.. Po raz pierwszy w życiu uświadomił sobie, jak czuje się człowiek, służący innym za cel.

Dude siedział na krześle, wpatrując się tępo w swoje dłonie. Nie przestawały dygotać, mimo iż zmobilizował całą siłę woli, aby się opanować. Na biurku obok stała butelka; Stumpy wyciągnął ją z jakiegoś schowka. Ale Dude nie dotykał jej. Siedział tylko i z jakąś niezrozumiałą fascynacją spoglądał na brudne, zakrwawione dłonie, trzęsące się bezustannie i ignorujące polecenia mózgu.

Stumpy nie mógł sobie znaleźć miejsca. Podniecony, kuśtykał po biurze tam i z powrotem, uderzał lufą dubeltówki o podłogę i sypał przekleństwami.

— Dlaczego nie chciał ich tu dopuścić? — dopytywał się uparcie. — Dlaczego, do diabła? Co on sobie myślał? Czy nie wiedział, jakbym się zachował, gdyby zjawił się tu nagle z trzema nieznanymi facetami i powiedział, żebym wypuścił Joe na wolność? Ale ty chyba wiesz, co bym zrobił. Dude, słuchasz mnie? — Uderzył dłonią o biurko. — Posłuchaj! Czy



wiesz, co bym zrobił? Podziurawiłbym ich na sito! —  
Znowu zaklął. — Sukinsyn!

— Kto? Jaki sukinsyn? — Dude jakby się ocknął.

— Chance — zawołał Stumpy. — A któżby inny?

Musiał zabić ich wszystkich sam!

— Colorado mu pomógł.

— A więc obaj to sukinsyny... — urwał. — Hej,  
co to za kapelusz masz na głowie? To przecież nie  
twój...

— Dostałem go do Chance'a. Na pamiątkę.

— Nie, tego już za wiele! — zawołał Stumpy i  
zaklął.

— Nikt mi nigdy nic nie mówi. Gdyby dach tego  
więzienia stanął w płomieniach, dowiedziałbym się o  
tym, chyba na szarym końcu! Siedź na swoim miejscu  
za kratą, siedź

tam za kratą, tylko to słyszę bez przerwy. Co się  
właściwie stało na ulicy? Dlaczego jesteś taki  
pokrwawiony i pobity? Czemu jesteś cały mokry,  
skoro od kwietnia nie mieliśmy tu deszczu? Co się z  
tobą działo? Wpadłeś do koryta czy co?

Dude zamknął oczy.

— Na miłość boską, zamknij wreszcie swoją przeklętą gębę!

Z ulicy dobiegł ich głos Chance'a i Stumpy wpuścił do środka jego i Colorado. Szeryf dopilnował, aby młodzieniec zaryglował drzwi, miał nadzieję, że dzięki temu będzie o tym pamiętał w przyszłości. Dude otworzył oczy, nie odezwał się jednak i nie ruszył z miejsca. W milczeniu wpatrywał się w kąt izby, podczas gdy Chance przeszukał biurko, znalazł metalową gwiazdę, zaprzysiągł Colorado i przypiął mu odznakę do piersi.

Stumpy pokręcił głową i westchnął.

— A więc znalazłeś jeszcze jednego durnia, który nie wie, jak dobrze mu było do tej pory?

Colorado nie zwracał na niego uwagi. Z dumą spoglądał na gwiazdę i przecierał ją rękawem koszuli.

— I co teraz, szeryfie?

— Będiesz wykonywał moje rozkazy — odparł Chance.

— Okay, szeryfie. Niech pan mi da jakiś rozkaz.

— Weź swoje rzeczy z hotelu i przynieś je tu.

— Zrobi się. Już idę.

Kiedy wyszedł na ulicę, Chance oparł lufę karabinu o gzyms i wyglądał przez okno, dopóki Colorado nie dotarł do hotelu.

— Świetnie — odezwał się Stumpy. — Widać przynajmniej, że chłopak ma do tego serce. Znowu zapadło milczenie. Stumpy otwierał usta jeszcze kilkakrotnie, ale rezygnował za każdym razem. Chance nie odchodził od okna, czekając na Colorado.

— Czy naprawdę jest dobry? — zapytał nagle Dude.

— Można tak powiedzieć — odparł Chance.

— Tak dobry, jak to mówił Wheeler?

— Tak.

Umilkli ponownie.

Wreszcie Dude wstał.

— W takim razie zrobiłeś dobry interes, zamieniając mnie na niego. — Odpiął gwiazdę i rzucił ją na biurko.

Stumpy otworzył szeroko usta.

— O czym wy mówicie? Co masz na myśli z tą zamianą? — Zwrócił się do Chance'a. — O czym on gada, John? Nikt mi nie chce nic powiedzieć!

— Słyszałeś przecież — mruknął Chance. — Dude odchodzi.

Stumpy gapił się na Dude'a przez dłuższą chwilę.

— Co cię napadło? — Zwariowałeś?

— Spójrz na mnie! — krzyknął Dude. Wyciągnął przed siebie ręce. — No, popatrz! Czy to nie wspaniały widok? Czy nie pięknie się trzęsą? Co można zrobić, jeśli ma się takie ręce? No, powiedz sam, co mogę nimi zrobić? — Wepchnął ręce do kieszeni. — Pytałeś mnie, czy wpadłem do koryta. Zapytaj Chance'a! On może ci wszystko powiedzieć.

Chance nie odrywał wzroku od okna. Milczał. Stumpy wpatrywał się przez chwilę w jego plecy, potem przeniósł spojrzenie na Dude'a.

— Zrób coś dla mnie: wypij kielicha — powiedział. — Powiedziałeś, że Chance pozwolił na to. To prawda, Chance?

— Jeśli chce, może nawet wziąć całą tę cholerną butelkę — warknął szeryf.

Dude stał, spoglądając na alkohol jak człowiek, który stoi nad przepaścią i nie wie, czy skoczyć.

— Ech, do diabła! — krzyknął Stumpy. — Niech

ktoś wreszcie coś zrobi! Nie wytrzymam tego dłużej.

Dude chwycił butelkę, odkorkował i nalał sobie pełen kubek. Szkło brzęczało, uderzając o krawędź kubka, trochę whisky pociekło na blat stołu. Twarz Dude'a przecięły głębokie zmarszczki. Odstawił butelkę i ujął kubek w dłoń.

Pianino w saloonie Rio Bravo, które zamilkło z chwilą rozpoczęcia strzelaniny, odezwało się raptem na nowo. Dźwięki deguello rozbrzmiewały twardo i groźnie.

Stumpy podszedł do okna. aby je zamknąć, ale Dude zaprotestował gwałtownie:

— Nie zamykaj!

Stary przystanął. A Dude, tak jakby zapomniał o wszystkim, co działo się dokoła, wsłuchiwał się w melodię zapowiadającą zemstę i śmierć. Stał tak przez dłuższy czas. Chance i Stumpy obrócili się ku niemu, ale on ich nie widział: jego twarz przybrała skryty, nieobecny wyraz, oczy, niemal zamknięte, skierowane były jakby do wewnątrz. Potem przeszedł go dreszcz, wziął butelkę i wlał do niej z powrotem whisky z kubka. Był przy tym tak skoncentrowany, jakby była to

najważniejsza czynność w jego życiu. Nie uрониł ani jednej kropli. Następnie postawił na stole butelkę i kubek i, nie patrząc na nikogo, powiedział cichym, zakłopotanym głosem:

— Dziwne. Nigdy nie cenilem zbyttno muzyki. — Wyciągnął przed siebie obie ręce. Nie drżały. — Myślę, że będę znowu w formie, o ile nie przestaną grać tej melodii — mówił dalej. — To mi przypomina.. a zresztą nieważne. Przypomina mi wiele rzeczy. — Odwrócił się i po raz pierwszy od dłuższego czasu spojrzął Chance'owi prosto w oczy. — Jeśli nie masz nic przeciwko temu, niech Stumpy zabierze stąd tę butelkę.

Chance skinął nieznacznie głową.

— Weź ją, Stumpy.

Dude uśmiechnął się. Podeszedł do biurka, wziął blaszaną gwiazdę, którą rzucił tam poprzednio, i niezdarnie umocował ją na koszuli. Stumpy zakorkował butelkę.

— Przynieś butelkę, odstaw — gderał, nie kryjąc irytacji. — A nikt nie zapyta, czy ja bym się nie napił. Z tym, że wcale nie mam zamiaru czekać, aż ktoś mnie o

to zapyta. Napiję się i tak. To wy dwaj doprowadziliście mnie do tego.

Wyciągnął z powrotem korek, odchylił głowę do tyłu i wypił spory łyk wprost z butelki.

— Jeśli nie masz dla mnie innej roboty — odezwał się Dude — pójdę postać na warcie.

— Wspaniale — odparł Chance. — Ale przedtem mógłbyś się trochę umyć.

— Właśnie — poparł go Stumpy. — Wolę nie mówić, jak wyglądasz.

— Może wyglądam nieszczególnie, ale czuję się już nieźle — w głosie Dude'a zabrzmiała jakaś niespotykana dotąd u niego nuta pokory. — Jeśli tak bardzo chcecie, umyję się jeszcze dziś wieczorem. — Pójdę już — mruknął. Podeszedł do drzwi. — Nawiasem mówiąc, moglibyście podesłać mi coś do jedzenia, tak koło południa. Myślę, że chętnie coś wtedy przegryzę.

Patrzyli za nim, jak z trudem dosiada konia i odjeżdża.

— Trzeba przyznać, że ma sporo ikry — zauważył stary i sięgnął znowu po butelkę.

— Dziwne, jak drobne sprawy wpływają nieraz na podjęcie decyzji. Na przykład ta przekłeta melodia. To ona postawiła Dude'a z powrotem na nogi. A ja zacząłem zagłądać do butelki. Powinieneś przestać się troszczyć tak bardzo o niego, a zająć się raczej mną. To świństwo smakuje mi całkiem, całkiem.

Chance odryglował drzwi.

— Dokąd się wybierasz? — zapytał Stumpy.

— Każę przesłać Dude'owi coś do jedzenia. A ty...

— Wiem, wiem — burknął Stumpy. — Mam zamknąć się znowu w swojej dziupli. — Jednym uderzeniem dłoni zakorkował butelkę.

— Nie, masz tylko być ostrożny, kiedy wróci Colorado. Zapomniałem mu powiedzieć, że lubisz strzelać do każdego, kto wydaje ci się obcy.

Wyszedł na ulicę uśmiechnięty. Czuł się teraz szczęśliwy i zadowolony. Po raz pierwszy, sam nie wiedział dlaczego, przestał się martwić o Dude'a.

\* \* \*



Tymczasem Dude dotarł do starej stajni. Uwiązał konia w cieniu i przeszukał dokładnie szopę, zabudowania stajenne i stodołę. Dopiero potem przysiadł jak dawniej na przydrożnym kamieniu. Czuł zmęczenie i ból w całym ciele po ciągach, jakie otrzymał, ale mimo to rozkoszował się dziwnym spokojem, który go ogarnął. Kiedy chwycił przedtem 'w biurze tę filizankę whisky, zdawał sobie sprawę, że wypicie jej oznacza jego koniec. Kiedy zaś Raton zaczął grać znowu deguello, bez żalu wlał trunek z powrotem do butelki. Dźwięki deguello stanowiły dla niego osobistą obelgę, były niczym wzgardliwe uderzenie w twarz, spotęgowały ból, jaki odczuwał, i przypomniały mu, że oprócz niego istnieją jeszcze inni ludzie i inne sprawy, o których należy myśleć.

Jego cień wskazywał już kierunek na wschód, kiedy na drodze zjawili się Matt Harris i jeszcze dwaj jeźdźcy. Zachowywali się uprzejmie i posłusznie powiesili broń na parkanie, nie kryli jednak zaskoczenia, kiedy Dude uparł się, że przeszuka ich dokładnie, jednego po drugim. Harris spoglądał na niego z zaciekawieniem.

— Wyglądasz, jakbyś miał jakiś wypadek — powiedział wreszcie.

Dude z całą powagą kiwnął głową.

— Spadłem z łóżka.

— Powinieneś być bardziej ostrożny — poradził Harris.

— Po tej stronie piekła nie ma człowieka ostrożniejszego ode mnie — odparł z uśmiechem Dude. — A jak dalece ty jesteś ostrożny?

— Tak jak to wynika z kwoty, którą dostaję — mruknął Harris i ruszył dalej.

Chance ujrzał go już z daleka. Harris dał mu ostentacyjnie do zrozumienia, że sprowadziły go tu interesy jak najbardziej legalne. Wstąpił do kilku sklepów, kupując to i owo, podczas gdy dwaj pozostali udali się do salonu Rio Bravo. Pół godziny później przyłączył się do nich Harris.

Na pewno słyszeli już o tej strzelaninie — pomyślał Chance. Po chwili i on wszedł do saloonu. Raton rzucił mu krótkie, spłoszone spojrzenie i skulił się na, swoim taborecie tak, jak to tylko możliwe, nie przerwał jednak gry. Oprócz Harrisa i jego dwóch kompanów nie było

tu nikogo; monotonna, nie kończąca się melodia deguello nie przyciągała najwidoczniej klienteli.

Chance stanął przy barze, tuż obok Harrisa. Ten obrócił się natychmiast ku niemu.

— Dobry wieczór, szeryfie.

— Dobry wieczór, Matt. Słyszałeś już zapewne, że dziś rano przejeżdżało tędy paru przyjaciół Joe'ego.

Harris skinął głową.

— Joe ma wielu przyjaciół.

— Taak? — zapytał przeciągle Chance. — A ja myślałem, że tyłu, ilu kupi Natan po sto dolarów na głowę.

Harris zmarszczył brwi.

— Szeryfie, przyszedłem tu, żeby się napić. Czy prawo przewiduje, że muszę przy tym wysłuchać steku bzdur?

— Nie — odparł Chance uprzejmym tonem. — Oczywiście, że nie. Zresztą to pieniądze Natana, nie moje. — Spojrzał na zegar. — Zostań tu jeszcze kilka minut. Natan powinien się dowiedzieć, że przynajmniej część tych dolarów ulokował właściwie.

Podszedł do drzwi i wyjrzał na zewnątrz. Matt

Harris dopił kieliszek i nalał sobie drugi, tak jakby i bez zachęty szeryfa zamierzał zostać tu dłużej.

Raton bezustannie walił w klawisze.

Nie minęło jeszcze pięć minut, kiedy z ulicy napłynęły dźwięki innego deguello, mieszając się z brzmieniem pianina.

Ta melodia była znacznie donośniejsza i bardziej dynamiczna. Bęben wybijał rytm, a dziką, ekscytującą melodię wygrywały trąbki i nisko nastrojone pużony. Muzyka zbliżała się nieubłaganie, odbijając się echem od ściany domostw. Raton przerwał grę i spojrzał zatroskany na Harrisa, który odszedł od kontuaru.

Chance, stojący w progu, kiwnął na nich ręką.

— Podejdźcie tu, zaraz zobaczycie coś ciekawego.

Ulica po obu stronach wypełniła się już gapiami. A potem w polu widzenia zjawił się Juanito. Chłopiec dźwigał przed sobą olbrzymi bęben, w który walił pięścią, za nim kroczyli muzykanci, sześciu lub siedmiu Meksykanów. Ich instrumenty miały owo jedwabiste, a zarazem chropowate brzmienie meksykańskiej muzyki dętej. Dźwięki deguello rozlegały się po całym mieście. Za orkiestrą podążały cztery na czarno udrapowane

powozy; do każdego z nich zaprzężone były dwa konie. Każdy z powozów transportował jedną trumnę.

— Mógłbyś zdjąć kapelusz — zwrócił się Chance do Matta.

Harris zachował zimną krew. Powiedział tylko:

— Idź do diabła! — przeszedł obok niego i dosiadł konia. Następnie wyprzedził procesję i ostrym kłusem wyjechał z miasta. Odprowadzały go posępne, złowieszcze dźwięki deguello.

Dude leżał w kącie biura, przykryty kocem. Spał głęboko i spokojnie.

— Mam go obudzić? — zapytał Stumpy.

Chance machnął ręką.

— Tylko, jeśli coś usłyszysz. Zaraz wracamy. Rozejrzę się trochę.

Stumpy odsłonił w uśmiechu luki między zębami i czułym gestem pogłaskał dubeltówkę.

— Uważaj na siebie — powiedział. — Ten pogrzeb na pewno nie przypadł Natanowi do gustu. — Uniósł broń i wycelował w drzwi.

— To ty uważaj z tą cholerną pukawką — odparował Chance. — Jesteś gotów, Colorado?

Chłopiec skinął głową. Na ulicy nie widać było nic podejrzanego. Z okien niewielkich cantinas dobiegało mdłe światło, na aksamitnym niebie migotały gwiazdy, po uliczkach hulał wiatr. Przed saloonem Rio Bravo siedział ktoś, paląc papierosa. Chance był już przyzwyczajony do tego widoku. Kiwnął na Colorado i

przeszedł przez ulicę. Starając się trzymać jej boków, rozpoczęli obchód.

Mężczyzna siedzący przed saloonem poczekał, aż obaj oddalą się o jakieś sto metrów, następnie wyjął z kieszeni zapalki, aby jeszcze raz zapalić skręta. Zużył na to aż trzy zapalki; prawdopodobnie z powodu silnego wiatru.

Chance szedł powoli, dopasowując się do tempa i kroków Colorado idącego po drugiej stronie ulicy. Jego wzrok nie omijał żadnego zakątka. Był niespokojny i zdenerwowany. Wydawało mu się, że wiatr ma jakiś inny zapach, że gwiazdy to miliony zimnych, obserwujących go bezustannie oczu. Właśnie spokój i zwykła o tej porze senna atmosfera miasta miały w sobie coś groźnego.

Nadal jednak nie widział nic podejrzanego. Tylko raz wydało mu się, że usłyszał tupot nóg, rzucił się więc w bok, w ciemną uliczkę, ale odgłos ucichł natychmiast i Chance doszedł do przekonania, że to musiał być wiatr. Postanowił rozciągnąć teren obchodu na całe miasto, nic więcej nie mógł zrobić. Nie było możliwości pilnowania w nocy całego Rio Bravo. Pod osłoną

ciemności ludzie mogli dostawać się tu z wszystkich stron.

Rio Bravo było starą meksykańską osadą o ciasnym, chaotycznie rozbudowywanym centrum. Nowsza część miasta miała luźniejszą, lepiej przemyślaną zabudowę. Większość mieszkańców stawiała swoje domy tam, gdzie im się podobało. Tu, na peryferiach, wiele ulic i ścieżek przecinało winnice i ogrody warzywne, łącząc niewielkie skupiska czterech czy pięciu domów z resztą miasta i okolicznymi polami. Taka właśnie grupa domostw widniała o dwieście metrów od głównej ulicy, połączona z nią wąską dróżką.

Chance przystanął na rogu, starając się dojrzeć coś na tej drodze, zdołał jednak zobaczyć tylko ciemne, ciasno skupione domy, jeden przy drugim. Przeszedł dalej, kiedy rozległ się nagle huk. Chance odskoczył do tyłu i skrył się za rogiem.

Colorado podbiegł do niego. Usłyszeli odgłos kolejnego wystrzału, potem trzeciego. Strzały dochodziły gdzieś z domów u wylotu bocznej drogi.

— To zasadzka, tak jak wtedy z Wheelerem —



dyszał Colorado.

— Ominiesz ich i zajdziesz od tyłu — poleciał Chance. — Ale nie śpiesz się z atakiem, poczekaj na mój sygnał.

— Zrobi się — odparł Colorado i ruszył biegiem.

Chance przesuwiał się ostrożnie wzdłuż domów, dziesięć metrów dalej natknął się na niski murek, przeszedł na drugą stronę i zaczął iść równoległe do dróżki. Kolejne strzały padały w nierównych odstępach czasu. Chance wiedział już, skąd dochodzi odgłos: dwa spośród pięciu czy sześciu domów były niezamieszkałe i właśnie z jednego z nich pochodził ogień. Mieszkańcy innych domów siedzieli cicho, najwidoczniej ze strachu. Chance spojrzął na zegarek. Colorado był już z pewnością na miejscu; układ domów ułatwiał zadanie.

Rozejrzał się na wszystkie strony, po czym wypadł z ukrycia. Skulony przebiegł obok obu pierwszych budynków, okiennice i drzwi były pozamykane.

Z wnętrza mniejszego domu dobiegł go odgłos dalszych wystrzałów. Brzmiało to jak seria wybuchów albo jak kanonada z co najmniej pięciu karabinów. Chance przywarł płasko do ściany, jego twarz

przybrała wyraz zdziwienia.

Gdzieś z prawej strony, zza skupiska domów, doszedł go tętent galopujących koni.

Wyprostował się i tak głośno, jak tylko mógł, krzyknął coś do Colorado, aby go ostrzec.

Jeźdźcy zbliżali się co koń wyskoczy, on zaś wiedział, że na tyłach tych domów Ryan znajdzie się jak w pułapce, bez osłony i bez możliwości ucieczki.

Z wnętrza domu nadal dobiegały wybuchy, ale Chance nie zwlekał dłużej. W dwóch, trzech susach znalazł się przy drzwiach, wyważył je kopniakiem i przez dwa małe pomieszczenia przeleciał na tył. Usłyszał serię wystrzałów i zorientował się, że zjawił się już za późno.

Tylnie wyjście było zaryglowane. Poderwał sztabę do góry i pchnął drzwi. Wprost na niego pędziły ciemne sylwetki jeźdźców, ujrzał też, jak Jim Colorado rzuca się na ziemię pod kopyta koni. Przyłożył karabin do ramienia. Napastnicy zaczęli strzelać do Ryana, ale konie płoszyły się przed przeszkodą. Chance strzelił dwukrotnie, wkoło panowała jednak taka ciemność, że chybił. Tamci przemknęli już obok Colorado i oddalili

się galopem w stronę głównej ulicy. Jim zerwał się na równe nogi i strzelał za nimi do ostatniego naboju. Jeden z jeźdźców zsunął się z siodła, ale noga utkwiała mu w strzemieniu i koń pociągnął go za sobą.

W następnej chwili zniknęli w oddali, tętent przebrzmiał.

Chance przebiegł znowu przez oba pomieszczenia ku drzwiom frontowym, nie troszcząc się już o Ryana. Tuż obok niego padły trzy, cztery strzały, nie zwracał jednak na to uwagi. Wypadł na zewnątrz i rzucił się pędem do głównej ulicy. Kiedy dotarł do niej, jeźdźcy znajdowali się już daleko. Strzelali do kogoś, kogo Chance nie mógł dostrzec, i ten ktoś odpowiedział chyba ogniem, gdyż jeden z napastników zdarł nagle cugle i spadł z siodła na ziemię. Ciemność i kłęby kurzu nie pozwalały zorientować się dokładnie w sytuacji.

Colorado dogonił go, dysząc w biegu.

— To chyba Dude! — zawołał.

Chance skinął głową i naładował broń na nowo.

Echo ostatnich strzałów przebrzmiało. Chance pobiegł ulicą, krzycząc:

— Dude! Hej, Dude!

Dude odkrzyknął skądś. I raptem Colorado ryknął na całe gardło:

— Uwaga! Tam, na dachu! — i jednocześnie strzelił. Strzał był za niski, ale Chance dostrzegł już, gdzie mierzył Ryan. Poderwał karabin do ramienia i trzykrotnie nacisnął spust. Pięćdziesiąt metrów dalej, tuż obok miejsca, gdzie musiał się znajdować Dude, jakiś mężczyzna runął na ziemię z płaskiego dachu domu.

Dude biegł już im na spotkanie, ale Chance skierował się na środek ulicy, gdzie leżał w bezruchu jeździec, wleczony aż tu przez konia. Chance wsunął czubek buta pod jego ciało i przewrócił je na wznak, potem mruknął coś gniewnie.

— A co z tantym z dachu? — zapytał Dude'a.

Ten potrząsnął tylko głową.

Chance zaklął.

— Do diabła! Nie miałeś nic lepszego do roboty, tylko biec na ulicę, gdzie mieli cię jak na dłoni?

— Myślałem, że potrzebujesz pomocy — tłumaczył się Dude. — Obudziłem się nagle, a tu w całym mieście huczy! Co się właściwie stało?

Colorado wyręczył szeryfa w odpowiedzi.

— Znalazłem się w samym środku tego wszystkiego, a też nie wiem. Ale, ale... co to byli za ludzie, w tamtym domu?

— Nikogo tam nie było — odparł lakonicznie Chance.

Doszli właśnie do wylotu bocznej uliczki i zajrzeli do budynku, w którym jeszcze niedawno przebywali. W pierwszym pomieszczeniu stał zardzewiały piec. Węgłe żarzyły się jeszcze. Chance wyciągnął rękę.

— Ktoś rzucił na węgiel całą garść naboju. Żar sprawił, że zaczęły wybuchać.

Domyśliłem się tego dopiero wtedy, kiedy zauważyłem, że z okien nie lecą żadne kule.

Zachowaliśmy się idiotycznie i gdyby napastnikom dopisało choć trochę szczęście, dopięliby swego. Wiedzieli, że rozdzielimy się, by zaatakować dom, domyślali się też, że ja będę od frontu. Zaczaili się gdzieś w pobliżu, a kiedy znalazłeś się za domem, uznali, że wreszcie cię dopadli. Nie spodziewali się, że przebiegnę przez cały dom, aby przyjść ci z pomocą.

— Niezła sztuczka! — mruknął Dude. — Ale po co ta szaleńcza szarża na koniach? Kilku dobrych

strzelców, rozstawionych wokół domu, osiągnęłoby więcej!

— Najważniejsze, żebyś w przyszłości uważał lepiej na to, co robisz — odparł gniewnie Chance. — Ci na koniach nie spisali się jak należy i spudłowali, ale ten facet na dachu trafiłby cię na pewno, możesz mi wierzyć.

— Ach, ten — Dude machnął lekceważąco ręką. — Właśnie chciałem go stamtąd zestrzelić, ale tyś mnie uprzedził.

— Co ty powiesz!

— To fakt — upierał się Dude. — Czyhał na mnie już wtedy, kiedy wychodziłem z więzienia. Dlatego się kryłem. Jeśli chodzi o niego, nie miałeś się czym przejmować.

— Dobra, poddaję się — powiedział zrezygowany Chance. Mimo wszystko poczuł ulgę i satysfakcję, gdyż oto miał przed sobą dawnego Dude'a, takiego jakim go znał przed laty.

— Mogę zrozumieć, że chcieli się pozbyć mnie i Dude'a, szeryfie — powiedział z namysłem Colorado — ale dlaczego nie próbowali nawet sprzątnąć pana?

— Widocznie Natan sądzi, że osiągnie więcej, kiedy zostawi mnie przy życiu. Zresztą taka sprawa zyskałaby zbyt wielki rozgłos. Zabicie szeryfa wiąże się zawsze ze specjalnym dochodzeniem, a Natan nie pali się chyba do tego.

Ruszył do przodu, a Dude i Colorado kroczyli u jego boku. Szli jak ludzie wolni, ale nie byli nimi i Chance zdawał sobie z tego sprawę aż za dobrze. Jedyne, co zyskali, to trochę czasu, tylko tyle, ile był skłonny dać im Natan Burdette.

Po ulicy krzatali się już ludzie z latarniami, oglądając zabitych. Zimny podmuch powietrza uderzył gwałtownie o okiennice, obsypując twarz Chance'a pyłem i piachem. Naciągnął mocniej kapelusz na czoło i skulił się przed zimmem.

W więzieniu było ciepło i cicho. Nawet Stumpy, jak się wydawało, stracił chęć do rozmowy. Chance siedział przy biurku, z nogami wspartymi wysoko o blat, wpatrując się w zamyśleniu gdzieś przed siebie. Jeśli ostatni incydent miał go czegoś nauczyć, to mógł wyciągnąć tylko jeden wniosek.

Zdjął nogi z biurka, wstał i zaczął przechadzać się po pokoju tam i z powrotem.

Wreszcie odchrząknął i oświadczył:

— Mamy tylko jedno wyjście. Musimy pozostać tu, w tych czterech ścianach, aż przyjedzie szeryf federalny. Nie jestem tym zachwycony, chyba tak jak i wy, ale zostały już tylko trzy, cztery dni. Jakoś to wytrzymamy.

Dude poparł go.

— W ten sposób nie damy Natanowi żadnego wyboru. Musi zaatakować więzienie, albo, gdyby się na to nie zdecydował, usiąść spokojnie i czekać biernie na przyjazd szeryfa.



— Stawiam dziesięć do jednego, że w takiej sytuacji ruszy do ataku — mruknął Chance. — Czas ucieka, a on traci nerwy z każdą chwilą. W końcu dojdzie do przekonania, że lepiej, jeśli Joe zginie od kuli niż od stryczka.

— Tu będziemy się mogli utrzymać — powiedział Dude.

Chance spojrział na Stumpy'ego.

— A jak wyglądają nasze zapasy? Wystarczy dla nas wszystkich?

— Potrzebowałbym jeszcze boczku i trochę fasoli. No i kawy.

— A woda i opał?

— Mamy aż nadto. Ale może załatwiłbyś kilka innych rzeczy... Tytoń, zapalki, koce, może też trochę piwa. Co ty na to, Dude?

— Dzięki.

Chance sprawdził zapas amunicji. Było jej pod dostatkiem, ale przyszło mu nagle do głowy, co by się stało, gdyby w najbardziej krytycznym momencie zabrakło im naboji.

— W pokoju mam jeszcze kilka pudełek z

nabojami — powiedział. — Pójdę po nie.

— I jeszcze coś — odezwał się Stumpy.

— Co?

— No, jeśli mamy tu tkwić wszyscy razem przez trzy, cztery dni, byłoby dobrze, gdyby pewien facet umył się wreszcie, tak jak to obiecał.

— Dobrze już, dobrze — Dude machnął dobrodusznie ręką. On również tęsknił już za gorącą wodą i mydłem. Brud, zakrzepła krew i pot skleiły się w nieprzyjemną warstwę pokrywającą całe ciało, łącznie z twarzą.

— Bardzo lubię róże — zaczął znowu Stumpy — ale ten facet, o którym mówię, wcale nie pachnie jak róże.

Dude jęknął.

— Chodźmy już, Chance — powiedział. — Ten typ wykończy mnie swoim gadaniem, zanim wyjedziemy. Zbierzesz wszystkie potrzebne rzeczy, a ja w tym czasie wezmę kąpiel.

— I nie zapomnij krzyknąć, jak wrócisz — zawołał jeszcze za nimi Stumpy. — Kiedy jesteś czysty, trudno cię poznać.

Przeszli przez ulicę. Od strzelaniny upłynęły dwie godziny. Saloony i cantinas były już zamknięte. Samotny osioł, może ten sam, którego spokój zakłócili kilka dni temu, wędrował po placu w poszukiwaniu odpadków warzyw; prócz nich była to w tej chwili jak okiem sięgnąć jedyna żywa istota.

Chance stawiał wielkie kroki. Pragnął znaleźć się jak najprędzej w pobliżu więzienia, gdzie czuł się bezpieczniej. Wzmoczona tak nagle aktywność Natana nie podobała mu się. Wiedział, że teraz cios pójdzie za ciosem, a jedyna nadzieja na sukces kryła się za czterema grubymi ścianami więzienia.

Carlos i dziewczyna byli jeszcze w barze. Sprząтали. Lampa naftowa z okopconym cylindrem rzucała nikłe światło. Wybite okno było już zabite deskami. Chance poinformował ich o swoim zamiarze i Meksykanin odetchnął z ulgą

— To dobrze — powiedział. — Dobrze, że przestaniecie się pokazywać na ulicy. Cały czas się bałem, że tu może wam wydarzyć coś złego. W więzieniu będziecie się mogli przynajmniej wyspać.

Chance zerknął na dziewczynę, ponieważ jednak

milczała, zaczął wyliczać Carlosowi te rzeczy, których potrzebował.

— Postoję na straży, a Dude weźmie tymczasem kąpiel — dodał. — Daj znać, kiedy wszystko będzie spakowane.

— W piecyku jest jeszcze ciepła woda — powiedział Carlos. — Zaraz wam wszystko przygotuję.

Chance i Dude weszli na górę. Dziewczyna udała się za nimi.

Carlos niezwykle starannie zamknął drzwi na ulicę, wziął z baru lampę i wyszedł przez jadalnię.

— Consuelo! — zawołał. — Consuelo!

Nie odpowiedziała, ale spod nie domkniętych drzwi kuchennych przedostawało się światło. Otworzył drzwi szerzej i wszedł do środka.

Tymczasem Chance przechadzał się po korytarzu tam i z powrotem, mrużąc coś pod nosem. Za każdym razem, kiedy mijał uchylone drzwi od łazienki, przystawał i rzucał

niecierpliwie spojrzenie.

— Pośpiesz się, co tak długo? Jeśli będziesz się dalej tak guzdrał, nie wyjdziemy stąd do rana!

— Spokojnie, tylko spokojnie! — krzyknął Dude.

— Ostatecznie potrzebne mi są też świeże rzeczy. Felicity, czy przypadkiem nie ma pani mydła o zapachu róż?

— Nie, niestety nie. Moje ma zapach bzu.

— To na nic. Stumpy uznaje tylko woń róż. —

Wszedł do pokoju Chance'a.

Dziewczyna spojrzała na szeryfa.

— Kto to jest Stumpy?

— Facet, który lubi róże. — Uśmiechnął się i wyjaśnił: — To ten, który pilnuje więzienia.

Nie spuszczała z niego oka.

— Będzie mi cię brak — szepnęła. — Ale to dobrze, że zamkniecie się w więzieniu.

— Powinienem był już wcześniej wpaść na ten pomysł. A może nie zrobiłem tego z przekory. Nie lubię, jak ktoś mnie do czegoś zmusza.

— Żałujesz teraz, że tego nie zrobiłeś?

Wiedział, co ma na myśli.

— Nie — odparł. Ja nie. A ty?

— Odpowiem ci w bardzo prosty sposób — powiedziała cicho. Wspięła się na palce i pocałowała

go.

Nadszedł Dude. Nie miał na sobie ani kapelusza, ani pasa, ani butów, ale niósł na ręku czyste ubranie i ręcznik.

— Przepraszam! — mruknął i uśmiechnął się.

Chance zaczerwienił się.

— Idź już wreszcie do łazienki i umyj się.

Dude zamknął za sobą drzwi, a dziewczyna szepnęła:

— John, nachyl się do mnie. Nie powiedziałam jeszcze wszystkiego, twój przyjaciel nam przeszkodził.

Tymczasem na parterze, w kuchni, Carlos pozwolił bez najmniejszego sprzeciwu, aby dwaj mężczyźni związali go i zakneblowali. Przyczyną jego uległości był fakt, że Consuela, również związana już i zakneblowana, stała oparta o ścianę, patrząc na niego rozpaczliwie szeroko rozwartymi oczyma, podczas gdy trzeci napastnik muskał jej gardło ostrzem szerokiego noża myśliwskiego. Ten gest miał uzmysłwić Carlosowi, co się stanie, jeśli nie zachowa się dostatecznie cicho. Remonte był niewątpliwie człowiekiem dzielnym i uczciwym, bez wahania

poświęciłby życie za dobrą sprawę, ale Consuela.. nie, ta cena była dla niego zbyt wysoka. Stał więc biernie, gdy odbierano mu lampę i wiązano. W kuchni było jeszcze czterech innych mężczyzn: dwaj nie spuszczaali oczu z drzwi, dwaj stali przy kuchence i gawędzili. Jeden z tych ostatnich, masywny, wysoki mężczyzna w wieku około trzydziestu pięciu lat, o obwisłych policzkach i jasnoniebieskich oczach, wyglądał na ich przywódcę. Każdorazowo, kiedy kierował wzrok na Consuelę, na jego twarzy pojawiał się wyjątkowo lubieżny uśmiezek, co sprawiało, że Carlos wstrzymywał oddech ze strachu.

Jasnooki kiwnął głową i mężczyzna stojący przy drzwiach wewnętrznych wszedł bezgłośnie do jadalni.

Po chwili wrócił.

— Jeden z nich się kapie — oznajmił. — Szeryf trzyma wartę na korytarzu i robi słodkie oczy do dziewczyny. Ma przy sobie karabin.

Ktoś się roześmiał.

— Mimo to nie chciałbym być tym, który wejdzie po niego na górę.

— Burdette potrzebuje go żywego — zauważył

inny. — Dobrze mówię, Varney?

Jasnooki mężczyzna odezwał się szorstkim szeptem:

— Tak, dobrze mówisz. Ale jeżeli nie przestaniecie gadać, szeryf was usłyszy... — urwał nagie. Jego oczy stały się jeszcze jaśniejsze, uśmiechnął się tak, że Carlosa przeszedł dreszcz.

— Będziemy go mieli — zapewnił. Rozejrzał się po kuchni, po czym wskazał na kąt.

— Nick, podaj mi tamten sznur.

Korytarz na górze tonął w łagodnym, mdłym świetle jedynej lampy ściennej. Za zamkniętymi drzwiami łazienki Dude pluskał się w wodzie. Chance obejmował dziewczynę, zastanawiając się, ile teraz upłynie czasu, zanim znowu poczuje ciepło jej ciała. Tyle jeszcze mogło się wydarzyć!

— Mogłabym zajrzeć do was czasem — powiedziała — żeby się dowiedzieć, czy czegoś ci nie trzeba.

— Nie ma mowy. Nie chcę, żebyś kręciła się koło więzienia.

Jej włosy pachniały. Karabin, który trzymał w ręku,



przeszkadzał mu, oparł więc go o ścianę.

— Obawiałam się, że tak odpowiesz — wymamrotała. — W takim razie... jak długo nie będziemy się widzieć?

— Trzy, cztery dni, to wszystko.

— Tak. Trzy, cztery dni. Będzie mi ciebie brakowało.

— Jakoś to wytrzymasz.

— Oczywiście. — Jej dłonie zacisnęły się tak mocno na jego szyi, że poczuł ból. — Ty też. — Oderwała się od niego, pobiegła do swego pokoju i zatrzasnęła drzwi.

Z łazienki dobiegł śpiew Dude'a.

Chance ujął karabin i oparł się o framugę. Z tego miejsca mógł ogarnąć wzrokiem niemal cały korytarz, aż do schodów. Co jest w tej dziewczynie, że załaziła mi tak za skórę — pomyślał. W przeszłości w jego życiu bywało już wiele kobiet, ale myśl o małżeństwie zawsze napelniała go trwogą. Teraz zaś zaczynał się już zastanawiać, że jeśli przeżyje to wszystko... Staje się coraz starszy i bardziej ociężały — myślał — bardziej niż przedtem odpowiada mi osiadła tryb życia, żona

stanowiłaby więc ten element, który pasuje do całości. Uśmiechnął się. Felicity była jeszcze bardzo młoda, ale to z pewnością nie był żaden argument, żeby się nie żenić, wręcz przeciwnie: pod wieloma względami mogło się to okazać nadzwyczaj przyjemne.

W kuchni Varney nachylił się nad Consuelą i wyjął jej knebel z ust.

— A teraz — powiedział — chcielibyśmy, aby zawołała tu pani szeryfa.

Martwiła ze strachu, a mimo to potrząsnęła przecząco głową.

Varney wzruszył ramionami. Na stole stała butelka. Ujął ją za szyjkę, rozbił o kant stołu i podszedł z roztrzaskaną resztą do Carlosa.

Consuela krzyknęła przeraźliwie. Varney opuścił swoją straszliwą broń i się uśmiechnął.

— Jakie to piękne, kiedy mąż i żona kochają się aż tak bardzo — powiedział. — Taka miłość ułatwia wiele spraw.

Wybiegł cicho za swoimi ludźmi.

Consuela nadal krzyczała z całych sił.

Chance zbiegał już po schodach. Słabe światło

lampy na korytarzu oświetlało jedynie sześć czy siedem górnych stopni. Nie zauważył sznura rozciągniętego w poprzek schodów; zahaczył o niego nogą i jak duży, niezgrabny ptak stoczył się na dół. Zdawał sobie sprawę, że podłoga umyka mu spod nóg, że spada coraz niżej, był jednak bezsilny. Potem trzy ciężkie postaci skoczyły mu na plecy i po chwili przed jego oczyma rozwarła się bezdenna ciemność.

Ciemność miała jednak swój kres, a świt nadszedł wraz z oberwaniem chmury. Chance jęknął, pokręcił głową w jedną stronę i drugą, ale po chwili trafiła go kolejna struga wody. Usta miał już otwarte i deszcz wlał się do środka. Zakasłał i z trudem uniósł się trochę.

Leżał na twardej ziemi, która okazała się teraz podłogą z desek, a oberwanie chmury nie było deszczem, lecz wodą z wiadra, które ktoś wylał na niego. Lampa stała na barze, oświetlając hall. Siedział w samym środku kałuży wody, parskając, nie bardzo jeszcze wiedząc, co się stało, kiedy nagle ujrzał Dude'a, schodzącego po schodach w towarzystwie dwóch nieznajomych. Ci dwaj byli uzbrojeni, Dude – nie.

Dude patrzył na niego w milczeniu i Chance wychrypiął:

— Tym razem przyszła na mnie kolej. Czy czujesz się przez to lepiej?

Barczysty mężczyzna o obwisłych policzkach trącił go butem. Nie uczynił tego zbyt łagodnie.

— Dobra, szeryfie. Wstawaj!

Chance podniósł się. Wydało mu się, że zaraz runie z powrotem, ale jakoś utrzymał się na nogach. Jeszcze chwila i świat przestał wirować mu przed oczami.

— Może pan chodzić? — zapytał tamten.

Chance wlepił w niego wzrok. Jakieś nazwisko przyszło mu do głowy i wypowiedział je machinalnie na głos.

— Varney... Luke Varney. Morderstwo, napad na bank... — urwał. Nie mógł sobie przypomnieć pozostałych przestępstw, które wyczytał kiedyś z listu gończego.

— Nie mamy teraz zbyt wiele czasu — Varney uśmiechnął się.

— Skąd pan się tu znalazł?

— Z tamtej strony — odparł Varney, wskazując ruchem głowy kierunek, gdzie przebiegała granica z Meksykiem.

— Aha. — Myśli Chance'a zaczęły układać się znowu w logiczny ciąg. — W takim razie mogę się założyć, że jest pan przyjacielem Joe Burdette'a.

— Dobrym przyjacielem — przytaknął tamten. —

Najlepszym

— A jaka jest teraz cena za przyjaciół? — zapytał Chance. — Ostatnio było to sto dolarów. Czy znowu poszła w górę?

Varney uderzył go dwukrotnie dłonią w twarz.

— Zdaje się, że zadałem panu pytanie — przypomniał. — Czy może pan chodzić?

— To zależy od tego, dokąd mam iść.

— Ma pan prawo wyboru, szeryfie — wyjaśnił uprzejmie Varney. — Może pan się udać z nami do więzienia i wypuścić z celi Joe'ego, albo też pan i Dude udacie się z nami w jakieś spokojne miejsce i tam zaczekacie, aż dojdziemy ze staruszką do porozumienia.

— Ze Stumpym nie ubijecie żadnego interesu. Doprowadzicie najwyżej do tego, że Joe zostanie zabity.

— Wcale nie, szeryfie. Jestem pewien, że stary nie zechce, aby panu i Dude'owi przydarzyło się nieszczęście.

— Po co to wszystko, Chance? — głos Dude'a był zupełnie matowy. — Przechytrzyli nas. Zaprowadź

ich do więzienia. Powiedz Stumpy'emu, żeby otworzył celę i wypuścił Joe.

Chance wpił w niego wzrok.

Dude nie patrzył na niego, drżał na całym ciele.

— Mówię ci — krzyczał piskliwie — po co mamy dać się zabić? Stumpy nie utrzyma się długo. Jest przecież sam

— A gdzie ten chłopiec? — zapytał ostro Varney.

— Ulotnił się — odparł Dude. — Czego można się było spodziewać po takim wyrostku? — Zwrócił się znowu do szeryfa: — No i co? Będziesz tu tak sterczał jak jakiś cholerny muł? Oni i tak wydostaną Joe'ego. Po co utrudniać to wszystko jeszcze bardziej?

Varney obrzucił go pogardliwym spojrzeniem.

— Zaraz narobi w portki — mruknął do Chance'a.  
— Ale to, co mówi, brzmi rozsądnie.

— Dobrze — ustąpił Chance — idziemy do więzienia. — Nie patrzył już na Dude'a. Jego twarz była posepna i twarda.

Varney skinął z zadowoleniem głową.

— Wyjmijcie naboje z jego karabinu — polecił swym ludziom. Potem skinął na niskiego mężczyznę o

chytrej twarzy, odciągnął go na bok i powiedział coś na ucho. Tamten kiwnął z aprobatą. Mimo niepozornego wzrostu wyglądał na przeciwnika, którego lepiej nie lekceważyć. Odpowiedział coś cicho i roześmiał się, a Varney zawtórował mu. Następnie niski mężczyzna wrócił do Dude'a i jego strażników, a Varney do szeryfa.

Wręczył Chance'owi kapelusz i rozładowany karabin i wyjaśnił:

— Wyjdziemy stąd spokojnie, jakby nigdy nic. Będzie pan niósł karabin i zachowywał się tak, jak zawsze. Co do nas, ukryjemy broń, ale nie radziłbym panu decydować się na coś nie przemyślanego.

Chance kiwnął głową.

Varney podszedł do drzwi, otworzył je i wyjrzał na zewnątrz.

— W porządku — oświadczył, po czym wyszedł na pustą, wietrzną ulicę.

Towarzyszyli mu Chance i trzech innych mężczyzn.

Szli bez pośpiechu, zwartą grupą. Ostrogi dźwięczały cicho, a Chance starał się nie myśleć o tym, dlaczego Consuela krzyczała przedtem tak przeraźliwie



albo co się stało z Felicity. Usiłował skoncentrować całą swą uwagę na drzwiach więziennych, do których zbliżali się nieuchronnie z każdym kolejnym krokiem.

Wiedział doskonale, na jaki koncept wpadł Dude.

Wszedł na dwa drewniane stopnie wiodące do więzienia. Odgłos kroków jego eskorty rozbrzmiewał głucho na deskach trotuaru, tuż za nim.

— Niech pan nie zapomni uprzedzić starego — szepnął z uśmiechem Varney i wyciągnął z kabury rewolwer.

Chance przełożył karabin do lewej ręki, a prawą wyciągnął z kieszeni klucz.

— Stumpy! — zawołał. — Hej, Stumpy, to ja, Chance!

— No to wchodzi! — odkrzyknął stary.

Varney stał tuż za szeryfem, przyciskając lekko lufę rewolweru do jego palców.

Gestem nakazał jednemu ze swoich ludzi, aby zczekał przed drzwiami, pozostali zaś tłoczyli się za nim, gotowi wtargnąć od razu do środka.

— Śmiało, szeryfie — szepnął Verney. — I niech pan powie staremu, że jest pan z przyjaciółmi.

Chance przekręcił klucz w zamku.

— Stumpy! — zawołał. — Stumpy, nie jestem sam, ale wszystko w porządku. — Nacisnął klamkę i poczuł, jak lekko drzwi ustąpiły. — Wejdą ze mną do biura..

Pchnął drzwi i rzucił się na podłogę. Padł tak szybko jak gład lecący w przepaść, ale palec wskazujący Verneya również nie tracił czasu. Chance odniósł wrażenie, jakby ktoś musnął go po plecach rozżarzonym żelazem i, zanim jeszcze runął na deski, usłyszał, jak dubeltówka Stumpy'ego zagrzmiała raz i drugi. Pomieszczenie wypełniło się dymem i łoskotem uderzającego o ściany śrutu, a za jego plecami rozległy się krzyki ranionych śmiertelnie ludzi.

Przeturlał się dalej i podczołgał do stojaka na karabiny. Nie wiadomo skąd zjawił się Colorado. Stumpy krzyknął coś i rewolwer chłopca wypalił. Chance chwycił już karabin i zakręcił się na pięcie. Colorado stał u wejścia. Mężczyzna, którego Varney pozostawił na zewnątrz na warcie, klęczał na trotuarze ulicznym; kula ugodziła go w nogę. Usiłował jeszcze sięgnąć po broń, ale Colorado i strzelił po raz drugi i

trafił go w ramię. Tamten zawył, nienawistnie i chciał ująć rewolwer lewą ręką, ale Chance odepchnął Jima Ryana na bok, przeskoczył leżące na podłodze zwłoki i wypadł na zewnątrz, powalając rannego jednym uderzeniem kolby karabinu. Nie tracąc czasu, pobiegł w stronę hotelu.

Stumpy, kuśtykając, dotarł do drzwi. Rozejrzał się dokoła, aby ocenić rozmiar spustoszenia, jakiego dokonała jego dubeltówka, po czym skinął na Colorado:

— Biegnij za nim, chłopcze. Z tym tutaj dam sobie radę bez ciebie.

Ostrożnie zszedł po stopniach na dół i chwycił leżącego pod pachy. Ryan patrzył na niego bez przekonania.

— Niech pan uważa, żeby nie uciekł, panie Anderson. Jego zeznania przydadzą się na pewno. — Rozpierały go duma i podniecenie. Pomógł Stumpy'emu zaciągnąć więźnia do biura, po czym pobiegł za szeryfem.

Kiedy dotarł do hotelu, Chance stał już za budynkiem na małej uliczce, starając się dojrzeć coś w

mroku. W oddali cichł tętent galopujących koni.

Colorado rzucił mu tylko krótkie spojrzenie i wszedł do kuchni. Consuela zaskakała rozpaczliwie, a kiedy przeciął jej więzy, rzuciła się jak szalona na Carlosa i przywarła do niego z taką siłą, że Colorado rozdzielił oboje dopiero po długich staraniach. Nie byli ranni. Obok nich przeszedł Chance; sprawiał wrażenie, jakby ich nie widział. Koszula na jego plecach była rozerwana i poplamiona krwią. Colorado usłyszał, jak kroczy przez jadalnię i ociężale wspina się na piętro. Carlos siedział na podłodze, tuląc do siebie Consuelę. Wyglądało na to, że pragnie spędzić w ten sposób resztę życia.

Ryan chrząknął, przypominając w ten sposób o swoim istnieniu.

— A gdzie Dude? — zapytał.

Carlos uniósł głowę. W jego ciemnych oczach lśniły łzy.

— Zabrali go ze sobą — wyjaśnił. — Jak tylko usłyszeli strzały.

Consuela ukryła twarz na piersi męża i zaszlochała.

## XXIV

Chance siedział zgarbiony na biurku. Był bez kapelusza i koszuli. W świetle przysuniętej lampy Stumpy czyścił podłużną, krwawiącą jeszcze bruzdę, którą kula z rewolweru Varneya wyźłobiła na plecach szeryfa. Rana piekła niemiłosiernie, ale Chance wiedział, że nie grozi mu z jej powodu nic poważnego, dlatego też znosił ból cierpliwie.

Przez cały czas przeszywał wzrokiem mężczyznę, który siedział przed nim na krześle. Był to ten sam człowiek, którego Colorado wyeliminował z walki. Krwawił z dwóch ran, ale nikt nie zwracał na to uwagi.

Stumpy przemywał ranę Chance'a wodą i jakimś cuchnącym płynem antyseptycznym. Colorado stał przy oknie, wyglądając na ulicę. Na zamkniętych i zaryglowanych drzwiach widniały świeże ślady po kulach.

Schodki przed wejściem zostały już zmyte kilkoma wiadrami wody, wyglądało jednak na to, że upłynie trochę czasu, zanim czerwone plamy wypłowieją.

Chance spoglądał na rannego bandytę i nie mógł wykrzesać z siebie nawet drobnej iskierki współczucia.

Tamten, jak gdyby nie mógł się dłużej pohamować, powiedział wreszcie:

— Nie macie zamiaru mi pomóc?

— Przecież słyszałeś już, co masz zrobić, jeśli chcesz, żebyśmy cię opatrzyli — odparł Chance.

Ranny pomiął tę uwagę milczeniem.

Stumpy przyłożył do rany szeryfa opatrunek i umocował go za pomocą plastra. Nie wiadomo skąd przyniósł świeżą koszulę.

— Nie jest zbyt czysta, ale już lepsza od tej, którą z ciebie zdjąłem — powiedział.

Chance założył koszulę i zapiał ją, a Stumpy wyniósł miednicę z brudną wodą.

Usta rannego zaczęły drżeć, a twarz przybrała szary kolor. Spojrzał błagalnie na Stumpy'ego.

— Będziecie tak siedzieć i czekać, aż się wykrwawię? Nie możecie tak postąpić!

— To zależy od szeryfa — odparł Stumpy.

— Zobaczysz, że możemy — Chance uśmiechnął się złośliwie.

Wziął butelkę whisky i przytknął do ust rannego. Alkohol postawił go chwilowo na nogi. Colorado zerknął na nich przez ramię. Wyglądało na to, że zbiera mu się na wymioty, milczał jednak.

— Na twoim miejscu nie zwlekałbym zbyt długo — poradził rannemu Chance. — W przeciwnym razie będzie już za późno, kiedy się zdecydujesz.

Usiadł za biurkiem i zaczął przyrządzać sobie skręta.

Tamten zaklął. Zamknął oczy, aby nie patrzeć, jak życie wycieka z jego ciała dwoma cienkimi strużkami krwi, ale po pewnym czasie otworzył je z powrotem.

— Tak, tak, oczywiście, że to Burdette wysłał nas tu i opłacił! — wykrzyknął. — Do diabła z nim i z jego cholernym bratem, do diabła z wami wszystkimi! — Jego głos przybrał znowu błagalne brzmienie. — Czy teraz pomożecie mi wreszcie? Przecież mogę się zupełnie wykrwawić!

— Za chwilę — obiecał Chance. Wstał i podszedł do niego bliżej. — Dokąd zaprowadzono Dude'a?

— Na ranczo Burdette'a. — Mężczyzna znowu zamknął oczy i pokręcił gorączkowo głową. —

Pospieszcie się wreszcie! Na miłość boską, pomóżcie mi!

— Po co go tam zabrali? — Chance zamachnął się i uderzył tamtego lekko w twarz, raz, potem drugi. Więzień ocknął się, wyprostował na krześle i otworzył oczy. — Co Burdette chce z nim zrobić?

— Powiedział, że nie wolno nam wracać z pustymi rękami. Mieliszmy przyprowadzić albo Joe'ego, albo jednego z was, albo was obu. Powiedział, że zapłaci nam dopiero potem. — Jęknął przeciągle. — Błagam was!

Chance spojrział na Stumpy'ego i skinął głową.

— W porządku, zajmij się nim. — Wrócił za biurko, usiadł i wsparł głowę o obie dłonie.

Stumpy pracował szybko i sprawnie. Kiedy skończył, podał rannemu butelkę whisky i pozwolił mu się napić. Potem razem z Ryanem zawlókł go do celi, ułożył na pryczy i zamknął drzwi.

— Wspaniale — powiedział Colorado, Widać było, że jest zadowolony. — A więc mamy już świadka przeciw Burdette'owi.

Ale w jego głosie brzmiało też pewne



powątpiewanie. A z sąsiedniej celi rozległ się głośny śmiech Joe Burdette'a.

— Wy macie świadka — zawołał szyderczo — a ja mam dobre uszy i słyszałem, że Dude jest w rękach mojego brata. Pomyślcie tylko przez chwilę, a sami zrozumiecie, że ten świadek nic wam nie da. — Zarechotał ponownie. — Jutro rano będę wolny.

— Przedtem wyślę cię własnoręcznie do piekła — warknął Stumpy. Widać jednak było, że i jemu brakuje przekonania. Udał się za Ryanem do biura, oparł się o kratę i nabił fajkę. Chance siedział z butelką w dłoni, upijając małe łyki i wpatrując się z posepną miną w jedno miejsce.

Tak upłynęło pół godziny. Potem z daleka dobiegł ich tętent pojedynczego konia. Odgłos narastał z każdą chwilą.

Chance podbiegł do okna, odsuwając na bok Ryana.

Ulicą nadjechał galopem mężczyzna. Przystanął na samym skraju drogi, tam, gdzie nie było go widać z okna, i zawołał:

— Szeryfie! Hej, szeryfie!

— Jestem tu.

— Mam dla pana wiadomość. Chodzi o Dude'a. Chce pan posłuchać?

— Tak.

Mężczyzna podjechał pod same drzwi więzienia. Był to ten sam człowiek, który pozostał przedtem z Dude'em w hotelu. Chance zacisnął palce na prętach kraty. Żałował, że nie może zrobić użytku z karabinu.

— Na zachodnim skraju miasta stoi taki duży budynek, jakby magazyn. Wie pan, o czym mówię?

— Tak, wiem.

— Przyjdzie pan tam o wschodzie słońca. Potem będzie pan miał pół godziny, żeby dokonać wymiany Joe'ego Burdette'a za Dude'a. Jeśli pan się nie zjawi, Dude zawisnie na słupie ładowniczym spichrza. Jeżeli o nas chodzi, będzie nas wystarczająco dużo, aby nikt nie zdołał popsuć nam szyków.

— Przyjdę na pewno — oświadczył Chance.

Mężczyzna zatoczył koniem i odjechał galopem. Chance odszedł od okna.

— A ja miałem cię za faceta z ikrą — burknął Stumpy. — Za dobrego, sumiennego szeryfa.

Myślałem, że jesteś prawdziwym mężczyzną.

— Możesz przecież odejść. — Chance patrzył na starego wzrokiem, w którym nie było ani gniewu, ani smutku, ani prośby o zrozumienie; ten wzrok nie wyrażał w ogóle nic.

— Teraz jest najdogodniejszy moment. To samo dotyczy ciebie, Colorado. Natan zgromadzi przy magazynie wszystkich swoich ludzi. Jeśli wykorzystacie tę okazję, uda wam się zniknąć stąd, podczas gdy tamci będą zajęci mną i Dude'em.

— Czy ty w ogóle wiesz, co robisz? — zawołał Stumpy. Widać było, że jest bliski płaczu. — Czy wiesz, jaką masz dobrą sytuację, dopóki siedzisz tu, w tych czterech ścianach? Czy wiesz, jaką kartę tracisz, wydając im Joe'ego?

— Wiem tylko — odparł Chance — co się stanie z Dude'em Waltonem, jeśli nie wydam im Joe'ego.

— Gdyby Dude wiedział, co zamierzasz, też by cię potępił. To on nalegał, żebyś przyprowadził ich tu, prawda? Wiedział, jak postąpię, a mimo to wysłał cię tu. Po to, żeby tamci nie uwolnili Joe'ego.

— A ja poszedłem na to, bo była to jedyna droga,

aby wyrwać się z ich rąk. No cóż — rozłożył ręce i opuścił je bezwładnie. — Nie udało się. Wiem jedno: nie będę tu sobie siedział, podczas gdy Natan będzie wieształ mojego przyjaciela.

Usiadł i upił trochę z butelki. Alkohol dodał mu siły, której tak bardzo teraz potrzebował. Raptem obrócił się do Ryana.

— Dlaczego nic nie mówisz? Jakie jest twoje zdanie?

— Stumpy ma rację — mruknął Colorado. Opuścił wzrok na własne buty i potrząsnął głową. — Ale wydaje mi się, że ja też nie pozwoliłbym, aby powieszono Dude'a.

Stumpy obrzucił ich potokiem złorzeczeń.

— Nie usłyszycie już ode mnie ani słowa. Nie będę gadał na wiatr, nie będę wam przypominał, że szeryf ma pewne obowiązki i nie ma prawa wypuszczać na wolność więźnia, niezależnie od tego, czyje życie jest zagrożone. Ale zadam ci jedno pytanie, Chance, jedno drobne pytanie. Jak myślisz, jak długo po tej zamianie zostanieie jeszcze przy życiu?

Chance spojrział na niego. Potem wysunął dolną

szufladę biurka i wyjął zdobiony srebrnymi okuciami pas Joe'ego Burdette'a. Nie dotknął nawet tego rewolweru, z którego został zamordowany Gurney Hayes, wyciągnął za to drugi, opróżnił bębenek i wypróbował mechanizm. Wszystko funkcjonowało bez zarzutu.

— Tak długo — odparł — jak się nam uda.

Rozebrał broń i zaczął oliwić każdą część. Stumpy opadł na krzesło stojące pod przeciwległą ścianą i wlepił posepny wzrok w małe, zakratowane okno. Nieprzenikniona ciemność zaczęła ustępować miejsca zimnej szarości.

— Zaraz wstanie świt — powiedział.

Chance podniósł się ociężale. Wsunął rewolwer za pasek, założył kurtkę i napelnił wszystkie kieszenie nabojami. Następnie wyjął karabin ze stojaka, sprawdził, jak działa, i wcisnął na głowę kapelusz.

Stumpy powiódł dokoła lufą dubeltówki i skierował ją w końcu na brzuch Chance'a.

— Mógłbym wypalić teraz — powiedział — i wtedy przynajmniej zabrałbyś do grobu swoje dobre imię. — Westchnął i wstał z krzesła. — Ech, niech to diabli! Mam tu przyprowadzić Joe, czy sam po niego pójdziesz?

— Pójdę po niego — odparł Chance. — Nie chciałbym, aby ktoś oprócz mnie ponosił za to odpowiedzialność. — Zdjął z haka na ścianie zwój sznura i otworzył kratowe drzwi do drugiej części biura. Odchodząc, rzucił przez ramię: — Czas mija. Cokolwiek postanowicie, musicie się pośpieszyć.

Joe był już gotów. Przez całą noc nie zmrużył nawet oczu. Teraz triumfował. Nie mógł się doczekać

chwili, kiedy Chance otworzy wreszcie drzwi od celi.

— Mówiłem, że niedługo stąd wyjdę — oświadczył zadowolony z siebie. — Mówiłem to od samego początku.

Chance uderzył go sznurem po twarzy.

— Otwórz jeszcze raz gębę, a nie dasz rady wyjść o własnych siłach — ostrzegł i podał mu cały kłębek.

— Zrób tu pętlę — polecił.

Joe usłuchał w milczeniu.

— Załóż ją sobie na szyję.

W oczach Joe pojawił się strach. Zawahał się.

— Załóż ją na szyję — powtórzy Chance. Lewą ręką pochwycił koniec sznura. — Kiedy będziemy szli, masz trzymać się o trzy metry przede mną, tak aby lina była naprężona. Jeśli pociągnę za nią, od razu stajesz. Czy to jasne?

— Nie myśl, że chcę coś wykombinować — zapewnił gorliwie Joe. — Jezu Chryste, po co bym miał to robić?

Chance uniósł lufę karabinu.

— Joe, jestem zmęczony — powiedział zniecierpliwiony. — Mam za sobą kilka ciężkich dni i

nie zamierzam z tobą dyskutować.

Joe zarzucił pętlę na szyję.

— Jasne — mruknął bojaźliwie. — Zrobię tak, jak chcesz. Ale naprawdę nie myśl, że coś knuję.

Ruszył do wyjścia, naprężając linę.

Przed drzwiami stał Colorado z dłonią na ryglu.

— Szeryfie... — zaczął.

— Nie prosiłem o pomoc — odparł Chance, — Joe, otwórz te drzwi.

Colorado odszedł na bok, a Joe odsunął ciężki rygiel i pchnął drzwi. Do wewnątrz napłynęło zimne, świeże powietrze. Chance wzdrygnął się i odetchnął głęboko.

— No, dobrze — powiedział spokojnie do Joe'ego. — Naprzód.

Joe ruszył przed siebie. Ulica leżała jeszcze w szarym świetle jutrzeńki. Chance kroczył za więźniem. Jedną ręką trzymał koniec sznura, w drugiej ścisnął karabin.

Mimo wczesnej godziny miasto już nie spało. Chance mijał twarze ciekawskich, przyklepione do okien, wydawało mu się nawet, że słyszy za sobą kroki



coraz liczniejszej gromady gapiów. Nie oglądał się jednak do tyłu.

Nie obrócił głowy nawet wtedy, kiedy przeszli obok hotelu, chociaż wiedział, że w oknie na górnym piętrze stoi Felicity. Wiedziała, co ma się stać, wiedziała o wszystkim od chwili, gdy minionej nocy przyszedł do niej i znalazł ją w pokoju związaną, ale całą i zdrową. Powiedział jej wtedy, że Dude jest w rękach Burdette'a. — Chcą wymienić go na Joe'ego? — zapytała, a potem: — I pójdziesz na to?. W milczeniu skinął głową, ona zaś szepnęła: — Zabiją was obu, chyba zdajesz sobie z tego sprawę. — Błada i cicha odwróciła się do ściany, tak jakby on był już martwy. Teraz nie śmiał podnieść na nią wzroku.

Słońce zaróżowiło wschodnią część horyzontu. Niebo przybrało barwę błękitu, skały wznoszące się ponad miasto załala złocisto-czerwona poświata.

Słaby wiatr przyniósł skądś zapach kawy i smażonego boczku. Chance uświadomił sobie, że jest głodny i uśmiechnął się. Co za bzdurne przyzwyczajenie! Nie czas było myśleć teraz o śniadaniu.

Joe machinalnie przyśpieszył kroku, ciągnąc za linę jak niesforne źrebię.

Zabudowania miasta pozostały w tyle. Dalej droga przechodziła w płaski, rozległy teren, tu jednak wiodła obok magazynu. Budynek sprawiał wrażenie opuszczonego, ale szeryf wiedział, że w środku stoi już Burdette ze swymi ludźmi i obserwuje ich nadejście. Pociągnął za sznur.

— Wolniej — polecił. Wejdziemy tam.

Wskazał na szopę stojącą naprzeciw magazynu w odległości około pięćdziesięciu metrów. Dawniej była to garbarnia, prowadzona przez ojca Burdette'ów. Drewniane drzwi po obu stronach zdążyły już zniknąć, zachowały się jednak do tej pory grube gliniane ściany i część dachu. W pobliżu widniały też szczątki jakiegoś muru, porośnięte chwastami i sypiące się w wielu miejscach ze starości. Joe skręcił posłusznie za szopę, a Chance, idący za nim, ujrzał po chwili plandeki ustawionych tu po lewej stronie wozów Wheelera. Mimo woli się roześmiał.

— Z czego się śmiejesz? — Joe obejrzał się nerwowo.

— Z niczego — odparł Chance. — Z niczego.

Wozy stały na uboczu, ale gdyby zabłąkała się tam jakaś kula, mogło się zdarzyć, że wszyscy wylecieliby w powietrze. Wkrótce znaleźli się w mrocznej, zimnej szopie.

— Co mam teraz zrobić? — zapytał Joe.

— Podejdź do przednich drzwi i zatrzymaj się na progu. — Chance puścił sznur i szturchnął więźnia kolbą w plecy. Joe zwolnił kroku, poruszał się teraz z największą ostrożnością. Wreszcie stanął w progu i chwycił za pętlę.

— Mogę to teraz zdjąć?

— Możesz.

Chance stanął tak, aby ludzie Burdette'a nie mogli go dojrzeć.

— Natan! — zawołał.

W drzwiach magazynu zjawił się ten sam niski mężczyzna, który uczestniczył w porwaniu Dude'a.

— Będzie pan pertraktował ze mną, szeryfie — zawołał.

Chance strzelił i kula ucięła dalsze słowa. Mężczyzna zatoczył się i upadł na twarz.

— Natan! — wykrzyknął ponownie Chance. — Natanie Burdette! Wyjdź i załatw tę sprawę sam, w przeciwnym razie w ogóle jej nie załatwimy! — Rzucił na Joe'ego złowieszcze spojrzenie.

Przez chwilę panowała cisza. Czarny prostokąt wejścia do magazynu świecił pustką. Nagle rozległ się przeraźliwy okrzyk Joe'ego:

— Natan! Na miłość boską, Natan! Wyjdź!

Z magazynu wyłonił się starszy Burdette.

— W porządku — zawołał Chance. — Jeśli jesteś gotów, możemy zaczynać.

Natan odwrócił głowę i kiwnął na kogoś wewnątrz budynku. Za jego plecami pojawili się Dude i Matt Harris. Poranne promienie słońca zabarwiły miedzią glinianą powierzchnię rozległego placu. Natan złożył dłonie w trąbkę, przyłożył je do ust i krzyknął:

— Puścimy Dude'a, kiedy Joe ruszy do nas.

Chance powiedział cicho:

— Dobra, Joe — i odwrócił się na pięcie, kiedy od strony tylnych drzwi dobiegł go czyjś głos, wymawiający jego imię. Chciał już strzelić, kiedy rozpoznał w przybyszu Ryana. Odetchnął z ulgą i

opuścił lufę.

Colorado podszedł bliżej. Oprócz swoich rewolwerów miał jeszcze karabin, który zabrał z biura. Kieszenie jego spodni były wypchane nabojami. Bez zbędnych wyjaśnień oświadczył:

— Popilnuję od tyłu — i zajął pozycję przy wyjściu.

Chance z uśmiechem pokiwał głową.

— Jesteś głupcem, Colorado!

— Przynajmniej obracam się w dobrym towarzystwie — odparł młodzieniec. — Niech pan robi swoje, szeryfie. Joe trzęsie się już ze strachu jak galareta.

— Możesz iść, Joe — powiedział Chance. — Ale powoli! Kiedy powiem, że masz się zatrzymać, radzę posłuchać, inaczej zatrzymamy cię na zawsze. Zrozumiałeś?

Joe przytaknął. Jego mina świadczyła, że przepelniają go uczucia ulgi i strachu zarazem. Najchętniej puściłby się teraz pędem i ukrył za plecami brata, gdzie może nie dosięgłyby go ani zimne oczy Chance'a, ani jego karabin. Przestrzeń pomiędzy szopą

i magazynem wydała mu się nagle nieskończenie olbrzymia, niezwykle trudna do przejścia.

Wyszedł na słońce, które słało już pierwsze promienie.

— Stój! — krzyknął nagle Natan. — Poczekaj, Joe! Jeszcze nie idź!

— Wracaj, Joe! — polecił Chance i Joe przystanął posłusznie. Przy wejściu do magazynu powstało jakieś zamieszanie. Natan, gestykułując gwałtownie, mówił coś do Harrisa.

— O co chodzi? — zawołał Chance.

— Dude nie chce stąd wyjść,

— Wielki Boże! — szepnął Chance. Potem ryknął na cały głos:

— Dude, masz w tej chwili wyjść!

— Idź do diabła! — odezwał się Dude. — Joe jest twoim więźniem. Musisz go zatrzymać.

— Dude!

— Nie chcę mieć z tym nic wspólnego.

— A więc zostań tam — zawołał Chance. — Ja wypuszczam Joe'ego tak czy siak, a ty, jeśli chcesz, siedź na swoim miejscu.

Skinał na Joe'ego.

— Idź już. Ale pamiętaj: powoli.

Joe ruszył, stawiając nogi ostrożnie, jedną przed drugą, jak tancerz na linie.

Chance nie spuszczał wzroku z wejścia do magazynu.

Po chwili w progu zjawił się Dude. Nawet z tak dużej odległości widać było, że jest wściekły, ruszył jednak w stronę szopy. Chance otarł sobie pot z czoła. Dude i Joe zbliżali się do siebie. Matt Harris stał w drzwiach magazynu, trzymał rewolwer na wysokości oczu, wycelowany w plecy Dude'a.

Chance, przyglądając się bacznie obu więźniom, zawołał raptem ostrym tonem:

— Joe, nie tak szybko! Dude żwawiej trochę!

Dude przyśpieszył kroku. Chodziło o to, aby znalazł się pod osłoną szopy, zanim Joe dotrze do magazynu. W przeciwnym razie Dude byłby wystawiony na kule ukrytych tam strzelców.

— Do diabła! — odezwał się znowu Chance, wyraźnie zniecierpliwiony. Pośpiesz się, Dude! Zostajesz w tyle!

Dude miał już za sobą mniej więcej połowę drogi.

Szedł z opuszczoną głową; najwidoczniej chciał zaoszczędzić sobie widoku szyderczej miny Joe'ego.

— Pośpiesz się! — krzyknął Chance.

— Idę przecież! — odparł Dude z rozdrażnieniem.

Zrobił dwa duże kroki i znalazł się na jednej wysokości z idącym w odwrotnym kierunku Joe'em.

Nieoczekiwanie Dude rzucił się na niego.



Stało się to tak szybko, że Chance nie zdołał nawet ogarnąć tego okiem. Dude objął przeciwnika oburącz w pasie, a impet, z jakim go zaatakował, odrzucił ich na bok, gdzie upadli na resztki muru, wznoszącego się na wysokość zaledwie trzech stóp. Od strony magazynu rozległ się czyjś okrzyk przerażenia, nie padły jednak żadne strzały. Nawet Harris nie odważył się strzelić do Dude'a, mógł bowiem trafić nieumyślnie Joe'ego.

Obok Chance'a znalazł się raptem Colorado.

— Trzymaj go, Dude! — wrzasnął. — Trzymaj go!

Jego twarz pokrywał rumieniec podniecenia, z emocji aż podskakiwał w miejscu! U wejścia do magazynu widać było teraz poruszenie: Harris wepchnął Natana do środka. Chance stał nachylony, z karabinem gotowym do strzału, usiłując ogarnąć wszystko wzrokiem, ocenić odległość i pozycje strzelców, rozpatrzeć na nowo sytuację.

Za niskim murkiem wzbił się w górę tuman kurzu.

Rozległy się przytłumione dźwięki, odgłosy szamotaniny.

Chance chwycił za karabin, wycelował i strzelił. Z bocznych drzwi magazynu wypadło biegiem kilku mężczyzn, prawdopodobnie po to, by zatoczyć łuk i podkraść się do muru od drugiej strony. Jeden z nich runął na ziemię, inny potknął się, złapał równowagę i zawrócił. Chance strzelił jeszcze raz i teraz już wszyscy pobiegli z powrotem.

Szeryf ruszył w stronę tylnej ściany szopy.

— Dokąd pan idzie? — zapytał Colorado.

— Chcę dostarczyć Dude'owi ten rewolwer. —

Wyszedł ostrożnie na zewnątrz, przebiegł wzdłuż muru i wyjrzał zza węgła. Widział teraz nogi Dude'a i Joe'ego, nadal walczących ze sobą zawzięcie. Pomiędzy szopą i murem nie było nic, co mogłoby posłużyć za osłonę. Chance zawrócił.

— Dopóki jest szczepiony z Joe'em, nie może mu się wydarzyć nic złego — zauważył Ryan.

Czym prędzej skryli głowy, kiedy z magazynu posypał się nagle prawdziwy grad kul. Pociski uderzały donośnie o mur na lewo i prawo od wejścia. Bzyczały

też złowieszczo we wnętrzu szopy jak agresywne owady. Kiedy ogień osłabł, Chance zaryzykował spojrzenie na zewnątrz: za murkiem nie było już obłoku kurzu. Widocznie walka pomiędzy dwoma przeciwnikami dobiegła końca.

Nowy grad kul załomotał o kruchy mur, wzniecając fontanny piachu i odrywając od cegieł żółtobrazowe odpryski.

— Jeszcze trochę i dojdą do przekonania, że nie ma po co tak marnować amunicji — mruknął Chance.

— Ale uważaj na głowę, bo jeszcze wezmą ją na cel.

— Jasne — odparł Colorado. — Jak tam Dude?

— Jeszcze nie wiem. Wydaje mi się, że powinien sobie dać radę z Joe'em, ale nieraz zdarzają się naprawdę dziwne rzeczy.

Ogień tracił na sile, wreszcie kanonada ustała. Wyglądało na to, że Burdette i jego ludzie wykorzystują tę przerwę, aby zastanowić się nad sytuacją. Ciszę przerwał głos Dude'a, brzmiący głośno i wyraźnie nad placem.

— Chance, słyszysz mnie?

— Tak!

— Mam tu Joe'ego. Nie jest w stanie chodzić, ale mógłbym zaciągnąć go do ciebie.

— Zostań tam, gdzie jesteś! — zawołał Chance.  
— Słyszysz, co mówię? — Zwrócił się do Colorado.  
— Jak myślisz, czy rewolwer doleci stąd do niego, jeśli go rzucisz?

— Spróbuję.

Chance podał mu broń.

— Lepiej chyba będzie z tylnego kąta. Poczekaj, aż zaczną strzelać.

Colorado skinął głową i pobiegł na swoje miejsce. Chance dał mu dziesięć sekund czasu, po czym tak szybko, jak pozwalał mu na to karabin, zaczął ostrzeliwać drzwi i okna magazynu. Kątem oka dostrzegł lecący w powietrzu rewolwer. Colorado wycelował dobrze, ale rzut był zbyt krótki. Dude podczołgał się do krańca muru i wyciągnął rękę, ale broń leżała za daleko. Kilka pocisków przeleciało tuż obok i Dude skrył się z powrotem za zbawczy murek. Colorado wrócił pod okno szopy.

— Przykro mi — mruknął. — To było jednak za daleko na taki rzut.

Chance skinął głową, ładując karabin.

— Ty przejmiesz prawe skrzydło, ja lewe, a drzwiami podzielimy się pół na pół. Gotów?

— Gotów?

Zaczęli strzelać tak szybko, jak tylko mogli, zasypując magazyn prawdziwym gradem kul. Dude wysunął się bokiem zza muru, chwycił śpiesznie rewolwer i cofnął się z powrotem.

— I co teraz? — zapytał Colorado. Ponownie naładowali broń.

— Teraz robi się gorąco — powiedział Chance. — Spójrz tam, na wprost!

Po tej stronie magazynu, której Dude nie mógł dostrzec, rosły krzewy mimozy i drzewa juki. Pod ich osłoną posuwało się teraz do przodu kilku mężczyzn. Chance nie zdołał dostrzec, ilu ich jest, oceniał jednak tę grupę na siedem, osiem osób. Kierowali się ku wozom Wheelera. Tam mogliby bez trudu zakręcić i zaatakować szopę od tyłu. Zanim zdołał obmyślić plan działania, z magazynu znowu posypały się kule. Szeryf cofnął się czym prędzej w głąb szopy i zadowolił się nieregularnym, nieco chaotycznym ostrzałem krzewów,

który pozostał bez widocznego efektu.

— Widzę kilku również od strony Dude'a — odezwał się Jim Colorado.

Rzeczywiście; kilku ludzi Burdette'a bieгло szybko do przodu, wykorzystując każdą osłonę; pojedyncze bloki skalne, drzewa juki, stare resztki murów, takie jak te, za którymi skrył się Walton. Chance i Colorado dwoili się i troili, ale czterem z sześciu napastników udało się dotrzeć do celu — na w pół rozwalonego muru niedaleko Dude'a. I teraz zaczęli zbliżać się do niego, drwiąc z wszelkich prób powstrzymania ich.

Dude miał Joe'ego Burdette'a, rewolwer z sześcioma nabojami i chroniące go z jednej strony szczątki muru. To już nie była taka sytuacja jak w więzieniu, gdzie Joe siedział za kratą, a celi pilnowało oprócz tego dwóch, nieraz nawet trzech, strażników.

Istniała jeszcze jedna różnica: Natan nie mógł już udawać, że za wszystko odpowiedzialni są przyjaciele jego brata. Nie mógł sobie pozwolić na to, by zostawić Dude'a przy życiu. Nie mógł też sobie pozwolić na to, by zostawić przy życiu Chance'a i Colorado.

— Podejdz do tylnego wyjścia — powiedział

szeryf.

Od strony, gdzie stały wozy Wheelera, odezwało się dwukrotnie głucho szcęknięcie dubeltówki. Colorado odwrócił się gwałtownie.

— Co to?

Chance przebiegł obok niego i po chwili stanął przy drugim wejściu do szopy.

— To Stumpy! — zawołał. — Co za stary diabeł! Powiedziałem mu przecież...

Colorado wyszczerzył zęby.

— Widocznie nie potrafił usiedzieć w domu, wiedząc, co tu się dzieje.

— W każdym razie wybrał sobie cholernie złe miejsce.

— A gdzie teraz jest?

— Pod wozami Wheelera. Tuż nad głową ma całą masę dynamitu!

Wyszedł na zewnątrz. Ładunki śrutu ze strzelby Stumpy'ego zaskoczyły bandytów w chwili, kiedy, jak sądzili, znajdowali się już poza strefą niebezpieczeństwa; trzech z nich leżało na ziemi. Inni otrząsnęli się jednak z zaskoczenia i ostrzeliwali się

teraz zza krzaków. Stumpy leżał skulony między kołami i ładował broń. Chance strzelał wszędzie tam, gdzie dostrzegał najdrobniejszy ruch. Ktoś skryty w krzewach podskoczył nagle i padł bezwładnie na ziemię. Rozległ się czyjś okrzyk. Strzały padały już rzadziej, ale za to coraz bliżej niego. Cofnął się z powrotem do szopy i wrzasnął z całych sił:

— Stumpy!

Zamiast odpowiedzi usłyszał znowu głuchy huk dubeltówki. Bandyci przerwali ogień. Ci, co przeżyli, usiłowali widocznie wycofać się.

Strzelali jednak nadal ludzie Burdette'a, którzy nie opuścili dotąd magazynu. Pociski wzbijały przed kołami wozów wysokie fontanny piachu.

Chance jęknął z wrażenia.

— Colorado, zrób wszystko, by odwrócić ich uwagę. Muszę wyciągnąć tego starego durnia spod wozu, w przeciwnym razie przeniesiemy się zaraz wszyscy do piekła.

Ktoś zawołał od progu. Był to Carlos. Udało mu się zatoczyć spory łuk i niepostrzeżenie dotrzeć od tyłu do szopy. Wszedł do środka i wcisnął szeryfowi do



ręki kilka pudełek z amunicją.

— Pomyślałem, że może ci się to przydać powiedział.

— Carlos! I ty tutaj! — zachnął się Chance. — Ciekawe, kto się jeszcze tu zjawi!

— Może dziewczyna z doniczką! — zawołał wesoło Colorado.

— Pójdę teraz po señora Stumpy'ego — zaofiarował się Carlos.

— Nie — zatrzymał go Chance. — Ja pójdę. — Raptem jego twarz rozjaśniła się, oczy zabłyśły. Potrząsnął przyjacielem. — Weź lepiej karabin Jima i pomóż mu. Nieważne czy w coś trafisz, czy nie. Chodzi tylko o to, żebyś strzelał, dopóki nie wrócę.

Carlos wytrzeszczył na niego oczy, ale Chance zdjął już kurtkę i rzucił ją na podłogę. Położył na niej kapelusz, ujął karabin i wybiegł na zewnątrz.

Carlos pokręcił głową, potem jednak wziął karabin od Ryana i zaczął ostrzeliwać magazyn.

Chance starał się iść tak, aby nie zobaczył go nikt z magazynu; rozglądał się bacznie dokoła, zgięty w pół. Zadanie, jakie go czekało, absorbowowało go do tego

stopnia, że nie czuł niemal bólu w krzyżu. Usłyszał dwa wystrzały z rewolweru Dude'a, nie było jednak na to reakcji z drugiej strony. Widocznie Dude wykorzystał Joe'ego jako osłonę, a bandyci nie mogli zaryzykować ataku. Chance ujrzał przed sobą płytki rów i zsunął się do niego. Tą samą drogą przyszedł tu Stumpy; ślady jego kroków były aż nadto widoczne. Chance podążał tym tropem w stronę wozów, czując w sobie radosne podniecenie. Po raz pierwszy od chwili, kiedy pojmano Dude'a, dostrzegł iskierkę nadziei — i fakt ten dodał mu otuchy, która pozwalała na moment zapomnieć o rozpaczliwym położeniu.

Tuż przed nim pojawiły się budy wozów. Uniósł głowę i zawołał cicho:

— Stumpy! Stumpy!

\* \* \*

Na Ryana biły już siódme poty. Wiedział, że trafił co najmniej jednego z przeciwników, ale ogień od strony magazynu zaczął znowu przybierać na sile. Wraz z Carlosem stali obok wejścia za murem, widzieli tylko

niewielkie fragmenty placu i jedyne, co mogli robić, to strzelać na oślep. Colorado domyślał się, co oznacza ten stały ostrzał.

— Chyba zaraz się stamtąd ruszą — mruknął Carlos.

— Tak.

Colorado strzelał do każdej postaci, która pojawiała się w jego ograniczonym polu widzenia, ale efekt był równy zeru. Nie miał nawet czasu celować. Pociski uderzały tuż przed nim o mur, obsypując go grudkami gliny i piachem. Odkąd Chance opuścił szopę, upłynęła w odczuciu Jima cała wieczność, nie wiedział więc, co się też mogło stać. Stary poruszał się powoli, ale nawet gdyby czołgał się na brzuchu, nie powinno to trwać tak długo. Carlos potrafił zachować zimną krew, jak również obchodzić się z bronią, nie strzelał jednak celnie, mógł też zawieść tam, gdzie liczyła się szybkość. Colorado spojrział nerwowo na tylne wejście. Nic. Ogarnęło go jakieś dziwne, paralizujące uczucie, uczucie, przed którym bronił się ze wszystkich sił. Był jeszcze zbyt młody, by umierać.

Odezwał się rewolwer Dude'a. Colorado naliczył

trzy strzały. Ostatni nabój Dude zostawił na Joe'ego. Usłyszał krzyk Waltona. Huk wystrzałów zagłuszał słowa, ale można się było domyślić, że to ostrzeżenie. Ryan zakrzyknął do Carlosa, aby nie przerywał ognia; przebiegł na tył szopy i zatrzymał się przed progiem, aby lepiej zorientować się w przebiegu wydarzeń. Musiał zachować ostrożność: pociski, wpadające do szopy, uderzały nieprzerwanie o tylną ścianę. Przykucnął. Obecne położenie miało przynajmniej jedną zaletę: napastnicy, którzy wdarliby się do szopy z placu zalanego jaskrawym światłem słonecznym, musieli najpierw oswoić się z panującym tu mrokiem, aby dojrzeć cokolwiek. Miał nadzieję, że zanim zdołają go zabić, dostanie kilku z nich.

Paru ludzi Burdette'a, skulonych, biegło od krzaka do krzaka. Usiłowali od nowa obejść szopę. Carlos wystrzelał cały magazynek. Nie udało mu się dostrzec, co dzieje się po stronie Dude'a, był przekonany, że tam też przypuszczono atak.

Raptem ziemia zadygotała, a powietrze przeszył huk ogłuszającej eksplozji.

Ziemia i piach wytrysnęły do góry, a Carlos ujrzał kilku jeźdźców Burdette'a: część padła na piach, inni zataczali się jak niewidomi. Tuż potem nastąpiła kolejna eksplozja, wzbijając tumany pyłu, żwiru i połamanych gałęzi. Ktoś krzychał przeraźliwie. Chmura pyłu rozszerzała się, przesłaniając widok. Dopiero po chwili wyłonił się z niej jakiś mężczyzna. Zataczał się, miał rozerwaną koszulę, twarz krwawiła. Carlos położył go jednym strzałem. Zdumiał go odgłos tego wystrzału, wyjątkowo donośny po eksplozjach, a potem uświadomił sobie, że strzelanina ustała.

Zza chmury pyłu, rozwiewanej przez wiatr, wyłoniły się dwie niewyraźne postaci i Colorado, stojący nadal przy tylnym wyjściu, uniósł rewolwer. Byli to jednak Chance i Stumpy. Taszczyli skrzynkę z dynamitem.

— Pomóż, Colorado — sapał szeryf. — Będziemy rzucać dynamitem. Każdorazowo laseczkę. Chodź, chłopcze, pokaż, jak umiesz strzelać! Carlos będzie rzucał, a ty strzelaj. Szybciej, inaczej zorientują się, w

czym rzecz. — Podbiegł do tylnych drzwi. — Dude! —  
zawołał. — Nie wstawaj teraz i schowaj się za Joe'em!

— Gotów, amigo? — zapytał Carlos.

— Gotów — odparł Colorado.

Carlos cisnął szarą laską w stronę kilku ludzi Burdette'a, którzy wycofywali się właśnie do magazynu. Colorado śledził ją wzrokiem, wycelował błyskawicznie i wystrzelił.

Strzał był celny, ale działanie eksplozji ograniczało się głównie do ogłuszającego huk i wzbicia potężnych fontann błota i kurzu. Siła wybuchu powaliła paru ludzi Burdette'a, a kilku z nich ugodziły też lecące w powietrze kamienie i grudki ziemi. Rozległy plac pomiędzy szopą i magazynem wypełnił się kurzem i dymem, trudno było cokolwiek dostrzec. Colorado nie wiedział, co z Dude'em, ale odgłosy kolejnych eksplozji świadczyły o tym, że Chance stwarza dla siebie osłonę dymną, aby się zbliżyć do przeciwników.

Słońce było już bladą, pomarańczową tarczą na niebie. Kiedy wiatr rozwiął tumany kurzu, Jim Ryan ujrzał sylwetki mężczyzn, uciekających do magazynu. Inni leżeli na ziemi lub próbowali niezdarnie wstawać.

Od tyłu nadeszli Stumpy i Dude, wlokąc między sobą Joe'ego. Dude był przyprószony od stóp do głowy białym pyłem. Jego ciemne oczy połyskiwały niesamowicie spod powiek pokrytych jasnoszarą powłoką. Naładował rewolwer, podczas gdy Stumpy związał ręce Joe. Na zewnątrz zalegała cisza. Tylko głos Chance'a rozbrzmiewał na placu.

Ludzie Burdette'a poczeli rzucać broń na ziemię, podnosili ręce do góry.

Dym przerzedzał się coraz bardziej, odsłaniając wreszcie Matta Harrisa; stał bez kapelusza, w postrzępionym ubraniu, dwadzieścia metrów od magazynu, ciało miał upstrzone plamami krwi. W dłoni trzymał rewolwer, czekając widocznie na moment, kiedy dym zniknie i ukaże cel.

I oto ujrzał ów cel. Zaledwie o piętnaście kroków od niego, w żółtawym świetle poranka stał Chance, z karabinem w dłoni. Harris naprężył się, ogarnęło go podniecenie myśliwego, który wypatrzył zdobycz, krew załomotała mu w skroniach. Dotknął palcem cyngla — i umarł z myślą, że wystrzeli pierwszy.

Chance opuścił swój dymiący karabin.

Widoczność stawała się coraz lepsza, można już było dojrzeć ściany magazynu. Szeryf zawołał:

— Natan!

Czekał. Wiatr odegnał ostatnie kłęby dymu. Słońce, jaskrawe już i nieskrępowane, prażyło bezlitośnie.

Natan Burdette wyszedł na plac i rzucił na ziemię rewolwer. Nie odezwał się nawet jednym słowem ani w tej chwili, ani potem, kiedy związany w przegubach rąk kroczył wraz z bratem główną ulicą Rio Bravo, eskortowany przez zwycięzców. Wydawało się nawet, że nie widzi gapiów, tłoczących się na całej trasie przemarszu. Kiedy jednak stanęli przed schodkami wiodącymi do więzienia, Joe uniósł głowę, skierował wzrok na mroczny otwór wejściowy i nagle szarpnął Natana w tył.

— Nie wyciągnąłeś mnie stąd — krzyknął załamującym się z panicznego strachu głosem. Szarpnął za linę, którą połączony był z bratem. — Przecież wiesz, co oni ze mną zrobią. Oni mnie powieszają! Dlaczego mnie nie uwolniłeś?!

Dopiero teraz Natan otworzył usta. Powiedział



tylko:

— Joe! — i Joe umilkł natychmiast, patrząc na niego bojaźliwie. A Natan mówił dalej tonem, który zdradzał przepelniający go gniew: — Przynajmniej ten jeden raz, Joe...

Przynajmniej ten jeden raz spróbuj zachować się jak mężczyzna.

Joe opuścił głowę, jego oczy napełniły się łzami. Natan westchnął i zacisnął dłoń na ręce brata.

— Idziemy — powiedział i poprowadził Joe po schodkach do więzienia.

Chance szedł za nimi. Przed kratą przystanął, przyglądając się, jak zamykają się za nimi drzwi dwóch oddzielnych cel. Był oszołomiony. Spodziewał się, że zginie, a jednak żył. Spodziewał się, że bracia Burdette'owie zmiżdżą go, a tymczasem to oni byli pokonani. Nie mógł jeszcze tego pojąć. Ostatnio oduczył się przecież nawet myśleć o przyszłości. Wiedział, że minie jeszcze sporo czasu, zanim przystosuje się do nowej sytuacji.

Spojrzał na Dude'a; on też miał dziwny wyraz twarzy, jakby nie mógł uwierzyć, że jest cały i zdrowy,

że jest już po wszystkim.

Kiedy obie cele były już zamknięte, Carlos odstawił na miejsce pożyczony karabin i uściśnął szeryfowi rękę. Chance objął go, on zaś roześmiał się uszczęśliwiony i zawołał:

— Dziś wieczorem urządzimy wielkie święto! Całe miasto będzie tańczyć, gracias a Dios! — I wybiegł, aby odszukać Consuełę.

Chance odstawił na miejsce resztę strzelb.

— Potem je przeczyszczę — powiedział. — Dude, mógłbyś tu trochę popilnować?

— Pewnie — odparł Dude. — Idź już do niej.

Chance nie dał sobie tego dwa razy powtarzać. Śpiesznie udał się do hotelu, odprowadzany wzrokiem przyjaciela. Dziewczyna stała w progu hotelu. Na widok Johna wybiegła na ulicę i zarzuciła mu ramiona na szyję, on zaś uniósł ją do góry i pocałował na oczach wszystkich. Potem weszli razem do hotelu.

Dude zamknął drzwi i zarygłował je, po czym podszedł do biurka i wziął butelkę, pozostawioną tu przez szeryfa. Była do połowy pełna. Przez dłuższą chwilę wpatrywał się w nią, marszcząc brwi, wreszcie

wyciągnął korek i upił trochę.

Z korytarza więziennego nadeszli Stumpy i Colorado. Widząc Dude'a pijącego z butelki, stary przystanął.

— Hej, Dude... — zaczął.

Dude odstawił butelkę i patrzył na nią jeszcze przez chwilę. Wreszcie zakorkował ją starannie i skinął głową.

— Chciałem się tylko przekonać, czy dam radę — powiedział z uśmiechem i rzucił butelkę do Stumpy'ego, po czym usiadł za biurkiem, położył nogi na blacie i zaczął przyrządzać sobie skręta.

— Cóż.. — mruknął Stumpy. Odkorkował z powrotem butelkę i przechylił ją. — Teraz moja kolej, na Boga! Zaczęć pić! Teraz możesz zacząć martwić się o mnie.

— O, nie — zaprotestował Dude. — Teraz kolej na Chance'a. To dla niego zacznie się ciężki okres. Nie wiedziałeś, że poznał kobietę?

— Co takiego? — wykrzyknął Stumpy. — Chcesz powiedzieć, że poszedł teraz do niej?

— Oczywiście. A ona przyjechała tu dylizansem.

Tak jak kiedyś Virgie.

— Dlaczego nikt mi nic nie mówi na czas? — żalił się Stumpy. — Nie, nie, nie mogę przeżywać tego jeszcze raz, nie z Chance'em. Tego na pewno nie wytrzymam. To więcej niż można wymagać od człowieka, po prostu za dużo. — Upił spory łyk. — Na Boga, upiję się i tak będę spędzać najbliższe dziesięć lat!

Napił się znowu, a Dude i Colorado wybuchnęli śmiechem.

Nagle odezwało się pianino w saloonie Rio Bravo i wszyscy trzej z przestraszeniem odwrócili głowy w tamtą stronę. Ale były to tylko dźwięki piosenki „Rye Whisky”. Radośnie, melodyjnie rozbrzmiewały na ulicy.